

Nowa
Biblioteka
Uniwersalna.

SPÓŁKA
WYDAWNICZA POLSKA
W KRAKOWIE



W. Teronko

1841

60

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

poleca wydawaną od lat 16

najtańszą ze wszystkich publikacji peryodycznych

NOWĄ BIBLIOTEKĘ UNIWERSALNĄ

„BIBLIOTEKA“ wychodzi co 2 tygodnie w zeszytach formatu 8-ki, o objętości 7 arkuszy, daje przeto rocznie do **170 arkuszy druku.**

Zamieszcza przeważnie niedrukowane dotąd prace — najpierwszych pisarzy polskich, tudzież obcych we wzorowym tłumaczeniu.

Druk staranny, czytelny — papier piękny i trwały.

Pamiętniki, dzieła historyczne i t. p. są dobranymi rycinami illustrowane.

Każde dzieło ma własną paginację, stanowi więc osobny tom, który oddzielnie broszurowany lub oprawiony być może.

„BIBLIOTEKA UNIWERSALNA“

jako wydająca dzieła przeważnie narodowej treści, jest **pod zaborem rosyjskim zabroniona.**

Przedpłata na „NOWĄ BIBLIOTEKĘ UNIWERSALNĄ“ w zeszytach wynosi:

w Krakowie:	w Austrii:	w Niemczech:
rocznie . . . Koron 12.—	Koron 14.—	marek 14.—
kwartalnie . . . „ 3.—	„ 3.50	„ 3.50

W innych krajach europejskich rocznie franków 24,
w Ameryce rocznie dolarów 5.

W tomach oprawnych ozdobnie, z dwurazową przesyłką: w Lipcu i Styczniu, tylko rocznie:

w Krakowie.	koron 20.—		w Niemczech	marek 22.—
w Austrii	„ 22.—		w innych kraj. eur. franków	28.—
w Ameryce dolarów 7.—				

Zeszyt w Krakowie 50 gr. — w Austrii 60 gr. — w Niemczech 60 fen.

Prenumeratorowie składający z góry przedpłatę na cały nowy rocznik otrzymują premię.

Bliższe wyjaśnienie co do premii podane w prospekcie, który na żądanie darmo przesyłamy.

Do każdego dzieła wydanego w „Nowej Bibliotece Uniwersalnej“

(od początku jej istnienia) można mieć

ozdobne i trwałe okładki płócienne po 40 hal.

Kto nie ma introligatora na miejscu, może nam nadsłać do oprawienia płacąc za każdy tom 70 halerzy.

Z wydanych dotąd 14 roczników Nowej Biblioteki Uniwersalnej posiadamy jeszcze niewielką ilość w zapasie i wyślamy po następujących zniżonych cenach:

SERYA I.

(złożona z roczników I. do IV., t. j. 1887—1890).

1. *Bałucki*. Mój pierwszy występ literacki (nowele). — 2. *Bałucki*. Burmistrz z Pipidówki (powieść). — 3. *Chmielowski*. Studya literackie. Serya I. — 4. *Chołomewski*. Sen w Podhorcach. — 5. *Gawalewicz*. Biedni ludzie (powieść). — 6. *Gawalewicz*. Majster do wszystkiego (powieść). — 7. *Konarski ks.* O religii poczciwych ludzi. — 8. *Korzeniowska*. Nad siły (powieść). — 9. *Naganowski*. Hessa O'Grady (powieść). — 10. Rys kampanii polskiej w roku 1809. — 11 i 12. *Szajnocha*. Pisma historyczne 2 tomy. — 13. *Wodzicki hr.* Pamiętniki. 14. *Wysocki*. Pamiętnik z kampanii roku 1848.

Razem 14 tomów broszurowanych koron 14.—
lub 14 „ oprawnych w płótno 24.—

SERYA II.

(złożona z roczników V. do VIII., t. j. 1891—1894)

1. *Czajkowski*. Stefan Czarniecki (powieść). — 2. *Echegaray*. Galeotto (dramat). — 3. *Frenzel*. Prawa kobiety (powieść). — 4. *Jelowski ks.* Moje wspomnienia. — 5 do 8. *Kalinka*. Dzieła t. I. II. III. IV. (Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. 2 tomy, i Pisma pomniejszych. 2 tomy). 9. *Łachocki*. Pamiętniki prezydenta m. Krakowa z czasów Kościuszki. — 10. *Lisicka*. Obrazki z życia (nowele). — 11 i 12. *Macaulay*. Szkice historyczne. 2 tomy. — 13. *Sumski*. Wspomnienia o 3 pułku ułanów z roku 1831 (z rycinami). — 14. *Tarnowski St.* Studya z literatury polskiej. Serya I. — 15. *Zagórski*. Nowele.

Razem 15 tomów broszurowanych koron 15.—
lub 15 „ oprawnych w płótno 27.—

SERYA III.

(złożona z roczników IX. i X., t. j. 1895 i 1896).

1. *Danielewicz*. Alkohol i jego skutki. — 2. *Gawalewicz*. Niczyja (powieść). — 3. *Głiński*. Mamusie (nowele). — 4. *Hygiena* palenia. — 5. *Iry*. Pod rodzinnem niebem (powieść). — 6 do 10. *Kalinka*. Sejm czteroletni. 5 tomów. — 11. *Lisicka*. Ze świata muzyki (zyciorysy). — 12. *Łoziński*. Tłum (studjum społeczne). — 13 do 15. *Kontrymowicz*.

Proszę odwrócić!

Ogiński. Książę Hołuba. 3 tomy (powieść z r. 1863). — 16. *Tegoż*. Z czeluści piekielnych (powieść). — 17. *Murawiew*. Pamiętniki z roku 1863 (illustr.) — 18. *Sewer*. Na szerokim świecie (powieść). — 19 i 20. *Tarnowski*. Studya z literatury polskiej. Serya II. i III. — 21. *Tepa*. Nie z salonu (nowele). — 22. *Weżyk*. Dzieje powstania r. 1831. — 23. *Włast*. Opowiadania hist. z dziejów Wołynia (z rycin.) — 24. *Wodzicka*. Wilhelm I. i Eliza Radziwiłłówna (illustr.) — 25. Ze wspomnień szlacheckich.

Razem 25 tomów broszurowanych koron 25—

lub 25 „ oprawnych w płótno . . . » 40—

SERYA IV.

(rocznik XI., 1897).

1. *Jirasek*. Raj świata (powieść historyczna z r. 1815). — 2. *Kalinka ks. Galicya i Kraków* w r. 1850. — 3. *Kotaczkowski* generał. Pamiętniki. Tom I. (z illustr.) — 4. *Łubieński hr.* Kwestya polska w Rosyi. — 5. *Manteuffell*. Cywilizacya nad Bałtykiem (z illustr.) — 6. *Sarnecki*. Historia literatury francuskiej. — 7. *Schnür-Pełowski*. Dzieje legionów polskich (z illustr.) — 8. *Sewer*. W kleszczach — Magdusia (powieści). — 9. *Sigurd*. Humoreski. — 10. *Sigurd*. Sprzedany sierota (powieść). — 11. *Tarnowski St.* Studya z literatury polskiej. Serya IV.

Razem 11 tomów broszurowanych koron 11—

lub 11 „ oprawnych w płótno . . . » 20—

SERYA V.

(rocznik XII i XIII., t. j. 1898 i 1899).

1. *Bąkowski*. Posażna panna (powieść). — 2 do 4. *Berg*. Zapiski o powstaniu polskim 1863 r., 3 obszerne tomy, z 60 rycinami. — 5. *Chotkowski ks.* Dzieje zniweczenia Unii. — 6. *Gloger*. Geografia historyczna Polski (z 64 rycinami) — 7 i 8. *Kotaczkowski*. Wspomnienia, tom II. i III. (z illustr.). — 9. *Korolenko*. Nowele Sybirskie. — 10. *Kostomarov*. Kudejar (powieść). — 11. *Kowerska*. Powieści. — 12. *Krzyżanowski*. Przełom i inne nowele. — 13. *Mickiewicz*. Wybór listów. — 14. *Neumanowa*. Legendy Wschodu. — 15. *Paszkowski*. Książę Józef Poniatowski (z 27 rycinami). — 16. *Sewer*. Bajecznie kolorowa (powieść) — 17. *Sokołowski M.* Szkice z dziedziny sztuki, obszerny tom z 47 ryc. — 18 do 20. *Tołstoj*. Anna Karenina (powieść), 3 znaczne tomy. — 21. *Wybranowski*. Ongi w dworkach szlacheckich (opowiadanie).

Razem 21 tomów broszurowanych koron 24—

lub 21 „ oprawnych » 40—

SERYA VI.

(rocznik 1900).

1. *Czermak*. Studya histor. z XVII wieku. — 2. *Kalinka*. Dzieła, tom XI. (całość). — 3. *Kotaczkowski*. Henryk Dąbrowski (z ryc.) — 4. *Kotaczkowski*. Wspomnienia z r. 1831, tom IV. (illustr.) — 5. *Korolenko*. Niewidomy muzyk (opow.) — 6. *Korolenko*. Szkice powieściowe. — 7. *Kowerska*. Z pamiętnika ornitologa (powieść). — 8. *Lejkin*. Pod hiszpańskim niebem, pow. humoryst. — 9. *Rostworowski*. Wspomnienia z r. 1863. — 10. *Sizeranne*. Malarstwo angielskie. — 11. *Tretiak*. Studya literackie.

Razem 11 tomów broszurowanych koron 12—

lub 11 „ oprawnych » 20—

Zobacz koniec książki!

746
Z SYBIRU

60.

Suma

100

WŁODZIMIERZ KOROLENKO.

Z SYBIRU

OBRAZKI POWIEŚCIOWE

PRZEKŁAD

Stanisława Miłkowskiego.



60. 74
Dr. EDWARD SZAYER

W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1898.



CZYTELNIĄ KSIĄZEK

821.1614-311.2

W KRAKOWIE W DUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

PRZEDMOWA.

Włodzimierz Korolenko, jeden z najznakomitszych belletrystycznych pisarzy rosyjskich, urodził się dnia 27. czerwca 1853 roku, w mieście Żytomierzu.

Jego pradziad był starszyną zaporoskich kozaków; dziad, początkowo w Radziwiłowie, a później w Besarabii, zajmował posadę dyrektora akcyzy; ojciec, szlachcic Połtawskiej gubernii, piastował godność sędziego, matka była Polką. Zatem krew ukraińska zmieszana ze krwią polską, płynie w żyłach znakomitego rosyjskiego nowelisty.

Pierwsze nauki pobierał w znanym pensjonacie w Żytomierzu, następnie przyjęty został do klasy drugiej gimnazjum filologicznego miejscowego, do którego uczęszczał tylko dwa lata, a to skutkiem przeniesienia ojca jego do miasta Równa, gdzie też przesiedliła się cała rodzina.

Tu Włodzimierz wraz z braćmi zapisał się do gimnazjum realnego, które ukończył w roku 1870, ozdobiony srebrnym medalem.

Umiera mu ojciec, a nieszczęśliwa wdowa pozostaje z pięciorgiem dzieci bez środków do życia, jedynie tylko ze szczupłą pensyjką emerytalną.

Tymczasem Włodzimierz, otrzymawszy po śmierci ojca stypendium rządowe, wstępuje do Instytutu politechnicznego w Petersburgu.

Odtąd spragniony nauki młodzieniec, przebywa ciężkie i bolesne koleje losu. Przez ciąg pobytu w Instytucie, nadaremnie usiłuje zdobyć sobie kawałek chleba. Jedynie tylko wspomaga go związane w tym czasie koleżeńskie stowarzyszenie. Szczęściem znalazł się człowiek, podobno przyjaciel rodziny, czy krewny, przy którego pomocy ukończył Korolenko nauki.

Korolenko we wspomnieniach z owych czasów, sam opowiada, że »nie był w stanie zdać sobie sprawy, w jaki sposób, zagrożony prawie głodową śmiercią, mógłby dokończyć studyów«.

Jaka nędza ścigała wytrwałych pracowników, wystarczy powiedzieć, że żywili się prawie suchym chlebem, a obiady po 18 kopiejek w zakładzie Heleny Pawłówny, dla Korolenki i jego braci były lukusowemi biesiadami; niestety zdarzało się to tylko sześć lub siedm razy w roku. Nareszcie młody akademik znalazł zatrudnienie. Z początku zajmował się illustrowaniem atlasu botanicznego, a następnie pracował jako korektor. Skoro jednak przekonał się, że na tem poprzestać nie może, zaoszczędziwszy kilkadziesiąt rubli, wyjechał do Moskwy i wstąpił do jednej ze znakomitszych instytucyj naukowych w Rosyi, do Petrokowskiej rolniczo-leśnej Akademii. Zdawszy egzamin na drugi kurs, otrzymał stypendium. Tak świetny początek obalamucił młodzieńca, który sądził, że ma już przyszłość zapewnioną. Żłudna na-

dzieja nie trwała długo. W roku 1876, kiedy już przeszedł na kurs trzeci, został z Akademii wydany za podanie zbiorowej petycji do dyrektora i skazany z kolegami na wygnanie do Wołogdy. W ciągu drogi wszakże ułaskawiony, odstawiony został do Kronstadu, gdzie wówczas mieszkała jego rodzina.

W rok później przesiedlił się do Petersburga, zarabiając na życie, jako korektor. Dopiero w r. 1879 poczyną próbować swych sił na polu literatury. W tym również roku podróżuje po dalekim Wschodzie.

Odcierpiawszy karę więzienia, niewiadomo za jakie przewinienie, zaczyna podróżować — wyjeżdża więc do gubernii Witebskiej, potem do Syberyi, do miasta Tomska, zkad wraca do Permy i w roku 1881 znowu wyrusza do Syberyi, do gubernii Jakuckiej, w której przemieszkał lat kilka. Z Permy Korolenko wysłał pierwszy swój utwór: *Szkice i obrazy*. W roku 1885, po powtórny powrocie ze wschodniej Syberyi, napisał *Sen Makara*, w którym złożył nowe dowody swej bujnej wyobraźni i głębokiej znajomości ludu.

Obecnie mieszka w Niżnim-Nowogrodzie, gdzie obrał stałą siedzibę i jest ojcem trzech córek.

Ruchliwy żywot Korolenki, przejechał bowiem Rosyę i Syberyę wszcz i wzdłuż, pozwolił mu zebrać skarb klechd, przypowieści, zwyczajów i obyczajów, przesądów i uprzedzeń ludu. Wędrowki w oddalonych, na pół zamieszkałych okolicach Syberyi, tej krainy wieczystego śniegu, obznajomiły go z tym ludem nieszczęśliwym, nie znającym ani Bożego światła, bo mie-

szczęcym się po uroczyskach, w skórzanych namiotach, tak zwanych jurtach, ani nie mającym najmniejszego pojęcia o bycie innych ludów. Smutna, ponura tajga, to tło, na którym genialny autor osnuwa swoje znakomite utwory.

Podziwiać należy szczególniejszą zdolność oddawania na żywo typów miejscowych; — obrazki Korolenki namalowane z takim mistrzostwem, że czytając szkice Syberyi, mamy ją żywą przed oczami. Postacie, poruszające się na tych przestrzeniach martwej prawie przyrody, to nie płody wyobraźni, ale fotografie wycieniowane do artyzmu.

Korolenko studiował miejscowe społeczeństwo, wnikał w ustroj i nie idealizując, żywymi kolorami z drobnostkowością, rysuje typy i charaktery. W tej krainie, której kultura cywilizacyjna pozostała prawie o jeden wiek po za cywilizacją i postępem europejskim, badacz i psycholog, jakim jest bezsprzecznie Korolenko, odnajduje coraz nowe, a oryginalniejsze figury tamtejszego życia. Jego włóczęgi, osiedleńcy, skazańcy do robót, do kopalni, jego przedstawiciele ludu, Jakuci, starowiery, jamszczyki, pocztmistrze, mieszczanie i chłopci, każdy z osobna ma swój dział, swój okres życia, skreślony genialnem piórem.

Korolenko wyosobnia się jaskrawo od reszty beletrystów rosyjskich. Nie gładzi rylca, którym rzeźbi swoje wspaniałe dzieła, nie osłabia jaskrawości typów, nie idealizuje zapadłych okolic, w których bawi, lecz raczej wykrada naturze jej tajemnice i ujawnia je z całą świadomością. Jakkolwiek w jego nowel-

kach bohaterzy pochodzą z ludu na pół dzikiego, jakkolwiek nie oszczędza nikogo i fotografuje umiejętnie, szkice jego czytają się z wielkiem zaciekawieniem. Nic tam nie ma wstrętnego, nic, coby wpływało drażliwie na etykę czytelnika, nic, coby napawało zgrozą i wzgardą. Przeciwnie czytelnika przejmują uczucie litości dla tych tysięcy, rozsypanych po nieobjętych okiem obszarach, współczujemy z tymi nędzarzami w pustkowiach lub leśnych sadybach, żelazną pracą i krwawym trudem uprawiających kilka szmatów ziemi skamieniałej od mrozu. Smutne to bardzo, bolesne, ale wcale nie wstrętne.

Korolenko mnóstwo już napisał nowelek, szkiców i powieści, a każda z tych prac nowy laur do dała do wieńca sławy. Dość powiedzieć, że wiele z tych arcydzieł tłumaczono już na wszystkie prawie języki, na angielski, niemiecki, francuzki i inne. Ze znaczniejszych prac godne są zaznaczenia: *Z dziennika turysty po Syberyi*, *Sen Makara*, *Stary dzwonnik*, *Las szumi*, *W noc Wielkanocy*, *Zbiegi z Sachalinu*, *Niewidomy muzyk*.

I.

Z dziennika turysty po Syberyi.

1. Drapieżne ptaki.

Już ściemniało się, kiedym dojeżdżał do przevozu. Lekki, świeży wiaterek pieścizotliwie muskał szeroki obraz wód rzeki, przesuwając fale ku skalistemu brzegowi. Odgłos dzwonka dzielnej mojej trójki, co jak echo dalekie płynął powietrzem i brzmiał nad falami wody, uprzedził przewoźników o mojem przybyciu. Woźnica zsiadł z kozła, powóz wtoczono na prom, brzękły łańcuchy i statek nasz odbił od brzegu. Płynęliśmy swobodnie przy towarzyszeniu plusku fal, odbijających się od promu; brzeg coraz się oddalał, jakby go prąd rzeki pędził napowrót, coraz malał, aż wreszcie znikł w pomroce nocy.

Na promie, oprócz mojego powozu, zauważyłem inne wozy i wózki. Na jednym z nich, dwukołowym siedział mężczyzna, który wyglądał na kupca, na drugim trzech młodych ludzi, prawdopodobnie małomiasteczkowi mieszczenie.

Kupiec, z podniesionym do góry kołnierzem, zapewne dla ochrony od wiatru, nie zdawał się zwracać uwagi na resztę podróżnych. Trzej zaś młodzi ludzie, niezmiernie ruchliwi, okazywali niezwykłą wesołość. Pierwszy z nich wysoki, ze szramą na lewej stronie nosa, wygrywał na harmonijce skoczne melodye, przyśpiewując grubym basem, a dźwięki rozchodziły się daleko, padały na rzekę i płynęły na falach

wód. Drugi z flaszką wódki w jednym, a ze szklanką czy kubkiem w drugim ręku, częstował mego woźnicę. Tylko trzeci ich towarzysz, silnie zbudowany chłop, około lat trzydziestu, leżał rozciągnięty na wozie i z opartą głową na ręku, zdawał się być głęboko zamyślony, zwracając od chwili do chwili swe spojrzenia do góry, jak gdyby śledził uważnie chmury, przesuwające się nad naszymi głowami.

Już drugi dzień byłem w podróży, jadąc z gubernii N. do miasta, a ciągle spotykałem te figury. Spieszyłem się bardzo, skracając drogę po prywatnych traktach, mimo to zawsze nasuwał się mi przed oczy ów kupiec ze swoim dwukołowym wózkiem, zaprzęgniętym w silnego kasztana; nie mogłem równie pozbyć się i towarzystwa tych, niby małomiasteczkowych mieszczan, pędzących trójką rosłych siwków. Nieodstępnie spotykałem ich na drodze. Chociaż na chwilę zniknęli mi z oczów, gdym gdzie zatrzymał się dla wytchnienia, znowu zjawiali się jak cienie. Teraz, przy przewozie, najwidoczniej czekali na moje przybycie.

— Co to za jedni? — zapytałem woźnicę.

— Kostiuszka, ze swoimi towarzyszami, — dał mi odpowiedź wymijającą.

— Kto taki? — pytam poraz drugi, bo nazwisko to było mi wcale nieznanne.

Woźnica nie odpowiedział mi wcale, gdyż panowie przysłuchiwali się naszej rozmowie, tylko obrócił się i ukazał ręką na rzekę.

Spojrzałem w tym kierunku. Nad szeroką taflą wody unosiły się gromady białych ptaków, podobnych do mew morskich. Krzycząc przeraźliwie, to zniżały się nad rzeką, jakby maczając skrzydła w wodzie, to znowu wlatywały do góry z tym samym przeraźliwym wrzaskiem.

— Drapieżne ptaki — wyjaśnił mi woźnica, skoro już wydostaliśmy się na brzeg przeciwny i trójka ruszyła dalej, pędząc po gładkim trakcie.

— Ci obywatele pańscy — mówił w dalszym ciągu, to także *drapieżne ptaki*, nie znający ani domu, ani stałego siedliska. Miało to niegdyś jakieś tam podobno posiadłości, ale posprzedawali, czy też zmarnowali. Teraz włóczą się po drogach, a spotkania z nimi bardzo niebezpieczne.

— Więc rabują?

— Tak jest, rabują. Jednemu podróżnemu pochwycą kufer z wozu, drugiemu zagrabią pieniądze lub prowiant, takie ich teraz zatrudnienie. Skoro im nie wiedzie się i nas biedaków nie oszczędzają wcale, rabując konie i wózki. Niechno się tylko który z nas zdrzemnie, oho, już po nim, oskubią go jak ptaka. Temu Kostiuszkowi jeden z naszych batem nos rozciął. Ten Kostia... straszny człowiek. Nie ma już podobno pomocnika, miał jednego, ale go zabil.

— Tak?

— Złapano go na gorącym uczynku. Wcale mu się nie szczęściło, otrzymał też porcię.

Opowiadający roześmiał się cicho.

— Odcięto mu palec, potem przypiekano rozpalonem do czerwoności żelazem, wbito na kół i porzuciono na drodze. Niech zdycha, jak pies.

— Czy znasz tego Kostiukę? Dlaczego częstował cię wódką?

— Jego wszyscy znają — mruknął z niechęcią; i ja nie raz i nie dwa częstowałem go wódką. Z tym człowiekiem gra niebezpieczna. Bo niech pan tylko rozważy: Kostiuszka nie na darmo dzisiejszej nocy puścił się w drogę. Bez celu nie pędziłby własnych koni. Czatuje najpewniej na zdobycz, ten szakał przekłety. I kupiec był tam także. Hej! Hej! coś to zna-

czy niedobrego. Albo ja wreszcie wiem. Przy nim widziałem kogoś, to pewnością jakiś nowicjusz, nie spotykałem go jeszcze nigdy.

— Tego, co leżał na wozie?

— Tak jest — może to być jeden z tych dobrych gatunków. Przystojny chłop. Wie pan co, niech pan nie jedzie lepiej nocą — rzekł nagle, zwracając się ku mnie. Czy przypadkiem ci rabusie nie gonią za panem? Co?

— Alboż oni mnie znają?

— Tego ja nie wiem, tylko słyszałem, jak ludzie mówili, że będzie przejeżdżał tędy z miasta urzędnik, czy pełnomocnik Kudynowych. Wreszcie mało mnie to obchodzi.

Prawdopodobnie znały mnie te drapieżne ptaki. Prowadziłem właśnie proces braci Kudynowych z rzędem, to jest ze skarbem, i wygrałem go przed kilku dniami. Moi klienci byli dobrze znani nie tylko w tej okolicy, ale i w całej zachodniej Syberii, a proces ich wywołał ogromne wrażenie. Wiozłem też ze sobą znaczną sumę, dla zapłacenia w N. N. terminowej raty. Czas był krótki, poczta do N. N. przychodziła zbyt późno, pieniądze mogły nie dojść na czas oznaczony, osobiście zatem postanowiłem je doręczyć. Pędziłem dniem i nocą prawie bez wytchnienia, niekiedy zjeżdżałem na boczne drogi, dla zyskania na czasie; te wieści niespodziewane o mojej podróży i te gromady krążących około mnie drapieżnych ptaków, nie były wcale pocieszające.

Obejrzałem się po za siebie i rzeczywiście, pomimo zapadającej nocy, dojrzałem zdala na drodze wóz, zaprzągnięty w trójkę koni, a nieco bliżej wózek i kupca.

2. Czartowski palec.

Na stacyi pocztowej N., do której przybyłem późną nocą, zabrakło koni.

— Ach, kochany Iwanie Siemionowiczu — rzekł mi pocztmistrz, kurpuletny, już niemłody mężczyzna, którego poznałem skutkiem nieustannych moich podróży, posłuchaj mojej rady. Nie jedź dalej po nocy, niech sobie tam poczekają na pieniądze. Własne bezpieczeństwo i życie warte stokroć więcej, niż obcy grosz. Na przestrzeni stu wiorst nie mówią więcej o niczem, jak tylko o pańskim procesie, a przytem wiedzą powszechnie, że wiesz pan przy sobie wielką sumę pieniędzy. Drapieżne ptaki niewątpliwie wyruszyć zechcą i opuścić swoje gniazda. Dla nich jesteś pan upragnioną, bo drogocenną zdobyczą. Przenocuj pan tutaj...

Byłem najgruntowniej przekonany o słuszności rady pocztmistrza, ale do niej nie mogłem się żadną miarą zastosować.

— Muszę jechać — odpowiedziałem. Racz pan postarać się jak najspieszniej o konie.

— Z pana uparty koziół. Trzeba przynajmniej poszukać *jamszczyka* (pocztyliona), któremu mógłbyś pan całkowicie zaufać. Pojedziesz pan do B., ale tam należy koniecznie nocować. Okolica pusta, smętna, dzika tak, jak i jej mieszkańcy. Poczekaj pan, niech się przynajmniej cokolwiek rozwidni.

Oparłem się temu i po upływie niecałej godziny, siedziałem znowu na wózku, wyprawiony w drogę z błogosławieństwem i życzeniami szczęśliwej podróży. Świeży zaprząg rwał z kopyta, a woźnica, zachęcony obietnicą hojnego *tryngieldu*, nie wstrzymywał



wcale koni, lecz je jeszcze bardziej przymuszał do biegu. Do B. dojechaliśmy bardzo prędko.

— Dokąd mnie wiesz? — zapytałem mojego forysia, gdy skręcał w ulicę.

— Do mojego przyjaciela, gospodarza furmańskiego zajazdu, to pocziwa dusza.

Jechaliśmy powoli, wymijając ostrożnie na pół rozwalone chaty i domy, aż nareszcie wózek zatonął się i stanął przed jakimś wielkim budynkiem, czy chatą zamożnego włościanina. On sam wyszedł do nas. Był to stary, siwy chłop, z latarką w ręku. Podniósł ją w górę, mierzył mnie długo swym przenikliwym wzrokiem, a w końcu rzekł:

— A! Iwan Siemionowicz! Mieli słusność ludzie, co tu niedawno przejechali przed panem, zamawiając konie dla pełnomocnika braci Kudynowych. Co to was obchodzi? — zapytałem, a oni mi na to: może będzie chciał zanocować, lub dalej jechać, choć po nocy jazda nie bardzo przyjemna.

— Kto to byli, ci ludzie? — przerwał mu, pytając się mój woźnica.

— Kto ich tam zna? Zapewne drapieżne ptaki. Tak mi się jakoś widzi. Nibyto mieszczanie z małego miasteczka, albo ja wiem. Wreszcie kto ich tam zna wszystkich. Pan zapewne pozostanie tu na noc? Co?

— O nie! Przeciwnie, postaraj się pan o konie, o ile się da, jak najprędzej.

Opowiadanie gospodarza i te wieści, ścigające mnie na każdym kroku, nie wróżyły nic dobrego.

Starzec zamyślił się.

— Niechże pan wejdzie do izby, na dworze niezdrowo. To tylko bieda, że nie mam koni pod ręką. Ostatnią parę, przed trzema godzinami wyprawiłem do miasta. Co tu począć? Posłuchaj mnie pan, pozostan na noc.

Nowa przeszkoda mocno mnie rozdrażniła. Do dnia było jeszcze daleko, a noc ciemna, chłodna, jak zwykle jesienne noce w Syberyi. Całe niebo zasuwwały chmury czarne, ołowianej barwy, na parę kroków niepodobna było rozpoznać żadnego przedmiotu, w górze piętrzyły się jakieś ciemne, bezkształtne, wysoko strzelające masy skał, dołem zaś panowała nieprzenikniona ciemność. Przytem siekł po twarzy zimny, drobny, a ostry jak szpilki, deszczyk, poruszając rzadkimi liśćmi na drzewach, co wyradzało jakiś nieprzyjemny, złowrogi szmer, zapowiadający jakby nieszczęście.

A jednak musiałem jechać dalej.

Wszedłem tedy do izby, prosząc usilnie jeszcze raz gospodarza o konie i pewnego wóznicy, ale natychmiast.

— Panie — rzekł potrząsając głową, samochcąc pędzisz do nieszczęścia, jeszcze podczas tak okropnej nocy. Prawdziwie egipskie ciemności.

Do izby wszedł także i mój woźnica i począł zcicha rozmawiać z gospodarzem. Jeszcze raz oba zwrócili się do mnie z prośbą, abym się nadaremnie nie narażał i pozostał.

— Obstawałem przy swoim. Oni tymczasem szeptali znowu ze sobą, wymieniali głośno jakieś nazwiska, spierali się, kłócili.

— Dobrze — wyrzekł wreszcie woźnica, z niechęcią widoczną przystając na żądanie gospodarza. Pójdę do wsi po konie.

— Czy nie można ich gdzie bliżej dostać? To potrwa długo.

— Nie — odpowiedział woźnica, a gospodarz mruknął:

— Co się panu tak spieszy. Znasz pan zapewne rosyjskie przysłowie: »Tisze jediesz, dalsze bu-

diesz», albo po polsku: »Co nagle to po dyable!« Niechże pan zdobędzie się choć na szczyptę cierpliwości.

Woznica wszedł za przepierzenie, dzielące izbę na dwie połowy i zaczął się ubierać. Gospodarz przystąpiwszy do niego, coś mówił zniżonym głosem, jakby mu udzielał potrzebnych objaśnień. Mnie gwałtowna napadła śpiączka.

— No, usłyszałem nagle ode drzwi, powiedz Zabójcy, niech się spieszy. On się strasznie niecierpliwi.

Wkrótce potem rozległ się tętęt koni, jakby kto odjechał galopem.

Ostatnie wyrazy gospodarza, bo to on mówił, otrzeźwiły mnie zupełnie.

Siadłem przy ogniu i zapadłem w głęboką zadumę.

W ciemną noc, w obcym miejscu, między nieznanymi ludźmi... Te ich niejasne, dziwnie niepokojące, tajemnicze rozmowy i szept, na koniec ten wyraz straszny »Zabójca« wprowadziły mnie w szczególny stan rozdrażnienia nerwowego.

Po upływie niejakiego czasu usłyszałem niepewny, daleki odgłos dzwonek, który się coraz przybliżał, więc zapewne nadjeżdżała nowa, zamówiona przezemnie trójka. Rzeczywiście dzwonienie ścichło i dał się słyszeć ruch, a raczej łomot, jaki zwykle robi wóz zatrzymujący się w miejscu.

Zebrałem drobne pakunki i wyszedłem przed dom.

Na niebie już przeświecały niepewne, ale jasne smugi. Chmury przesunęły się z nadzwyczajną szybkością, jakby pragnęły co najrychlej ukryć się w bezpiecznym miejscu. Deszcz ustał, tylko od czasu do czasu spadały z gałęzi drzew zmoczonych deszczem, wielkie krople — las szumiał tajemniczo. Ze zbliżającym się też blaskiem dnia zerwał się wiatr, powiew jego nie mroził, ale raczej ożywiał, otrzeźwiał.

Gospodarz towarzyszył mi z latarką, dzięki czemu mogłem się doskonale rozejrzeć i przytarzać mojemu nowemu jamszczykowi.

Był to mężczyzna kolosalnego wzrostu, silny, zbudowany jak Samson, z szerokimi barami, prawdziwy olbrzym, prawdziwy kolos. Twarz jednak jego nie zdradzała poczucia własnej siły, wyraz jej miał przeciwnie jakiś szczególny odcień powagi, rozumu, po części nawet zgnębienia moralnego. Mimo nadzwyczajnej objętości głowy, mimo imponującej postaci, wzrok mojego olbrzyma był spokojny, łagodny, dawał jakąś otuchę, pewność i obudzał szczególną sympatię do tego człowieka.

Wyznam szczerze, że mi w tej chwili nasunęła się myśl, aby mego olbrzymiego ale sympatycznego woznicę wyprawić z końmi napowrót do domu, a samemu, spełniając prośbę gospodarza, zanoć, ale trwało to ledwie mgnienie oka.

Spróbowałem, czy rewolwer jest na miejscu i pożegnawszy pocziwego starego, wsiałem do wózka. Mój woznica, uporządkowawszy coś około koni, powoli wdrapał się na koziół.

— Słuchaj Zabójco — rzekł wówczas gospodarz. Miń to miejsce galopem; wiesz gdzie?

— O wiem — odpowiedział Zabójca, jakby przerażony, huknął na konie, śmignął batem i znikłszy jak cienie w czarnej nocy.

Jeszcze przebłyskiwały tu i owdzie światełka w chatach i domach, gdyśmy je mijali. Brask zaczął powoli ogarniać całą naturę, można było rozpoznać wynurzającą się z egipskiej ciemności ponurą masę lasu, po nad którym jak zawsze, wznosił się szczyt skały, przezwanej »czartowskim palcem«.

Konie szły miarowym kłusem, i coraz bardziej zbliżaliśmy się do tyle razy wspominatej przekiętej

skąły. Pozostawało jeszcze blisko pięć wiorst do przebycia, miałem więc dość czasu do zastanowienia się nad mojem położeniem. Jak to zwykle w chwilach obawy i niepewności, szybko zorientowałem się i obliczyłem złe i dobre szanse; niestety rezultat był fatalny, wierzyłem w to, że mi grozi niebezpieczeństwo. Ale jakie? Zarysowały się nagle w mojej myśli niedawno spotkane postacie drapieżnych ptaków, przypomniałem sobie równie i obiegające wieści o mojej podróży. To krążenie nieustanne około mojej osoby tych dziwnie niebezpiecznych jegomościów, to śledzenie mnie, ten pościg, doprowadził mnie do przekonania, że ja to właśnie, nie kto inny, byłem upragnioną przez nich ofiarą, tą zdobyczą, na którą rozbójnicy czatowali.

Tak miarkowałem, lecz czy rzeczywiście nie ułudziłem się, nie łudziłem? Zagadka ta wkrótce miała się dla mnie wyjaśnić.

Na dość jasnym, ale jeszcze ukrytym w półmroku horyzoncie, rysowało się jakieś wzgórze, czy też grzbiet góry. Na której znajdujący się las szumiał tajemniczo, wydając jakby tęskne, jękliwe westchnienia. Po nad nią śmigał w niebo »czartowski palec«, a sięgał on tak wysoko, że zdawało się jakby przesuwające się po nad nim obłoki, ocierały się o jego szczyty.

Jakby fatalnym zbiegiem okoliczności, droga nasza ciągnęła się tuż obok góry. Dopiero przy samym »czartowskim palcu« skręcała się w bok, tworząc załom. Ten załom właśnie zdawał się być czeluścią piekielną.

Było to najniebezpieczniejsze miejsce, osłonięte ścianą skały i ciemnymi zaroślami lasu, miejsce osławione z popełnionych tu rabunków, napadów i morderstw. Wąziutka, kamienista droga, nie pozwalała na szybszą jazdę, a gromada drobnego żwiru, złomów

skalistych i grud zmarzłej ziemi, tamowała każdy szybszy ruch powozu. Miejsce to, jakby naumyślnie stworzone do niespodziewanych napadów, których żadną miarą ani uprzedzić, ani uniknąć niepodobna, czyniło wrażenie straszne, zmuszając nawet największych śmiałków do zadrżenia.

Cypel czartowskiego czy dyabelskiego palca, coraz wyraźniej wychylał się z pomroki nocy; widok ten tamował mi oddech w piersiach, czułem że zbliżam się do miejsca, w którem ostatecznie rozegra się dramat, czy też epizod mojego życia.

Konie szły wolno. Dyszlowy stapał z wielką ostrożnością, jakby badając kamienisty teren, skrzydłowe konie cisnęły się do dyszla. Dzwonek brzęczał jakimś nieregularnym, co chwila przerywanym, dźwiękiem. Echo odbijało te dźwięki tęsknie i jak głuchy zdradziecki, chrapliwy ton, nikło w zaroślach.

Nagle konie stanęły; dzwonek zajęczał i zamarł, niby odgłos gruzy, rzuconej na trumnę.

Zerwałem się z siedzenia.

Na drodze, pomiędzy przybrzeżnymi zaroślami poruszyło się coś dziwnego; krzaki ożywiły się niespodzianie, nastąpił ruch, zaroilo się w ciemności, jakby w tym punkcie znajdowało się kilku ludzi.

Słychać było trzask łamiących się gałęzi.

Napad zatem nieunikniony, chciałem na chybił trafił strzelić z rewolweru; ale powstrzymałem się, nie wiem dla czego.

Powstał też z kozła i mój woźnica. Jego olbrzymia postać zakryła mi widok, nie wiedziałem wcale co się tam dzieje, w tym czarnym ostępie lasu.

Woźnica oddając mi lejce — rzekł z cicha:

— Nie strzelaj pan!

Mówił z taką stanowczością, że mimowoli schowałem napowrót wydobyty rewolwer.

Woznica mój szedł przy wózku, konie stapały równym krokiem.

Oczekiwałem na jakiś szczególny wypadek, niepodobna bowiem było przypuszczać, że ruch w zaroślach, że łamiące się gałęzie były pospolitem zdarzeniem.

Kiedy nareszcie już zupełnie zbliżyliśmy się do miejsca, w którym objawił się przed chwilą ruch, woznica przystanął.

Cisza panowała dokoła, tylko w dalszej części lasu słychać było szmer odginanych gałęzi, jakby kto ostrożnie przesunął się po lesie.

Nagle mój woznica — rzekł:

— Kostijuka, łotr, wyprzedził wszystkich. He! he! jakiś tu pozostał.

W tej chwili, po wyrzeczonych głośno wyrazach mojego woznicy powstała wysoka postać i znikła, uciekając trwożliwie pomiędzy krzakami. Teraz już wyraźnie w czterech punktach, słyszałem kroki ludzi.

Zbójca powrócił spokojnie do koni, uporządkował uprząż i wszedł na kozioł.

Raptem coś błysnęło, poczem rozległ się huk, padł strzał, szczęściem chybiony, nikogo nie zranił.

Na ten strzał zeskoczył znowu Zbójca z wozu i jak wściekły pobiegł ku zaroślom. Wkrótce usłyszałem jego piorunujący głos:

— Słuchaj, Kostijuka — wołał woznica drżącym z wściekłości głosem, nie rób głupstw, radzę ci! Gdybyś mi zranił którego konia, to miej się na baczności. Idź, gdzie ci się podoba! wszędzie cię znajdzie! Nie strzelaj pan — dodał, gdy ujrzał, jak wydobywałem rewolwer.

— Strzeż się i ty Zbójco — odpowiedział mu inny głos.

— Niech wielmożny pan — odparł woznica szyderczym tonem, nie grozi daremnie. Nie obawiajcie się niczego, wy drapieżne ptaki.

W kilka minut minęliśmy niebezpieczny wąwóz, zasadzka zdradziecka nie powiodła się. Konie dostawszy się na gładki trakt, kłusowały, a mój woznica siedział na kozle ze zwieszoną na piersi głową.

3. Morderca.

Jechaliśmy blisko dwie wiorsty, nie mówiąc nic do siebie.

Ja rozważałem wszystko, co mi się w tym czasie wydarzyło, a mój woznica, to ścigał lejce, to je puszczał wolno, w miarę tego, jakim krokiem szły konie. Nakoniec — rzekłem:

— Dziękuję ci przyjacielu. Gdyby nie twoja pomoc, byłoby źle zemną. Bardzo dziękuję.

— Niema za co.

— Jakto? Wszak twojemu wdaniu się zawdzięczam bezpieczeństwo mojej osoby, zawdzięczam, że nie stałem się ofiarą tych dzikich rabusiów.

— To prawda, panie, Dzicz, prawdziwa hałastra, szajka zbójcka.

— Czy ich znasz!

— Znam Kostijkę, jego wszyscy znają. Tego zaś kupca jeszcze dawniej widywałem. Ale tego, co się rzucił do mnie, a potem uciekał jak spłoszony zaję, nie spotkałem jeszcze w życiu. Pozyskał sobie widać zaufanie Kostijuki i przyjęto go do bandy. Ale to tchórz, podlec; Kostijuka nie byłby uciekał.

Umilkł.

— Nie, nie, tego tchórza dawniej przy nim nie było — szepnął, poruszając głową. Musiał go Kostijuka

zwerbować z jakiej dalekiej okolicy. Rozbójnicy czatowali na zdobycz... Bodaj ich piekło pochłonęło.

— Dlaczego się oni ciebie boją?

Woźnica uśmiechnął się.

— Dlaczego się boją? Bo raz oporządziłem jednego z nich; już on oddawna trawę gryzie.

Powstrzymał konie i obróciwszy się na koźle — dodał:

— Przypatrz się pan dobrze temu wawozowi. Stąd doskonale go widać. Otóż w tym załomie, w tej rozpadlinie skały, zabiłem człowieka.

Zdawało się mi, że mówił to drżącym głosem, dostrzegłem nawet, o ile na to pozwalał mrok, w jego oczach, jakby wyraz głębokiego smutku.

Spojrzałem.

Po za nami, na wschodniej stronie wynurzała się pokryta lasem masa gór, fatalna skała »czartowskiego palca« sterczała prostopadle, zdawało się, że jest tuż przy nas.

Z tej strony wiał wiaterek jakiś ożywiający, ciepły, choć konie drżały z zimna i niecierpliwie, gwałtownie rwały kopytami ziemię. Dyszlowy wysiłał się by ruszyć skokiem, ale woźnica silnem pociągnięciem lejc powstrzymał go na miejscu; patrzył on przed siebie, jakby przypominał dawne, minione dzieje.

Nagle, ni ztąd ni zowąd, niby owładnięty przesądny przestachem, pochwycił za cugle, wyprostował się na koźle i gwiznął przeraźliwie. Konie ruszyły i pędziliśmy, niby wicher z góry w dolinę.

Była to prawdziwie piekielna jazda.

Konie strzygły uszami i galopowały, jakby gnane przestachem, a mój woźnica przymuszał je jeszcze do szybszego pędu, machając nahajką. Ziemia znikwała z pod kopyt końskich, koła nie tykały gruntu, wó-

zek niesiony był prawie w powietrzu — drzewa, krzaki i pola migały się tylko w oczach ¹⁾.

Wreszcie szalony pęd ustał i po równym już trakcie jechaliśmy noga za nogą. Z koni, jak z komina lokomotywy buchała para, dyszlowy ciężko oddychał, boczne parskały, trzęsły się i poruszały uszami. Stopniowo wszakże zaczęły uspakajać się, przychodzić do siebie. Woźnica puścił lejce wolno i orzeźwiał je przemawiając pieszczotliwie:

— Wolno, wolno, moje sokoliki. Nie bójcie się, Tak, tak — mówił, zwracając się do mnie, koń, choć nieme stworzenie, mówić nie może, ale wszystko przeczuwa, rozumie, rozumie doskonale, jak rozumny człowiek. Skoro tylko dostały się na wzgórze, skoro tylko rozejrzały się po okolicy, już ich powstrzymać nie mogłem, wzięły na kiel, bo prze-czuły zbrodnię.

— Być może, że tak jest rzeczywiście, tym razem jednak, sam ich popędzałeś i nagliłeś batem do biegu.

¹⁾ Kto nigdy nie jeździł w Rosyi, na tak zwanych „*perekładnych*“, ten nie może mieć pojęcia, czym jest jazda pocztowa, zwłaszcza gdy *jamszczyk* hojnym tryngieltem zachęcony do pospiechu. Wówczas to można śmiało przytoczyć słowa z ballady ludowej: »Góra, nie góra, wieś na wieś, biesie nieś!« Na zwykłej powózce, którą Rosyanie nazywają »kibitką«, pasażer przymocowany bywa pasem skórzanym, inaczej nie dosiedziałyby na miejscu. *Kibitka* podskakuje to w tę, to w ową stronę, podróżny w tym piekielnym biegu koni zaledwie zdolny oddychać, a *jamszczyk*, siedzący na krawędzi kibitki, nieustannie okłada nahajką konie i drze się jak szalony: *Ach wy sokoliki! Sokoliki moi!*

(Przypisek tłumacza).

— Ja? Niepodobna. A kto wie, może i tak było; nie wiem sam, co robiłem. Ach panie, pan nie uwierzy, jaki straszny ciężar ugniata moją duszę.

— Więc opowiedz, to uwierzę.

Zabójca ociagał się chwilę.

— Dobrze — rzekł, po krótkim namyśle. opowiem panu. Hej! sokoliki ruszajcie! Nie bójcie się niczego!

Ściągnął lejce, a konie wyteżonym kłusem puściły się po gładkiej, jak stół, drodze.

— Uważasz pan — mówił, już temu dawno, dawno, a może i nie bardzo dawno, ale zawsze już sporo wody upłynęło do morza. Moje życie było zupełnie inne. Dlatego też, kiedy sobie wszystko przywiodę na pamięć, wydaje się mi, jakby to już przeszło, minęło, zapadło się w otchłań bezdenną, przebrzmiało bez echa. Niejednokrotnie doznawałem przykrości, obrażano mnie i wydziwiano się nade mną. Byłem też i surowo, bardzo surowo karany — nie wiem tego dobrze, ale wydaje mnie się, że i Bóg mścił się za ten czyn okrutnie. Umarła mi w jednym i tym samym roku i młoda żona i syn mój. Rodziców już dawniej utraciłem. Byłem i pozostałem sam, jak palec, jak krzywa sosna na wydmy piaszczyste. Ani krewnych, ani przyjaciół, ani żadnej życzliwej duszy. Ot, po prostu, jak zielsko, jak wyrodek błakałem się po tej ziemi. Pop, nawet pop zabrał mi ostatnią chudobę na opłatę kosztów pogrzebowych. Przecierpiawszy tyle, zacząłem się zastanawiać; raz ogarniała mnie wątpliwość, to znowu wydało się mi, że mam słuszość, że rozumiem dobrze, dlaczego spotkał mnie taki los okropny. Utraciłem zupełnie dawną moją wiarę, a nowej stworzyć sobie nie mogłem. Zresztą i tak nie wiele rozumiem, zaledwie sylabizować potrafię na drukowanej książce, nie umiem

ani pisać, ani nie jestem pewny, czy mogę spuścić się na mój rozum. Owładnął mnie smutek tak silnie, tak gwałtownie, że mi się sprzykrzyło życie, śmierć byłaby dla mnie upragnieniem, požądaniem szczęściem. Walczyć tak na tej ziemi, tak trapić się i męczyć, już mi sił zabrakło. Porzuciłem tedy chatę ostatnią, co mi jeszcze pozostała, — zabrałem kożuch, buty, a wyciąwszy w lesie gruby kij, puściłem się w świat, na oślep...

— Dokąd?

— Gdzie mnie oczy poniosą. Przybyłem nareszcie tutaj i pozostałem czas niejaki, zarabiając na życie pracą u gospodarza, który mnie przytulił i nakarmił. Najmowałem się to do żniwa, to do koszenia siana na łące, to do zwożenia snopków z pola. Niezłazłem pędziło mnie z miejsca na miejsce. Czasami bawiłem dzień, czasami nawet tydzień, albo miesiąc w jakiej wsi lub okolicy, a wszędzie widziałem, jak to ludzie żyją, jak Pana Boga chwalą, jak spełniają obrządki religii swojej. Ja szukałem *Sprawiedliwego*.

— Odnalazłeś go?

— Nie wiem, jak to panu powiedzieć. Wszędzie różni są ludzie, jedni dobrzy, jedni zli, a każdy nie sie swój krzyż, nadany mu przez Boga. To rzetelna prawda; bywają wszakże i tacy, którzy ani pojmują Boga, ani umieją się do niego modlić. Każdy myśli jedynie o sobie, aby on tylko był syty. Tedy nawet zbrodniarz, nawet rozbójnik, morderca skępowany łańcuchami, może nie być złym, lecz dobrym człowiekiem. Czy mam słuszość?

— Być może, lecz cóż dalej?

— Coraz większym ciężarem, coraz boleśniej gniotącym kamieniem, stał się dla mnie smutek. Przekonałem się, że żadnej pomocy znikąd spodziewać się nie mam nadziei i począłem jak dziki, drapieżny

zwierz błąkać się po lesie. Obecnie już coś nie coś pojmuję, ale wtedy... Wtedy byłem na wszystko ślepy, jak człowiek, któremu Bóg pomieszał zdrowe zmysły... Postanowiłem na przykład zostać *aresztantem*.

— A to w jaki sposób?

— Bardzo prosty: podałem, się jako włóczęga bezdomny... osadzono mnie więc w więzieniu. Chciałem koniecznie nieść godnie i wytrwale mój krzyż.

— I ulżyło ci nieco?

— Ach, gdzie tam ulżyło. Była to głupota największa z mej strony. Pan nie siedziałś nigdy w więzieniu, to też o niczem wiedzieć nie możesz; ja byłem tam czas długi, wiem tedy, jaki to *klasztór*. Główna rzecz, żyją tam ludzie bez najmniejszego celu, próżniaczo. Wałęsają się od jednego kąta do drugiego, głośno ziewając, a przytem coraz gorsze owładają nimi myśli. Dla ludzi złych czynów jest to miejsce bardzo właściwe, bardzo odpowiednie; rzadko tam kto o swojej duszy lub o Panu Bogu pamięta; a co szczególnie zastanawia, że z jednego i drugiego śmieją się i szydzą.

Widziałem zatem, że w mojej nieświadomości postawiłem w życiu krok fałszywy, więc przyznałem się do mojego właściwego nazwiska i prosiłem, aby mnie uwolniono. Trzymano mnie jednak ciągle — porozysłało wnet w rozmaite strony, żeby się czegoś o mnie dowiedzieć, to w tę, to w ową okolice, a nawet zaczęto mi wyrzucać w oczy, dlaczego to uczyniłem, dlaczego poważylem się podać fałszywe nazwisko i tak skłamać grubo. Nie oddziało to na mnie, nie wyczerpało chęci wydobyć się, bądź co bądź, na wolność. Wreszcie, już nie wiedziałem, co się ze mną stanie, gdyby nie jeden wypadek. Sprawił on mnie wiele bólu, przyniósł prawdziwe nieszczęście, ale, gdyby nie to, stałoby się zemną coś bardzo złego.

Rozeszła się pewnego razu w więzieniu wiadomość, że *jednoreki* znowu zostanie przywieziony do *turmy* (więzienie). Słyszałem i ja o tem, ale nikt nie umiał stwierdzić, czy to wieść prawdziwa, rzeczywista, czy też, ot tak sobie pogadanka na wiatr, nic więcej. Wówczas było dla mnie obojętne, czy go przywiozą, czy go nie przywiozą. Alboż codziennie nie przywożono rozmaitych ludzi? Tymczasem przybyli z miasta aresztanci zapewnili mnie, że to rzeczywista prawda. Jednoreki pod silnym konwojem przybędzie wieczorem. Wszyscy aresztanci rzucili się na dziedziniec, niezmiernie zaciekawieni tą wiadomością. I ja także tam poszedłem, aby użyć, jak zwykle nieco przechadzki, nie dlatego, abym był ciekawy, ale dlatego, że mi się okropnie przykrzyło. Przechadzałem się tedy głęboko zamyślony i prawie już zapomniałem o jednorekim, gdy nagle otworzono bramę i ujrzałem prowadzonego pod wartą starca. Nizkiego wzrostu, chuderlawy, stary człowiek, z rzadką długą, ale siwą brodą. Chwiał się, zaledwie mógł ustać na nogach, a jedno ramię zwieszało się mu bez ruchu, aż ku ziemi, zdawało się, że to tylko pusty rękaw. Pomimo tego, prowadziło go pięciu żołnierzy, mając ku niemu zwrócone bagnety. Kiedym go spostrzegł, dziwny dreszcz przebiegł po mojem ciele.

— Boże w niebiosach! — pomyślałem sobie, co to ci ludzie wyprawiają. Czy można człowieka prowadzić tak, jakby jakie dzikie, czy wściekłe zwierzę? Gdyby wreszcie był to jakiś olbrzym, jakiś silnie zbudowany człowiek, ale ten, ten starzec znękany, słabowity, wątły, zgrzybiały, bliski śmierci, może dziś, może jutro wyciągnie nogi i po wszystkim!

Nieokreślone współczucie i litość owładnęło moim sercem. Im dłużej mu się przypatrywałem, tem większe wzbudzał we mnie uczucie litości i miłosierdzia.

Zaprowadzono go do kancelaryi, przywołano kowala i skuto go w łańcuchy na rękach i nogach. On sam nawet wziął w rękę kajdany i złożyłszy na krzyż założył je na nogi — poczem zawołał:

— No! teraz *zanituj!* Kuj! kowalu! Dalej!

Następnie włożył rękę w obręcz żelazną i podał kowalowi do zanitowania.

Woznica wypowiedziałwszy to, spuścił głowę na piersi, jakby w tej chwili, opowiadając o dawnych dziejach, odnowił jedną z najboleśniejszych ran czy też wspomnień.

Po jakimś czasie zaczął znowu:

— Tak mnie on swoim widokiem i swojemi słowami przejął, żem przylgnął doń całym sercem.

Byłże to czar, urok, czy cud jaki? Później poznałem go doskonale, tego szatana w ludzkim ciele, tego łotra, który pod pokrywką niedołęstwa i starości, wiódł ludzi na pokuszenie, siał w duszę złe myśli i zbrodnicze chęci. Do dzisiejszego dnia nie jestem w stanie odgadnąć, jakim to sposobem, tak zręcznie można udawać świętoszka. Ile razy sobie przypomnę pobożne modlitwy tego oszusta, czarta - kusiciela, ogarnia mnie wątpliwość, czy to rzeczywiście on się modlił. Wówczas przedstawiał się mi, jako inny zupełnie człowiek. Wierz pan, lub nie wierz, ale myśmy aresztanci milkli i zachowywali się z wielkim spokojem, jakby ujrzeni widmo. Niektórzy, co śmielsi, gdy się ten starzec modlił, robili dziwne miny, czasem uśmiechali się szyderczo, inni nawet robili na pierśiach znak krzyża.

Co to znaczyło, ja nie wiem.

On jednak ze mną zrobił, co chciał, związał mi po prostu i ręce i nogi, opanował tak, że nie miałem własnego ruchu, własnej myśli, własnej woli. Bo wówczas patrząc na tego pobożnego, pokornego starca,

który z prawdziwą cierpliwością męczennika, znosił swój krzyż, uważałem go za istotę wyższą ode mnie, za człowieka świątobliwego, za sprawiedliwego, który cierpiał prześladowanie za prawdę.

Nigdy, od czasu uwięzienia, nie zbliżałem się do nikogo, wszelkim nowym znajomościom nie dawałem dostępu do siebie, każdemu schodziłem z drogi, to też i do mnie nikt się nie zbliżał i nie zawierał ze mną znajomości. Czasami przysłuchiwałem się w kazamacie (cela więzienna) rozmowie moich współtowarzyszy, ale po chwili już nic nie pamiętałem; rozmowy te tak mnie mało obchodziły, jak brzęk much pod sufitem. O czem myślałem, chowałem dla siebie, czy to było dobrze lub źle, nie wiem także, ale nikt mnie o to nie zapytywał. Otóż postanowiłem ukradkiem wsunąć się razu jednego do kazamaty, w której pomieszczono jednorekiego.

Przypadek ułatwił mi to postanowienie, wsunąłem w rękę pięć kopiejek dozorca, który też pozwolił mi podejść do celi, a później, na moją prośbę, czynił to już bez osobnego wynagrodzenia.

Spojrzałem przez okienko we drzwiach — starzec chodził po kazamacie tam i napowrót, kajdany wydawały złowieszczy brzęk, ciągnąc się po ziemi za nogami starego, on tymczasem ciągle coś szeptał, jakby rozmawiał sam ze sobą, a może i ze złym duchem. Skoro mnie spostrzegł, zatrzymał się, a potem zwrócił ku drzwiom.

— Czego potrzebujesz? — zapytał.

— Niczego — odpowiedziałem, pragnę tylko ciebie odwiedzić. Odwiedziny moje może ci będą przyjemne i osłodzą samotności.

Stary uśmiechnął się z politowaniem.

— Nie jestem sam — rzekł z powagą świątobliwego męża, czy istotnie świętego, Bóg tu jest mną;

z Bogiem nie odczuwam mej samotności, choć i odwiedziny dobrych ludzi także radują mię wielce.

Stałem przed nim jak głupiec, jak mazgaj, czy też niedorostek, którego ojciec przed chwilą mocno skrzyczał; on sam dziwił się temu mojemu osłupieniu, patrzył na mnie łagodnie i poruszał głową. Nagle rzekł:

— Odstąp nieco od okna, abym się mógł tobie dobrze przypatrzeć.

Cofnąłem się na parę kroków, patrzył na mnie długo, bardzo długo — poczem rzekł:

— Coś ty za człowiek? opowiedz mi.

— Cóż ci mam opowiedzieć, jestem człowiek zmarnowany, stracony na wieki i oto wszystko.

— Czy można ci zaufać? Czy mnie nie zdradzisz, czy mnie nie oszukasz?

— Jeszcze nikogo nie oszukałem, a ciebie tem mniej nie potrafiłbym oszukać.

Namyślał się chwilę, a następnie odezwał się w te słowa:

— Muszę koniecznie dzisiejszej nocy wyprawić stąd człowieka do miasta. Czy chciałbyś tam pójść?

— Jakimże sposobem mógłbym stąd wyjść, przecież tak, jak ty jestem aresztantem.

— Już ja cię nauczę, jak masz postąpić.

Jakoż nauczył mnie rzeczywiście. Wyszedłem z więzienia, jakby to była moja własna chata. Znalazłem w mieście tych ludzi, do których mnie wysłał i zawiązałem im hasło, czy też inny znak, jaki kazał mi wypowiedzieć. Nad ranem byłem z powrotem i bez najmniejszej przeszkody znalazłem się w mojej celi.

Prawdę powiem, że kiedy rankiem zbliżałem się do więzienia, gdym ujrzał ten olbrzymi gmach, rysujący się w pomroku świtu, serce zaczęło mi gwałtownie bić z obawy.

— Co mnie zmusza — zapytałem się wówczas samego siebie, do wkładania własnej głowy w obręcz żelazną, do narażenia się na bolesną karę, dlaczego koniecznie mam ukradkiem wracać, kiedy mogę użyć wolności.

— Idź dalej! — szepnął mi jakiś głos i poszedłem.

Trzeba panu wiedzieć, że gmach więzienny stoi po za miastem. Szeroki trakt wiedzie wprost do bramy. W drodze, kiedy wracałem, krople rosy porannej spadały mi na czoło, czułem, jak mnie to orzeźwia. Zboża już wysokie miały kłosa, poruszał je tu i owdzie lekki wiaterek — zdawało się całe pole, jakby morze, falujące i wzburzone; tam dalej nieco rozlegał się plusk wody rzeki, śpiewały rozkosznie boże ptaszyny, szumiał las tajemniczo, tęsknie, jakby roztkliwiał się nad moim nieszczęsnym losem.

— Na wolność! Na swobodę! — zawołałem z głębi duszy i o dziwo, teraz ów głos tajemniczej przestrogi, nie odezwał się wcale.

Budowla więzienna coraz jaśniej zarysowywała się na horyzoncie. Jeszcze panował gruby mrok, jeszcze czarna noc, niby grubą szmatą nakrywała cały przestwór.

Skoro jednak wyobraziłem sobie, jak to z pierwszym promieniem słońca, z pierwszym różowym, jasnym błyskiem świtu powstanie tu ruch — jak szczęśliwi ludzie, błogosławiąc nowe życie dnia, wyjdą z domów w pola, na łąki — nie mogłem powstrzymać się od zadrzenia... Serce mi biło, jak młotem. I znowu zawołałem, jak szalony.

— Do wolności! do swobody!

Myśl ta rozsadzała mi głowę i wabiła, ciągnęła, popychała w dal, w przestrzeń.

Nagle przed moimi oczami wyrosła postać świątobliwego starca.

— Czy mogę go oszukać?

Rzuciłem się na trawę, przycisnąłem się do ziemi, jakbym tam od tej naszej wspólnej matki spodziewał się doznać pociechy i rady; — leżałem tak jakiś czas; potem zerwałem się i nie oglądając po za siebie, skierowałem się ku więzieniu.

Nie szedłem, ale biegłem, zatykając uszy, aby nie słuchać podszeptów tajemniczego głosu:

— Uciekasz od wolności! Patrz, oto promienie słońca wypłyły już rosę z pól, w lesie rozwinęły kielichy zimowe sasanki, ptaszyny ulatują z wątlých gniazdeczek, a zwieszone nad gałązką, śpiewają życie rozkoszne, przyjaźń ludzką, braterstwo, szczęście ziemi i chwałę Boga.

Ja pędziłem jakby odurzony. Już o to, tylko kilka kroków od fatalnej bramy. Spoglądam. Tuż nad bramą w samotnej wieżyczce, w otwartym okienku widnieje postać jednorękiego, na jego twarzy uśmiech, uśmiech szyderstwa, politowania czy radości?

Nazajutrz podsunąwszy się do celi starca, opowiedziałem mu, że wypełniłem jego polecenia.

Moje oświadczenie przyjął wyraźnie zadowolony.
— Dziękuję ci przyjacielu — rzekł. Wyświadczyłeś mi przysługę, której, dopóki będę żył, nigdy ci nie zapomnę. Czy też nie brała cię chętką — mówił, śmiejąc się, do skorzystania z chwilowej swobody?

— O, gdybyś pan wiedział, tak mnie coś ciągnęło, tak wabiło, a tak odpychało od więziennego gmachu — odpowiedziałem.

— Za cóż właściwie ty tutaj siedzisz?

— Za głupotę własną.

— Bóg obdarzył cię siłą i zdrowiem. Przecież nie postępowałeś jak dziecko, bez namysłu, na oślep,

a jeśliś popełnił raz głupstwo, to już chyba odcierpiałeś dotąd za nie. Nie znasz świata, mój kochany, nie rozumiesz jeszcze potrzeb życia, to główna przyczyna. Siedzisz w kozie i jakaż stąd korzyść? Świat, prawda, jest grzeszny, ale też daje szczęście nieraz i zbawienie.

— Świat na grzechach stoi — wtrąciłem.

— A ty niby jesteś niewinny, jak baranek? Co? Tylko głupcy nie dopuszczają się przewinień. Musiałeś już odpokutować za swoje grzechy i zapewne odczuwasz żal i skrucę.

— Ciężko mi strasznie na sercu.

— Ciężko? Dlaczego ciężko, ty wiesz najlepiej. Nie wiesz jeszcze, co to jest skrucza. Skrucza poi serce człowieka słodyczą, przynosi ulgę. Posłuchaj, co ci powiem i zapisz sobie w pamięci na zawsze. Bóg jest tylko bez grzechu, człowiek zaś z natury swej jest grzesznym i tylko żałując za grzechy, może być szczęśliwym czyli zbawionym. Żal, gorycz, to nieuniknione następstwa grzechu, bo powtarzam ci, grzech jest powszechnem złem na świecie. Jeżeli nie grzeszysz, to i żałować nie potrzebujesz popełnionego przewinienia, i na odwrót, jeżeli żałować nie będziesz, nie zostaniesz zbawionym. Czy rozumiesz?

— Wyznać muszę szczerze, że wówczas wcale tego nie rozumiałem, tylko słowa tego starca wydały się mi dobre i pocziwe. Dlatego też nieraz zadawałem sobie pytanie: czem jest moje życie? Wszyscy ludzie żyją jak rozumne stworzenia, tylko ja jeden dziwne jakieś na świecie zajmuję stanowisko, jak jakaś przekłeta roślina — jak łątka gdzieś na samotnem polu, jak krzywa, karłowata sosna na wydmiu piaszczystej.

— Tak, to prawda — odpowiedziałem. Jeżeli rzeczywiście bez grzechu żyć można na tym świecie,

to moje życie jest chyba szczególnym wyjątkiem. Nie wiem też wcale, nie rozumiem, jak żyć powinienem i skoro mam żyć jak człowiek, to dlaczegoż dotąd trzymają mnie w więzieniu. Kiedyż zbliży się chwila upragnionej przezemnie wolności?

— To już do mnie należy — odparł starzec prosiłem usilnie za tobą, żeby nareszcie zakończyła się twoja niewola, pragnę bowiem duszę twoją wywieść nareszcie z ciemności na światło... Przysięcz mi, że będziesz posłusznym, to ja ci wskażę drogę do żalu, skruchy i pokuty.

— Przysięgam.

— I przysięgniesz?

— Przysięgnę.

Przysięgłem, bo i jakże nie miałem przysiąc, gdy mi i tak już zabrał duszę, a oświadczył, jak szatan ciałem. Choćby mi kazał wskoczyć w ogień, wskoczyłbym bez wahania.

Wierzyłem temu człowiekowi, jak samemu sobie. Raz jeden rzekł do mnie któryś z więźniów:

— Dlaczego wdajesz się w konszachty z tym jednorękim? Czy myślisz, że on pójdzie prosto do nieba? Wszak mu podczas rabunku odcięto rękę.

Nie chciałem słuchać dalej, bo był pijanym, a pijany plecie trzy po trzy, co mu ślina na język przyniesie. Odszedłem.

— Głupiec niezdolny! — zawołał więzień.

— Niestety, przyznać teraz muszę, że najzupełniejszą miał słuszność, był to człowiek rozumny, choć nałogowy.

— Wkrótce jednoręki doznał pewnej ulgi. Przeniesiono go z samotnej celi do wspólnego dla wszystkich numeru, siedział więc razem z nami, ale mimo to odsuwał się na bok i pragnął być sam ze sobą. Gdy żartowali z niego aresztanci, albo gdy dowcip-

kowali jego kosztem, zachowywał uporczywe milczenie, nie odpowiadając na niesmaczne koncepta i nie okazując najmniejszego gniewu. Czasem tylko takim spojrzał wzrokiem, że najodważniejszemu język zaraz przyłgnał do podniebienia; o bo istotnie miał wzrok piekielny, prawdziwie zbójcecki!

Po niejakim upływie czasu jeszcze był swobodniejszym, wreszcie uwolniono go.

Było to podczas lata, spacerowałem jak zwykle po dziedzińcu, gdy nagle dostrzegłem dyrektora więzienia, wchodzącego do kancelaryi, ale z kim, temu pan nie uwierzy, bo i ja nie wierzyłem moim oczom — oto szedł za pan brat z jednorękim. Jednoręki już nie miał na sobie aresztanckiego ubrania, ale świeżutkie cywilne, a dyrektor uśmiechał się do niego.

Rzecz trudna do wyjaśnienia i dla mnie szczególniejszą była to prawdziwa łamigłówka. Jaki? Ten człowiek, ten zbrodniarz, którego sprowadzono do więzienia pod tak silną strażą, z taką ostrożnością, którego, jak dzikiego zwierza osadzono w samotnej klatce, nie dopuszczając nikogo do niego, a teraz uwalniają go, jak gdyby był niewinnym? Smutno mi się zrobiło, tęsknota niewytłumaczona i rozpacz osiadły w mojem sercu.

— Znowu pozostanę sam, sam jeden.

Ledwie to pomyślał, dyrektor z jednorękim wyszli znowu na dziedziniec.

Jednoręki przywołał mnie do siebie.

Zbliżyłem się i zdjawszy czapkę, stanąłem przed dyrektorem. Wówczas jednoręki rzekł:

— Wielmożny panie dyrektorze, a tego biednego chłopaka, czy nie możnaby równie udarować wolnością? Zbrodnia jego, to głupota, nic więcej, już zapewne dość odcierpiał.

— Jakże się nazywa? — zapytał dyrektor.

— Teodor Silin.

— A! Silin. Wiem już. No i on wkrótce zostanie wypuszczony na wolność. Głupi chłop i zarozumiały. Trzeba go było nauczyć rozumu, a przede wszystkim oćwiczyć jak należy, by się nie mieszał w sprawy, których nie rozumie i które do niego nie należą. Wiadomości co do niego, o ile wiem, już zostały zebrane. Prawdopodobnie w ciągu tygodnia lub dwóch, zostanie uwolniony.

— Doskonale — rzekł jednoręki.

Dyrektor odszedł, a on odprowadzając mnie na stronę — rzekł:

— Mój młody przyjacielu, skoro cię stąd uwolnią, przyjdiesz do domu zajezdnego ¹⁾, w Kildejowie i zapytasz się o gospodarza, nazwiskiem Iwan Sacharow. Ja tam już będę, pogadamy ze sobą, ale pamiętaj, że przysiągłeś być mi zawsze i wszędzie posłusznym.

Poczem rozstaliśmy się.

W ciągu tygodnia i ja nareszcie wydostałem się na wolność.

Zaraz więc zgłosiłem się do zajazdu, do którego kazał mi pójść jednoręki i rzeczywiście zastałem samego gospodarza Iwana Sacharowa.

Powiedziałem mu, że mnie tutaj przysyła jednoręki.

— Wiem, wiem — odparł tenże. Opowiedział mi już o tobie. Zostaniesz tutaj, a na początek zajmiesz miejsce robotnika, później zobaczymy.

— Gdzież jest jednoręki?

— Nie ma go w domu. On ciągle jeździ za interesami, ale niedługo powróci.

¹⁾ *Postojały dom*, to jest taki, gdzie woźnice stają z wózkami, lub też znajduje się stacya pocztowa.

Tak tedy zostałem robotnikiem, właściwie zaś parobkiem u tego gospodarza, lecz tylko z nazwiska, bo w rzeczywistości nie spełniałem wcale żadnych obowiązków, chyba tylko czasem. Była tu cała, dość liczna rodzina. On, jako gospodarz, jego dorosły syn, jeden parobek i ja czwarty. Było też kilka kobiet różnego wieku; jednoręki zaś to przyjeżdżał, to odjeżdżał, jak mu wypadło, lub jak mu się spodobało. Gospodarstwo, byli to ludzie nadzwyczaj skrupulatni, twardzi, pobożni, jednym słowem *starowiercy*. Spełniali bardzo ściśle obrządki swojej sekty, nie palili zgoła tytoniu i nie używali żadnych gorących trunków.

Parobek Kuźma, który tu służył, wydał mi się być prawdziwym niedołęgą. Wysoki, chudy, z włosiem zawsze najeżonym na głowie, a do tego czarny, jak murzyn.

Jak tylko usłyszał dzwonek zbliżającej się do zajazdu trójki, zaraz uciekał i chował się w krzaki. Jednorękiego bał się bardziej, niż śmierci. Skoro go ujrzał zdaleka, zmykał i krył się w najgęstsze krzaki, w największą w lesie gęstwinę i zamtąd nikt go wywołać nie był w stanie, nawet sam gospodarz. Kiedy zaś sam jednoręki przydybał go na miejscu i zawołał, szedł za nim bez oporu, jak legawiec za myśliwym, lub jagnię za owcą, nadto wykonywał wszystko, co mu kazano.

Jednoręki, jak już mówiłem, odwiedzał nas bardzo rzadko i ze mną prawie nigdy nie rozmawiał. Zwykle siadywał z gospodarzem, prowadził z nim cichym głosem rozmowę i zdaleka tylko przypatrywał się mojej robocie. Jeżeli zbliżałem się do niego i chciałem go o co zapytać — odpowiadał:

— Nie mam teraz czasu.

Mnie na to jakiś szczególnie, a bardzo przykry ból ranił serce, sam nie wiedziałem dlaczego.

Bywały takie dni i takie godziny, w których sam się do mnie zbliżał, zatrzymywał na drodze i mówił:

— Czekaj cierpliwie mój przyjacielu, jak się tutaj na dłuższy czas osiedlę, będziemy mogli rozmawiać ze sobą.

Gospodarz wprowadził nie przeciążał mnie robotą, miałem obfity i pożywny wikt, nigdy też nie wyrzekł do mnie marnego słowa, ale mnie się okropnie przykrzyło, tem więcej, że tylko bardzo rzadko używany byłem do obsługi obcych gości, lub ich odwoziłem.

Najczęściej jechał albo sam gospodarz, albo jego syn; zdarzało się to prawie zawsze nie we dnie, lecz w nocy.

Powtarzam panu, przykrzyło mi się okropnie, bo jakże żyć bez zajęcia, bez pracy.

W tym stanie upłynęło od mojego przybycia blisko pięć tygodni.

Jednego wieczoru, powróciwszy z młyna do domu, zobaczyłem, że pełno było gości, cała izba zatłoczona była ludźmi.

Wyprzągłem konia z wozu i chciałem go odprowadzić do stajni, gdy spotkałem się z gospodarzem.

— Nie wchodzić do izby — rzekł, czekaj, dopóki cię sam nie zawołam. Czy rozumiesz? Powtarzam, nie powinienes wchodzić do izby i czekać na moje zawołanie.

— Co to znaczy? — pomyślałem, ten zakaz gospodarza wydał mi się szczególnym i zmusił do zastanowienia się nad słowami Sacharowa.

Zamyślony odwróciłem się od domu i nie wiele robiąc sobie z zakazu, poszedłem do stodoły na spoczynek. Nie mogłem usnąć w żaden sposób. Nagle

przypominam sobie, że na studni zostawiłem siekierę, trzeba więc ją stamtąd zabrać.

Przechodząc około izby gościnnej, mimo mej woli, spojrzałem przez okno od środka. Była tu straszna ciżba. Przy stoliku, na środku, siedział asesor sądowy, przed nim przysmaki: »wódka i pierogi«, a dalej nieco papier, pióro i kałamarz. Najniewątpliwiej prowadził on śledztwo.

Przeraziłem się okropnie, gdy na ławce, tuż około stołu dostrzegłem jednorękiego. Siedział skulony, związany na rękach i nogach, z brodą starą i włosami w nieładzie. A wzrok jego iskrzył się, płonął, jak rozżarzone węgle.

Chciałem koniecznie coś zachwycić z rozmowy, prowadzonej w izbie, więc też odsunąłem się od okna i stanąłem nieco dalej z boku. Było to w późnej jesieni. Noc ciemna, choć na niebie iskrzyły się miliony gwiazd; tej nocy nie zapomnę nigdy w mojem życiu. Rzeka głośno pluskała, fale z głuchym hukiem odbijały się od skalistego jej brzegu, z lasu dochodził szmer tajemniczy, jakby jęk — ja sam byłem jak odurzony.

Odszedłem powtórnie od okna, a zbliżywszy się do rzeki, usiadłem na brzegu. Nie wiem dlaczego, dreszcze przebiegały moje ciało, a taki ciężar jakiś ugniatał piersi, że mimowoli zawołałem: »Boże ratuj«!

Jak długo tam przesiedziałem, tego nie powiem, bo nie wiem. Ocuciłem się dopiero, gdy usłyszałem dzwonek, jęczący gdzieś w dali; dzwonek ucichł, a natomiast rozległy się czyjeś kroki i około mnie przeszedł mężczyzna w białej czapce i z kosturem wielkim w ręku. Poznałem w nim pisarza gminy — mieszkał o cztery wiorsty od naszego zajazdu. Przeszedł przez most, a potem raptem zwrócił się na drogę, do domu mojego gospodarza.

Prawie nie wiedząc co czynię, poszedłem w ślad za nim i przystąpiłem do okna.

Pisarz wszedłszy do izby, zdjął czapkę i rozglądał się do koła, jakby właściwie nie wiedział, dla czego tutaj go wezwano.

Wreszcie zbliżył się do niego jednoręki i pozdrowił go słowami:

— Dzień dobry Iwanie Abramowiczu! Oczy starego świeciły piekielnym ogniem. Gospodarz pociągnął go za rękę i coś szeptał na ucho. Pisarz nie mógł się powstrzymać od zdumienia. Potem przystąpił do asesora, który już dobrze podchmielony — spojrzał na niego zamglonym wzrokiem. Pozdrowiono się wzajemnie.

— Czy znasz pan tego człowieka — zapytał asesor, wyciągając rękę w kierunku jednorękiego.

Pisarz porozumiał się wzrokiem z gospodarzem.

— Nie — rzekł.

— Co to znaczy — pomyślałem naówczas; on go nie zna, a to paradne; wiedziałem przecie dobrze że obaj znają się, jak łyse konie.

Potem znowu pyta asesor:

— Czy to jest Iwan Aleksiejewicz, tutejszy mieszkaniec, znany powszechnie pod przydomkiem jednorękiego.

— Nie; to nie on odpowiada pisarz.

Asesor po tych odpowiedział wziął pióro do ręki, coś długo pisał, a potem odczytywał, na nie szczęście dosłyszeć tego nie mogłem. Powoli, powoli, z pojedynczych słów, jakie doszły do moich uszów, złożyłem wreszcie to, co napisał asesor. Miało to niby taki sens, że: »ten stary, co tu siedzi, Iwan Aleksiejewicz nazwiskiem, nie jest Iwanem Aleksiejewiczem«, dalej: »że sąsiedzi najbliżsi, a nawet pisarz gminny, nie uznali tożsamości jego osoby, ani tego,

żeby się miał nazywać Iwanem Aleksiejewiczem, na jakie to nazwisko wydany ma paszport«.

Osobliwe! Tylu ludzi przysięgło, że go nie znają i nie uznają, jako Iwana Aleksiejewicza. Ha! rzecz łatwa do wytłumaczenia, ci wszyscy jak jeden, siedzieli w kieszeni Iwana Sacharowa, będąc mu dłużni znaczne kwoty.

Śledztwo więc ukończone, świadkowie się rozeszli, jednorękiemu jeszcze przedtem, asesor kazał zdjąć kajdany. Następnie wystąpił na scenę i sam Iwan Sacharow, składając paczkę banknotów przed asesorem, który je skrupulatnie, sztuka po sztuce zrachował i schował do kieszeni.

— Teraz mój staruchu — rzekł asesor, zwracając się do jednorękiego, musisz przynajmniej na pół roku oddalić się z tej okolicy. Pamiętaj sobie o tem. W przeciwnym razie umyвам ręce od wszystkiego i niech sobie robią z tobą, co im się podoba.

Co się tam dalej robiło, tego nie wiem, dość mi było widzieć ową scenę pomiatania dobrą wiarą ludzi i uczciwem imieniem. Każdy się łatwo dorozumiał, że ów stary spełnił jakiś łajdacki czyn, za który go aresztowano, a potem pieniędzmi od kary wykupiono.

Szybko odszedłem, kierując się ku stajni, bo spodziewałem się, że mi każą odwiedzić asesora, a przytem nie chciałem, aby mnie przydybano na gorącym uczynku podpatrywania. Ułożyłem się do spania po niejakej chwili i dobrze uczyniłem. Ledwie zdrzemałem się, dał się słyszeć dzwonek.

— Aha — myślę sobie, odwieźli sami asesora!

Wkrótce wszyscy udali się na spoczynek, światła pogaszono i mnie też ogarnęła śpiączka. Znowu przecież usłyszałem odgłos dzwonka — dzwonenie coraz zbliżało się, rozlegało jakimś jęczącym dźwię-

kiem pośród ciszy nocnej. I w domu usłyszano dzwonek, zapalono na nowo światło... Konie nareszcie zatrzymały się. Znany jamszczyk przywiózł świeżych gości, zapewne z grzeczności, bo myśmy się wywzajemniali zawsze, jeśli kto do nas przywoził gości, my na odwrót do niego.

— No — myślę sobie, ci zapewne pozostaną na noc. Zresztą, jak już wspomniałem, rzadko bardzo wyprawiano mnie w drogę z gośćmi, szczególnie w nocy; najczęściej odwoził ich albo sam gospodarz, albo jego syn wraz z parobkiem. Zasnąłem, a właściwie zdrzemnąłem się na chwilę, gdy o to słyszę wyraźnie, jak mój gospodarz rozmawia z jednoremkim.

— Cóż tam nowego? — pyta stary. Gdzie jest Kuźma?

— Właśnie o niego mi chodzi. Iwan pojechał z asesorem, a Kuźma umknął, jak tylko zobaczył tylu ludzi. To waryat, idiota, narwaniec.

— Gdzie Teodor? — pyta o mnie.

— Jak tylko wrócił z młyna, chciał koniecznie wejść do izby, ale go nie puściłem.

— Bardzo dobrze. Pewnie już śpi, czy nic zgoła nie widział?

— Tak sędzę. Poszedł bowiem natychmiast do stajni.

— Dobrze. Czy dziś możemy go użyć do roboty, jak myślisz?

— Alboż on się do czego przyda? — odparł Sacharow.

— Tak jest. Chłop głupowaty, ale posiada olbrzymią siłę — jest mi posłusznym, co najważniejsze; mogę go, jak zechcę, na palec nawinać. Przysięgam, jak wiesz, muszę koniecznie wyjechać stąd na jakie pół roku, trzeba zatem tego prostaka obznajmiać powoli z naszym rzemiosłem.

— Jest nieco podejrzliwy — odpowiedział Sacharow i nie wydaje się być znowu takim głupcem, jak mówisz — przedewszystkiem trzeba go wypróbować.

— Nie; nie potrzeba; ja go znam doskonale. Jest on chłop głupkowaty, prostak, a takich właśnie nam potrzeba. Kuźmy musimy pozbyć się koniecznie, bo jeszcze nieszczęścia narobi.

Zaczęli tedy wołać: Teodor! Teodor!

Nie miałem odwagi odezwać się i udałem, że nie słyszę. Wtedy wszedł stary do stajni i zaczął mną poruszać w ciemności.

— Wstawaj Teodorze! — mówił przyjacielskim tonem. Czy twardo spałeś? — dodał, wpatrując się we mnie swym piekielnym wzrokiem.

— O tak — odpowiedziałem.

— Mój przyjacielu — rzekł znowu, musisz wstać, trzeba będzie odwieźć kogoś z gości. Czy pamiętasz o swojej przysiędze?

— Tak — rzekłem. Włosy jednak powstały mi na głowie, zęby szczękały, jakby z chłodu, drżałem, krew ścięła się w moich żyłach.

— Czas nareszcie nadszedł — dodał. Pamiętaj co ci kiedyś powiedziałem. Przedewszystkiem zaś zaprząż konie do wózka, tylko prędko. Podróżni spieszą się, więc niecierpliwią.

Zaprzągnąłem konie, choć serce uderzało mi w pierś, jak młotem. Robiłem wszystko bezwiednie, jakby to było we śnie.

Także i stary okulbaczył swego konia, małego, gniadego podjezdka, który go słuchał jak pies legawy myśliwego. Czynił to jedną ręką. Po tem wskoczył na siodło, szepnął coś na ucho koniowi i puścił się cwałem.

Byłem i ja już gotów, podjechałem tedy pod ganek.

Kiedy się po chwili obejrzałem za siebie, już jednoreki, pędząc co koń wyskoczy, zbliżał się do lasu. Wprawdzie jeszcze nie wszedł księżyc na niebo, można przecież było rozpoznać figurę starego i jego konia. Niezadługo znikł w ciemnościach lasu, a ja, jakby mi ciężar spadł z piersi, odetchnąłem z całą swobodą.

Pani, którą kazano mi odwieźć do najbliższej stacji pocztowej, przywołała mnie do izby. Była to młoda dama z trojgiem dzieci, z których jedno od drugiego było młodsze. Najstarsze mogło mieć lat cztery, a najmłodsze zaledwie dwa lata.

Spojrzawszy na te dzieci i na tę kobietę, uczułem litość w sercu i mimowoli szepnąłem w duchu:

— Dokądże, nieszczęsna matko, prowadzi cię twoja błędna gwiazda przeznaczenia — gdzieś w pustkowiu, w otchłani, samą, bezbronną, bez pomocy i opieki mężczyzn.

Pani nadzwyczaj uprzejma i grzeczna przywołała mnie do stołu, naleła herbaty i poczęła wypytywać, czy droga dobra, czy okolica bezpieczna, czy nie zdarzają się tu wypadki napadu, lub rabunku.

— Nic o tem nie słyszałem — rzekłem, bom nie chciał przerażać kobiety, już i tak widocznie wystraszonej.

Miała ze sobą sporo pakunków i pudełek — jechała ekstrapocztą, sama z trojgiem niewiniątek. Jej serce macierzyńskie, jakby przeczuwało niechybne niebezpieczeństwo.

Umieściłem rzeczy i moich pasażerów na wózku i wyjechaliśmy.

Było to może na dwie godziny przed wschodem słońca.

Już ujechaliśmy blisko dwie wiorsty, gdy zauważyłem, że koń dyszlowy czegoś się spłoszył i uskoczył w bok.

— Co to jest? — pomyślałem.

Zatrzymałem tedy konie i rozejrzałem się dokoła.

Naraz z gęstych zarośli, ciągnących się bokiem drogi, wyskoczył Kuźma. Stał na środku drogi, rozkrzyżował ręce, spojrzał na mnie i zaczął zcichachichotać.

— Oby nas Bóg ustrzegł od nieszczęścia — pomyślałem, drżąc cały, jakby mnie wiatr chłodny owiał; moi zaś pasażerowie mali siedzieli spokojnie, tylko ona pobałdła śmiertelnie, mając oczy pełne łez. Biedna płakała.

— Boję się was wszystkich — zawołała.

— Bóg z tobą, moja droga pani. Przecież nie jestem mordercą, ani rozbójnikiem. Dlaczego pani nie chciałaś zanocować na stacji?

— Bo tam jeszcze straszniej. Poprzedni woźnica obiecał mi, że dojedziemy do wsi na noc, tymczasem zawiózł mnie do tego okropnego domu w lesie i zostawił. Ten stary, taki ma okropny wzrok — dodała.

— Cóż więc mam czynić? Czy życzysz sobie pani wrócić napowrót, czy też jechać dalej? — zapytałem, starając się ją pocieszyć i uspokoić. Zaledwie o kilkanaście kroków od nas znajdował się ten przekłety wawóz, ta straszna pieczara i ten czartowski palec, na którego wspomnienie wszystka krew uderzyła mi do głowy.

Pani widząc, że i mnie udzieliła się jej obawa — uśmiechnęła się przez łzy.

— No, no, siadaj na kozioł — rzekła uprzejmie. Wracać nie życzę sobie za żadne skarby świata, tam tak okropnie, zdawało mi się, że z każdego kąta śmierć wyziera, tu zaś, co bądź się stanie, wolę jechać dalej; masz tak pocziwe spojrzenie!

Miała słuszność moja podróżna. Teraz boją się mnie ludzie, trwożą na mój widok, przezywając Za-

bójcą, ale przedtem, dawniej, inaczej było; jeszcze w owym czasie piętno Kaina nie plamiło mego czoła.

— Rozmawiajmy mój przyjacielu — rzekła, przy czem uśmiechnęła się i — uśmiech ten skrzepił moją odwagę i nieco uspokoił. Wypytywała się o moje całe życie i przyznała się, że spieszy do męża; podobno był zesłany, ale bogaty.

— Dawno mieszkasz u tego gospodarza — rzekła wreszcie, a może służyysz u niego?

— Służę — ale niedawno.

— Jacy to ludzie?

— Kto ich tam zna. Wiem tyle, że są bardzo nabożni, nie palą tytoniu i nie piją wódki.

— To rzecz poboczna, drobnostka.

— Wiec jakże powinni żyć? — zapytałem, bo zdawało mi się, że taka rozumna kobieta i mnie w tym razie udzieli jakich rad lub wskazówek.

— Umiesz czytać?

— Cokolwiek.

— Powiedz mi, jakie jest najgłówniejsze przykazanie w Biblii?

— Miłość bliźniego.

— Tak jest — dodała. Miłością bliźniego nazywa się poświęcenie bez granic dla bliźnich, oddanie się im całą duszą. Na tem przykazaniu opiera się wszechświatowe prawo. Należy jednak kształcić się i nabywać coraz więcej rozumu, aby łatwo rozróżnić dobre od złego. Picie wódki, lub kurzenie tytoniu, nie stanowi ani przymiotu, ani wady człowieka, to tylko rzecz nawyknienia, które zamieniło się w nałóg.

— Ma pani słuszość, ale jednak, jak ja sobie wyobrażam, człowiek nie poddający się nałogowi, zasługuje na pochwałę.

Tak rozmawiając, jechaliśmy nie spiesząc się, noga za nogą i wreszcie dostaliśmy się do lasu i do

rzeki. Przeprawiliśmy się promem. Czasami bywają lata, że rzeka jest tak płytka, tak mało w niej wody, że prom niepotrzebny, bo się bezpiecznie wpław przebędzie.

Tym razem rzeka szumiała, mocno wezbrana.

Dzieci zbudziwszy się, rozglądały się ciekawie.

Noc ciemna, nieprzenikniona mrokiem, jakby czarna opona pokrywała jeszcze ziemię. Las i drzewa szumiały złowieszczo, strasznie — gwiazdy jaskrawo świeciły na niebie.

Gdy wjechaliśmy w głąb lasu, mnie coś schwyliło za serce, coś zaciężyło na duszy. Posłyszałem wyraźnie w pewnem oddaleniu, że ktoś do nas się zbliża, odgłos tententu konia coraz stawał się wyraźniejszy, coraz się głośniej rozlegał. Nie mogłem wprawdzie rozpoznać posuwającej się szybko czerwonej masy, ale zdało mi się, że to niewątpliwie podjezdek jednorękiego. Czułem, że we mnie zamiera serce, oddech tamowała mi obawa. Bytność jednorękiego w tem miejscu zapowiadała coś okropnego.

— Czego chce ten stary odemnie i dlaczego dziś przypomniiał mi wykonaną przysięgę? Dlaczego nie uczynił tego wcześniej? Na samo wspomnienie o nim krew ścinała się w moich żyłach. Lubiłem go dawniej, mimo to, gdy spojrzał na mnie swym szatańskim wzrokiem, byłbym wolał być wówczas pod ziemią.

Obezwładniało mnie to spojrzenie, byłem bez sił, bez woli, zdaje się nawet, że nic nie myślałem, że stałem się kreaturą bez życia, że byłem prostym manekinem.

Moja podróżna zapytywała mnie o coś raz i drugi, nie byłem w stanie dać jej jakiegokolwiek odpowiedzi. Widocznie wystraszona mojem zachowaniem się, tak szczególnem, umilkła, tylko bladeść śmiertelna jeszcze silniej zarysowała się na jej twarzy.

Droga coraz zężała się — już podjechaliśmy do tej części lasu, w której ponura ciemność zdawała się chłonać wszystko w siebie, jak ziejąca śmiercią przestrzeń.

Siedziałem na kozle bez ruchu, nie pamiętam nawet, czym wypuścił z rąk lejce, czy trzymałem je jak dawniej. Konie znały dobrze drogę, więc szły same. Już tylko kilkanaście kroków oddzielało nas od tego strasznego miejsca, które panu pokazywałem. Nagle, tuż na drodze, a prawie obok wozu ukazał się jednoręki na swym koniu, a wzrok jego był tak płomienny, że w ciemności nocy zdawało się, jakby sypały się iskry.

Konie stanęły.

— Teodor! — krzyknął jednoręki, zjeżdż z kozła.

Spełniłem rozkaz bez myśli i on również zsiadł z konia; podjezdek stał bez poruszenia i moje też konie zatrzymały się w miejscu jak wryte, jakby oczarowane.

Jednoręki przystąpił do mnie, coś mi szeptał, potem wziął za rękę i doprowadził do wózka. Przypadkiem spojrzałem na moje ręce i o nieba! przekonałem się, że trzymam topór.

— Zgrzesz teraz! — zawołał jakimś chrapliwym, jak zgrzyt pilnika głosem, a później będziesz za grzechy żałował.

Były to jedyne wyrazy, jakie utkwily w mej pamięci, jakie dzwieczą ciągle mi w uszach.

Stanęliśmy tuż przy wózku, on usunął się nieco na bok.

— Zaczynaj! Naprzód tnij w czoło tę kobietę! — zawarczał dzikim szeptem.

Wówczas zwróciłem spojrzenie na wózek.

O Boże! Błada, jak ściana, jak gołębek niewinny, przewidujący grożącą mu śmierć niechybną, siedziała

moja podróżna nachylona, z rozpostartymi nad dziećmi rękami, jakby pragnęła osłonić je, obronić własną piersią, własnem życiem. Spojrzenie jej bolesne, pełne trwogi, wpijało się w moją duszę. Serce tłukło się mi w piersiach. Dzieci zbudzone ze snu, patrzyły swymi mądrymi oczkami, uśmiechały się bez trwogi, spokojne, nie przeczuwając wcale, co im groziło.

Widok ten powrócił mi przytomność, ocucił, otrzeźwił. Otworzyłem oczy, podniosłem w górę topór... krew skrzepla w moich żyłach... W mojem sercu szalał jedynie gniew... Wiedziałem, że popełnię krwawą zbrodnię, a jednak w mojem sercu nie zbudziła się litość.

Po raz drugi spojrzałem na starego.

Jego oczy błyszczały zielonkawem światłem... płomieniem krwawej barwy... Pojął doskonale walkę, toczącą się we mnie i ugiał się, zwinął jak nędzny robak, jak padalec wysuwający żądło. Podniosłem ramię i uderzyłem z całej siły... stary zaledwie jęknął i potoczył się na ziemię. Odrzuciłem go w tył nogą... Boże przebacz mi ten czyn!

Opowiadający ciężko odetchnął.

— Cóż dalej? — zapytałem, gdy umilkł, pogrążony w myślach.

— Co dalej? — rzekł, podnosząc głowę, słuchaj pan. Jeszcze nie odzyskałem całej przytomności umysłu, gdy dostrzegłem, jak z góry pędził na koniu Iwan Sacharow z dubeltówką w ręku. Zeskoczyłem z kozła i pobiegłem ku niemu, narażając się na strzał, jednakże strach go objął, gdy ujrzał, co się stało i nie czekając, umknął w las, w pełnym galopie konia.

Teraz już uspokoiłem się zupełnie, wszedłem na kozioł, nie spojrzawszy na nikogo, zaciąłem konie, ale nie ruszyły z miejsca. W poprzek drogi, jak wro-

śnięty w ziemię dębczak, stał koń jednorękiego — o nim całkiem zapomniałem.

Należało koniecznie usunąć podjezdka z drogi, bo ją zagrażał.

Zszedłem z kozła, zbliżyłem się do niego, pochwyciłem za uzdeczkę, ciągnąłem, szarpałem, to w tę, to w ową stronę, ale na próżno; zacząłem okładać go batem i to nie pomogło, koń jak był nauczony, stał, strzygł uszami i nie ustępował na krok. Musiałem zatem i konia zabić, tak, jak to uczyniłem przed chwilą z jego panem.

— Kochana pani — rzekłem do podróżnej, racz pani na chwilę wysiąść i wysadzić dzieci, boję się, aby konie nie spłoszyły się i nie wzięły na kiel, kiedy w ich oczach zabiję to przekłete zwierzę.

Jak dziecko bez woli własnej, była mi posłuszną, wysiadła. Dzieci naśladowały matkę, trzymając się jej sukni. I one także bały się. Mnie to zaniepokoiło wielce, nie było wszakże innej rady, musiałem przecież koniecznie wydobyć się z tej ciemni i z tej fatalnej miejscowości.

Zawróciłem w bok wóz, a sam wzięwszy topór, zbliżyłem się do stojącego na jednym i tem samem miejscu podjezdka.

— Ustąp z drogi — krzyknąłem z wściekłością. Począł strzydz uszami, jakby w odpowiedzi, że nie myśli słuchać mego rozkazu.

Wówczas zaćmiło się mi w oczach, z całą siłą ciałem toporem, a kiedy padł, pociągnąłem go za nogi ku brzegowi lasu i ułożyłem obok jego pana.

— Niech nie rozłączają się ze sobą! — dodałem w duchu. Jedziemy, pani, siadajcie!

Pani umieściła naprzód w wózku dwoje dzieci, trzeciego jednak dźwignąć nie mogła.

— Pomóż mi — prosiła.

Dziecko już wyciągnęło do mnie rączyny, już miałem go wziąć, gdy nagle jak błyskawica, przebiegła przez moją głowę myśl:

— Nie, nie, weź go pani sama, ja nie mogę, bo przelałem krew!

Nareszcie po raz trzeci wsiadłem na kozioł i pochwyciwszy lejce, cmoknąłem na konie. Konie parsknęły, ale nie ruszały z miejsca.

— Co tu począć? Posadź pani dziecko najmłodsze na kozle, ale go trzymaj!

Uczyniła, jak chciałem, ja też wówczas zacząłem okładać konie batem. Popędziły jak szalone. Widocznie, pragnęły uciec od miejsca zbrodni.

Już samym rankiem dojechaliśmy do wsi. Wyśadziłem moich podróżnych na stacyi, a sam natychmiast udałem się do sądu, prosząc o aresztowanie mnie, ponieważ zabiłem człowieka.

Mimo to, zacna pani nie opuściła mnie.

W parę chwil po mojem zameldowaniu się w sądzie przybyła tam także wraz z dziećmi i żądała przesłuchania, jako świadek naoczny. Opowiedziała też wszystko z najdrobniejszymi szczegółami i rzecz dziwna, domagała się uporczywie wypuszczenia mnie na wolność.

— On mi uratował życie i moim dzieciom — wołała.

Nie pomogły prośby, zakuto mnie w kajdany. Biedna kobieta płakała, błagała.

— Za cóż go kuć w kajdany! — wołała, załamując ręce z rozpacz. Wszak spełnił szlachetny czyn, obronił z niebezpieczeństwem własnego życia, mnie i dzieci moje; gdyby nie jego pomoc, padłabym ofiarą ukartowanego morderstwa.

Tak była tem strapiona, że odchodziła prawie od zmysłów.

Skoro nareszcie przekonała się, że jej prośby nie pomagają, rzuciła się ku mnie, chcąc gwałtem zerwać mi kajdany.

Usiłowałem ją uspokoić, pocieszyć i również błagałem, by się nie narażała daremnie.

— Uspokój się pani. Bóg sprawiedliwy sam osądzi, czy jestem winien lub nie, a dobrzy ludzie posłuchają i pójdą za Bożym wyrokiem.

— Czemże ty mogłeś zawinić? — zapytała.

— Moją głupotą, a raczej moją pychą. Ona to mnie poprowadziła i oddała w ramiona tych rozbójników. Pragnąłem wyrzec się świata, nie słuchałem ludzkich rad i zawierzyłem mojemu własnemu rozumowi. To mnie właśnie zgubiło.

Pani ostatecznie zrzekła się dalszej za mną instancyi.

Kiedy zaś odjeżdżała, przysłała uściskać mnie po raz ostatni.

— Biedny przyjacielu — rzekła z płaczem, — dzieci, pożegnajmy naszego wybawcę.

— Co pani czynisz — zawołałem, pragniesz chyba schaćbić własne dzieci. Jestem zabójcą!

Nie chciała ustąpić. Byłem pewny, że dzieci lękać się mnie będą i nie zbliżą się do mnie. Omyliłem się.

Najmłodsze do ucałowania podała mi sama, a kiedy najstarsze objęło mnie za szyję swemi rączkami i przycisnęło usta do mojej twarzy, nie mogłem się już powstrzymać — zapłakałem, łzy z oczów popłynęły mi strumieniem.

Jakże dobra i szlachetna była ta kobieta. Być może, Bóg wysłucha jej modlitw i dla niej samej przebaczy mi moje winy.

— Jeżeli, choćby tylko odrobina sprawiedliwości istnieje na ziemi — rzekła, będziesz wolny. Ja nigdy, nigdy, do śmierci, nie zapomnę o tobie.

Rzeczywiście nie zapomniała.

Wiadomo panu, że każdą sprawę wygrać można, gdy ją sprowadzimy na złote mosty, a u nas tem bardziej zakorzeniło się przekupstwo. Niezawodnie siedziałbym jeszcze do dzisiejszego dnia w więzieniu, gdyby do mojego uwolnienia nie przyczyniła się ona i jej zacny mąż.

— Więc trzymano cię ciągle w więzieniu?

— Bardzo długo.

— Jakże się skończyło?

— Pani przysłała na moje imię 500 rubli z listem od swojego męża. Gdzie jednak wsiąkły te ruble, zaraz panu opowiem.

Przyszedł raz jednego do mojej celi asesor sądowy i kazał mi iść za sobą do kancelaryi.

Skoro znaleźliśmy się w biurze tego pana — zapytał się:

— Wiele mi ofiarujesz za udarowanie cię wolnością?

Ach ty łotrze — pomyślałem w duchu; żądasz za to pieniędzy? Sądź mnie jak najsurowiej i wydaj wyrok jaki ci się spodoba; ja pragnę ukarania, ale podług prawa, i wtenczas ukorzę się przed tobą. A ty żądasz pieniędzy?

— Nic nie dam — rzekłem głośno. Chcę być sądzonym, jak prawo nakazuje i ukaranym wedle słusznego przepisu prawa.

Roześmiał się.

— Jesteś głupiec i zapalona głowa — odpowiedział. Podług prawa na twoją dzisiejszą sprawę można zapatrywać się, a tem samem i sądzić, z dwóch różnych punktów. Prawo jest zamknięte tu, w mojem biurku, a ja mam moc i siłę zrobienia z tobą, co mi się spodoba.

— Nie rozumiem.

— Bo jesteś głupiec, tupa głowa. Słuchaj mnie: wszak obroniłeś ową panią i jej dzieci; wszak tak?

— Otóż zdaje ci się, że można ten czyn poczytać ci za cnotę! Rzeczywiście, sądząc wedle twego sumienia, był to istotnie czyn szlachetny. To jedna strona.

— A druga?

— Druga? Przypatrzyć się sobie, jeżeli możesz. Jesteś olbrzym, a ten stary, jednoręki, wobec ciebie przedstawiał się, jak dziecko, jak słabowite kurczę! Gdyby chciał namówić cię do zbrodni, uważaj tylko dobrze, co ja mówię, gdyby cię namawiał do mordu, mógłbyś go zetrzeć w swoich rękach, a w ostatecznym razie związać jak barana i odstawić do właściwej władzy. Cóżes ty jednak zrobił, jakieś postąpił? Tego starca, nie posiadającego nawet jednej milionowej cząsteczki siły, jaką ty posiadasz, ciąłeś toporem, nie mówiąc do niego ani słowa. Jakże się nazywa taki czyn w obliczu prawa? Czy wiesz, czy pojmujesz? Nazywa się nadużyciem, samowolą; wymierzyłeś sobie sam sprawiedliwość, gdy tymczasem jest to prawem jak najsurowiej wzbronione. Czy teraz rozumiesz?

— Rozumiem. Mimo to, pożądam wymiaru sprawiedliwości, jakkolwiek pan ten mój czyn zechcesz tłumaczyć i nazywać. Nie dam nic, nie dam nic!

Asesor ogromnie się rozgniewał.

— Dobrze. Oświadczam ci więc, że zanim nastąpi wyrok, zanim zostaniesz osądzonym przez prawo, zgnijesz w więzieniu.

— E! E! Nie boję się pańskiej groźby.

Odprawiono mnie napowrót do więzienia, pan asesor rzeczywiście miał zamiar wypełnić swoją groźbę, tymczasem nie wiedział, że moja podróżna także ze swej strony używała wszelkich środków dla

wydobycia mnie z więzienia. Nadesłano jakieś pismo, czy też skargę, która mojego sumiennego sędziego w kozi róg zapędziła. Powtórnie kazał mnie sprowadzić do kancelaryi, piorunował, krzyczał, ale ostatecznie jeszcze tego samego dnia musiał mnie uwolnić. Tak więc, bez sądu, pozyskałem swobodę. Dotąd nie mogę sobie wytłumaczyć, jakim to dokazane zostało cudem. Opowiadano mi później, jakoby mieli przybyć istotnie rzetelni i sprawiedliwi sędziowie. Bóg może raz przecie pozwoli na wprowadzenie sądów przysięgłych. Pragnąłbym dożyć tej chwili!

— Cóż się stało z Iwanem Sacharowem?

— Iwan Sacharow przepadł bez wieści. Pomiedzy nim a jednorękim zawarty został układ, że Sacharow powinien w pewnej od nas odległości pilnować mnie i kontrolować. Na wypadek zaś, gdybym nie dokonał mordu, Sacharow powinien mnie być zastrzelić. Bóg zrządził inaczej. Kiedy nareszcie Sacharow nadjechał, już było po wszystkim. Uciekł tedy przerażony, obawiając się o bezpieczeństwo własnego życia. Później dopiero dowiedziałem się, że tego samego dnia pojawił się w swym domu, wykopał pieniądze, ukryte oddawna w ziemi, i nie opowiadając się nikomu, uciekł do lasu. Nazajutrz dom jego objęły płomienie, całe zbójeckie gniazdo spłonęło, pozostała zaledwie kupa popiołu i kilka belek niedopalonych. Kto był sprawcą owego pożaru, czy Kuźma, ten nieszczęsny idiota, czy też sam Sacharow podpałił dom, nikt nie wie. Kobiety, znajdujące się w tym domu, podobno poszły na zebranie, a syn Sacharowa siedział w więzieniu, nie posiadając środków wykupienia się.

— Stójcie moje sokoły — zawołał z radością mój woźnica.

Przybyliśmy właśnie do oznaczonego miejsca.

— Dzięki Bogu, dowiozłem pana szczęśliwie, już oto i słonko poczyna świecić...

4. Syberyjscy Wolterianie.

Minał już blisko miesiąc od spotkania się mojego z Zabójcą; załatwiłem i uporządkowałem wszystkie sprawy i konieczne interesa, jechałem przeto z powrotem do gubernii N. pocztą i około południa przybyłem do stacyi Z.

Mój dawny przyjaciel, gruby poczmistrz, stał przede drzwiami, z cygarem w ustach.

— Chcesz pan zapewne koni? — zawołał, zanim przywitaliśmy się ze sobą.

— Tak jest.

— Nie mam, nie mam, kochany panie!

— Jakto? Wasili Iwanowiczu, przecież widzę w stajni...

Rzeczywiście w stajni stała trójka gotowa, bo w zupełnej uprząży.

Wasili Iwanowicz roześmiał się serdecznie.

— Nie mam koni, jak pana považam. Teraz wreszcie nic pana do jazdy pospiesznej nie nagli, zechciej więc cierpliwie poczekać.

— Dlaczego? Czy przygotowujesz się pan na przejazd gubernatora.

— Gubernatora! — powtórzył z uśmiechem. Bynajmniej, ale spodziewam się radcy dworu, i jemu to właśnie chciałem się przysłużyć. Nie gniewaj się pan, ja i panu radbym przypodobać się, lecz widzę, że panu wcale nie pilno. Przeciwnie zaś, pan radca dworu jedzie w interesie cierpiącego społeczeństwa, w imieniu sprawiedliwości i zbadania ludzkiego rodu, zatem dla niego potrzebne są konie bez najmniejszego opóźnienia.

— Cóż tu ma do czynienia sprawiedliwość? Co się stało tak ważnego?

— Zaraz, chwilę tylko cierpliwości, a opowiem panu ze szczegółami. Ale racz pan wejść pod strzechę ubogiej mojej chaty.

Poszedłem za nim do owej ubogiej chaty i z wielkiem podziwieniem zastałem korpulentną damę, siedzącą przy stoliku, przy herbacie.

Gospodarz załatwił się z wzajemnem przedstawieniem, a następnie rzekł:

— Pytałeś się mnie pan, o ile przypomnieć sobie mogę, jaką tu rolę w gotowości lub niegotowości koni pocztowych, odgrywa sprawiedliwość. Czy tak? Wzajemnie ośmielę zadać panu pytanie, czy jest panu znanym pan Proskurow?

— Skądżeby pan miał znać Proskurowa, takiego prawie nicponia, jak mój szanowny małżonek — wtrąciła pani domu, Matrena Iwanowna. On podobno nawet bawi się w pisanie do gazet.

— Przepraszam cię — odparł energicznie Wasili Iwanowicz, wyrządzasz panu radcy niezasłużoną krzywdę, nazywając go nicponiem. Proskurów, moja luba połowico, człowiek wysoko położony, a przytem ulubieniec zwierzchnika i kolegów. Powinnaś złożyć Bogu serdeczne dzięki, że twój mąż zaszczyca się podobną znajomością. Cóż ty myślisz, kto to jest ten pan Proskurow? Alboż rząd, mianując do ważnych spraw sędziego śledczego, wybierał go z grona kieszonkowych złodziei lub rabusiów?

— O czym właściwie pan mówisz, nic a nic tego nie rozumiem? Któż to są, ci panowie sędziowie śledczy i jaka to, tak bardzo ważna sprawa?

— Chce panu wyjaśnić — odezwała się znowu Matrena Iwanowna. Mój mąż lubi dowcipkować, to jasne jak słońce. Nie jestem przecież tak naiwna,

abym nie wiedziała, jak wyglądają wysocy urzędnicy i dygnitarze.

— Masz pan pociechę: wyprowadziłeś pan swoim zapytaniem moją towarzyszkę życia na jakieś błędne manowce — mówił Wasili, poruszając głową. Co prawda, podobnych posad u nas na partykularzu nie ma, jeżeli zatem rząd mianuje jakąś figurę...

— Dajże mi pan pokój i tłumacz się jaśniej — przerwałem obcesowo, jeżeli pragniesz, abym nakoniec cokolwiek zrozumiał...

— Ha! ha! — zaśmiał się mój przyjaciel. Zapewne wiadomo panu, że w tych czasach, w naszej okolicy zawiązało się stowarzyszenie, a raczej akcyjna spółka, której operacye i działania skierowane zostały na publiczne place, drogi i lasy. Czy słyszałeś pan o tem?

— Naturalnie.

— Owóż, łaskawy panie, członkowie tego stowarzyszenia należą do wszystkich niemal stanów. Hasłem tego stowarzyszenia zwykłe przysłowie: Ręka rękę myje, noga nogę wspiera. Stowarzyszenie cieszyło się publiczną sławą, niektórzy z członków znani byli nawet powszechnie. Powtarzam, znani byli powszechnie z wyjątkiem jego ekscelencyi, pana przewodniczącego. Razu jednego przyszło na myśl ekscelencyi, aby to całe grono rozpedzić. Podobne zamiary miewali i inni przewodniczący, ale się ta sprawa jakoś utarła, członkowie zebrali się na posiedzenie, radzili i uradzili pozostać na swych miejscach. Tym razem sprawa ta przybrała zupełnie inny, a niespodziewany zwrot. Towarzystwo wzbudzało we wszystkich nadzwyczajne oburzenie, istnienie więc jego okazało się niemożliwym, a rozwiązanie koniecznem. Zamianowano tedy urzędnika do szczególnych poruczeń, radcę dworu Proskurowa i zaopatrzono go w peł-

nomocnictwo, nadające mu władzę załatwiania spraw tych, jakie znajdują się obecnie na porządku dziennym, jak i tych, jakie w przyszłości się okażą.

— Nie ma w tem przecie nic nadzwyczajnego!

— Ba, nie ma, to prawda. Zawsze jednak wzbudza podziwienie, że wybór padł na człowieka rzetelnego, sumiennego i energicznego. Już od trzech miesięcy pełni on swoje funkcje. Wywołało to na wszystkich stacyach pocztowych szalony ruch — już nawet zajeżdżono na śmierć około dziesięciu koni.

— Rzecz wyborna, jest to woda na pański młyn, Wasili Iwanowiczu!

— Tak, ale Proskurow nie nadużywa swej władzy i postępuje bardzo legalnie. Natomiast wiejska policja nieustannie domaga się kurierskich koni, pędząc za Proskurowem. Jest to tylko gorliwość zbyt uczciwa. Policja stara się zawsze, by go uprzedzić i pierwiej niż on znaleźć się na miejscu popełnionego czynu. Nie zawsze się to jej udaje. Proskurow, to uosobiony francuski Lecoq. Raz tylko policja zdołała ukryć gdzieś grubą rybę. Proskurow tak był tem zgnębiony, tak odurzony, do tego stopnia się przeraził i zapomniał, że w raporcie słownym władzy napisał: »dzięki usiłowaniom wiejskiej policji, przedsięwzięto wszelkie możliwe i niemożliwe środki zatarcia śladów w tej sprawie«.

— Więc na moje wychodzi. Proskurow i policja nie mają sobie nic do wyrzucenia, oboje lepsi.

— Za pozwoleniem. Że biedny człowiek raz się *poszkapił*, nic nadzwyczajnego, boć zdarzyć się to może najlepszemu, nasprytniejszemu. On to sam zaraz zrozumiał, a kiedy pociągnięto go do odpowiedzialności, wyklamywać się tem musiał, że raport błędnie przepisano, że kopista dopuścił się pomyłki. Na co otrzymał odpowiedź, »aby podobne pomyłki

więcej się nie wydarzały, w przeciwnym bowiem razie otrzyma uwolnienie od służby z powodu zbyt rozstrojonego stanu zdrowia».

— Jakież jest pański udział w tem wszystkim? — zapytałem, gdy Wasili Iwanowicz umilkł.

— Podpieram go i wspomagam. Zawiazaliśmy tu, niech powie sama Matrena Iwanowna, rodzaj sprzysiężenia. On wykorzenia wszelkie złe i chwasty, a ja staram się punktualnie dostarczać mu koni. Na przykład dzisiaj, sprawozdawca jego, dowiedziawszy się, że gdzieś opodał, w okolicy, popełniona została zbrodnia, natychmiast pospieszył do Proskurowa, z uwiadomieniem. Niewątpliwie tedy *tepiciel* złego zjawi się tu lada chwila. Zaraz więc przygotowałem konie, o co też poprosiłem i moich kolegów z sąsiednich stacyj. Widzisz pan zatem wyrażnie, że i na tym mizernym urzędzie można być użytecznym i świadczyć cierpiącej ludzkości bardzo nieraz ważne usługi.

Mój przyjaciel nie mógł poważnie zakończyć swojej przemowy i roześmiał się głośno.

— Czekaj pan — rzekłem, śmiesz się nieustannie, a ja chcę koniecznie, abyś mi pan oświadczył poważnie, stanowczo, czy wierzysz w tę misję, oczyszczającą ludzkość z chwastów, czy też uważasz ją, jako zręcznie zagrana komedję?

Wasili Iwanowicz buchnął kłębami dymu ze swego cygara, ale milczał.

Wreszcie po niejakej chwili — rzekł dość poważnym tonem:

— Wierz mi pan, że ja sam już niejednokrotnie zadawałem sobie toż samo pytanie. Pozwól pan jednak, abym się zastanowił. Ale nie! Jaki cel właściwie ma twoja misya? Rozdrażnić i oburzyć ogół. Tak sędzę podług siebie! Zastanówmy się jednak nad

tem dobrze. Nie wierzę zgoda w powodzenie sprawy, czasami nawet ten *tepiciel* zielsk i chwastów, wydaję mi się... jak figurant bardzo śmieszny, a mimo to wspieram go, przez co oburzam na siebie moich przełożonych. Wszędzie ma on swoich przyjaciół i swoich stronników i na tem to spoczywa jego cała siła. Wszakże godne zaznaczenia, że nikt nie wierzy w jego działanie i dalsze, pomyślne skutki. Matrena Iwanowna wyraziła się niedawno bardzo słusznie, że istotni a wysoko stojący na świeczniku społecznym panowie, inaczej zupełnie wyglądają. Takie też i o nim powszechne jest mniemanie. Gdy on śmiało kroczy po drodze nowego przeznaczenia i niesie wysoko sztandar swej etycznej misyi, znajdują się ludzie, którzy w przechodzie zepchną nieraz kamień nogą, aby mu tym sposobem oczyścić i utorować gładką drogę. Wprawdzie nie wiele to pomaga, ale...

— Dlaczego nie pomaga?

— Bo pomódz nie może nigdy sympatya, gdy nie ma nikt wiary w dobrą, pomyślną sprawę. Tutaj potrzeba urzędnika, mądrego i przebiegłego jak wąż, który byłby zdolnym, do badania krzywych dróg i wyświeetlenia różnych kruczków, który wreszcie potrafiłby w danym razie okazać, że posiada władzę i nie ustępuje, nie ulega pod naciskiem obcym, czyli mówiąc szczerze, który nie dałby się przekupić. Bo jacyż to są urzędnicy w Syberyi? Cokolwiek tu się robi, robi się z rozporządzenia rządu... tymczasem nasza kochana ojczyzna... E! wreszcie dajmy pokój temu, lepiej wypijmy herbatę — dodał Wasili Iwanowicz, machając ręką zniechęcony.

— Żonusiu — odezwał się, nalej nam duszko herbaty, a możebyśmy naprzód wychylili po kieliszku wódki — mówił, zwracając się do mnie.

Wasili Iwanowicz przedstawiał wielce ciekawy typ, jaki jedynie tylko u nas w Syberyi, spotkać można; tylko w Syberyi trafiają się filozofowie szczególnego gatunku, tylko w okolicach zupełnie oddzielonych od reszty świata, na posadach pocztarzy miejscowych, odnajdziesz pan ludzi myślących. Gdyby Wasili Iwanowicz był »zesłańcem«, nie dziwiłoby to wielce. Tu, w Syberyi spotykamy po największej części ludzi wykolejonych, którzy zajmując niegdyś wysokie stanowiska w świecie, upadli i dostawszy się do tej okolicy, zdala od cywilizacji, na nowo na podrzędnych miejscach pracują, wznoszą się powoli, stopniowo i do obcego im obrotu, do nowej dla nich sfery, wprowadzają inne zupełnie obyczaje, umysłowe wykształcenie i kulturę. Wasili Iwanowicz właśnie skutkiem swego liberalnego usposobienia i ducha, wznosił się także stopniowo, powoli, ale stale, na co zapatrywał się ze spokojem i stoicyzmem prawdziwego filozofa. Skutkiem nieznanych pedagogicznych wpływów, które też niejednokrotnie w tym kraju nawet zesłańcom otwierały szerokie drogi do wzniesienia się, przyswoił sobie nawyki i gusta inteligentnego człowieka, pozostał im wiernym całe życie i dla nich to poniekąd rzekł się pewnych zewnętrznych przyjemności i korzyści osobistych.

Przytem był on całą duszą człowiekiem, pełnym artystycznego pokroju. Jeżeli zaś trafiono na jego dobry humor, można go było słuchać całymi godzinami z prawdziwą przyjemnością. Jak z worka, sypał nieustannie opowiadania, anegdoty, obrazki — przed wzrokiem słuchacza rozścielała się panorama istotnie świetnych, a rzeczywistych, naturalnych typów Syberyi, zrodzonych w epoce przeprowadzenia pewnych reform. Wszyscy ci asesorowie, z ich żądzą zdobycia złota, z ich niepomamowaną chciwością; ci sędziowie

i potęgi sprawiedliwości, szafujący swemi łaskami i niełaskami, ci drobni, ale równie uganiający się za dobrobytem i pragnący słodkich wrażeń życiowych, urzędnicy, wszyscy panowie radcy i dygnitarze wszelkich gałęzi służby państwowej, przesuwali się w opowiadaniu Wasilego Iwanowicza w pysznym oświetleńniu. A cały ten wielki i mały świat, nie wyłączając najdrobniejszego zakątka, najciemniejszego zaułka, znany był doskonale Wasilemu Iwanowiczowi i w nim to właśnie jaśnieli niby gwiazdy, owi majestatyczni, wszechpotężni Jowisze, grożący piorunami, a nie posiadający najmniejszej znajomości kraju, i jedynie tylko patrzący na wszystko, na ludzi i na całe społeczeństwo Syberyi oczami petersburskiego departamentu. Niezrównane sylwetki satrapów tego na pół dzikiego kraju, kreślił Wasili Iwanowicz z mistrzostwem i biegłością prawdziwego fotografa natury. Przytem opowiadania swoje ozdabiał wytwornym językiem, barwnem zestawieniem porównań i tą elegancją wysłowienia, jaka jest udziałem ludzi wysokiego wykształcenia. lub badaczy głęboko wnikających w treść ducha, poddających człowieka, że się tak wyrazimy, wiwisekcji psychologicznej. Jako człowiek inteligentny, a był nim rzeczywiście w całym obszernym znaczeniu tego słowa, mógł śmiało powiedzieć o sobie, że ojczyznę swoją kocha w właściwy sobie sposób.

I kochał ją w samej rzeczy, ale po swojemu, to też ten patryotyzm, tak źle pojmowany, zaczął w nim powoli słabnąć. Dowodem najświeższy wypadek. Ktoś zaproponował mu godność, przedstawiającą bardzo szerokie pole do działania. Była to posada w Rosyi. Wasili Iwanowicz, po krótkim namyśle, stanowczo odmówił.

— O nie, kochany panie, dziękuję pokornie za ten zaszczyt. Nie mogę. Co ja bym tam robił. Tam

dla mnie wszystko obce. Tam nie mógłbym nawet nikogo porządnie wyłajać.

* * *

A propos — zapytał mnie Wasili Iwanowicz, kiedy po herbacie zapaliwszy cygara, prowadziliśmy przyjacielską pogawędkę, nie opowiedziałeś mi pan dotąd, co się panu wydarzyło w czasie podróży około pamiętnego wawozu, czy przepaści.

Spełniłem jego żądanie, malując mu jaskrawo znany czytelnikowi wypadek ze wszelkimi szczegółami. Wasili Iwanowicz głęboko zamyślony, wpatrywał się, nie odpowiadając mi słowa, uporczywie w dopalające się cygaro.

— Tak, tak — rzekł po chwili, są to szczególni ludzie.

— Czy ich znasz?

— Cóż mam panu na to odpowiedzieć. Spotykałem się z nimi często, rozmawiałem, nawet piłem nieraz herbatę w ich towarzystwie — śnać ich jednak nie znałem. Panów asesorów i egzekutorów prawa przenikam, odgaduję, być może z pewnego powinowactwa duszy, ale ludzi tych zrozumieć nie jestem w stanie. Wiem tylko jedno, że ten Silin skończy bardzo źle; wcześniej lub później »drapieżne ptaki« pomszczą się na nim krwawo.

— Jakie masz pan przyczyny do sądzenia o tem w podobny sposób?

— Wyborne pytanie! Zechciej pan zatem wiedzieć, że wypadek, jaki się panu wydarzył, nie jest ani pierwszym, ani ostatnim. We wszystkich podobnych wypadkach, skoro żaden z jamszczyków nie da się nakłonić do jazdy z gościem, zgłaszają się do niego i on nigdy nie odmawia. Zwróć też pan na to

uwagę, że on nigdy nie ma broni przy sobie. Mimo to imponuje wszystkim swoją olbrzymią siłą. Od chwili, jak zabił jednorekiego, otacza go pewien *nimb*, pewna sława nietykalności i potęgi fizycznej. Ale to tylko pozory, tylko iluzje. Pomiedzy ludźmi tymi wyrażają się o Zabójcy w ten sposób: Zabójca jest pewny, że go kula nie trafi, ale jednak spróbować nie zawadzi. Kostjuka czeka na niego z gotową kulą; to nie podlega wątpliwości, gdyż się złączył z takimi nicponiami, którzy wcale nie wierzą, aby ktoś urodził się ze szczególnym przymiotem nietykalności.

5. Tępiciel.

Wasili Iwanowicz nagle zaczął nasłuchiwać.

— Poczekaj pan tu chwilkę — rzekł, słysząc odgłos dzwonka, prawdopodobnie nadjeżdża Proskurow.

Wypowiedziawszy to nazwisko Wasili Iwanowicz, odzyskał natychmiast swój dawny, jowialny humor. Szybko zbliżył się do okna.

— Tak jest — zawołał, — to on. Przybywa nasz jenerałny niszczyciel, czy tępiciel brudów i nadużyć, *wykorzeniciel* niebezpiecznych zielsk i chwastów. Patrz pan, czy to nie jest komiczne, ha! ha! ha! Zawsze zjawia się... jak... Filip z Konopi.

Przystąpiłem także do okna. Odgłos dzwonka coraz się więcej przybliżał, z początku widać było tylko olbrzymi tuman kurzu na drodze, ciągnący się od lasu aż do stacji. W miejscu jednak, gdzie się droga krzyżowała, tuż obok góry, wyłonił się wyraźnie cały zaprząg.

Natychmiast spostrześliśmy lekki powóz, zaprzężony w trzy silne bieguny; z pod ich kopyt dobywały się tumany pyłu, mimo to, woźnica nagiął je batem

do coraz prędszego biegu. Po za siedzącym na koźle woźnicą sterczał jak wielki słup, jakiś jegomość w urzędowej czapce z gwiazdką i w ubraniu cywilnem. Jakkolwiek powóz po niezbyt gładkiej toczący się drodze, podskakiwał, trząsł, przechylał się to w tę, to w ową stronę, ów przedstawiciel rządowy, nie zwracał na to wcale uwagi. Stojąc w powozie i opierając się ręką na plecach woźnicy, sokolim wzrokiem rozpatrywał się po okolicy i coś przemawiał do forysia, lub też co chwila dobywał zegarek.

Wasili Iwanowicz, zanim powóz dojechał do stacyi, śmiał się nieustannie; kiedy jednak trójka zatrzymała się przed domem, zasiadł na kanapie i spokojnie palił cygaro, tak spokojnie, jakby nic nie wydarzyło się nowego, jakby przybywający potentat był dla niego wypadkiem pospolitym i wcale go nie obchodził.

Przez kilka sekund w całym domu słyhać było tylko sapanie koni. Nagle otworzyły się drzwi i do izby wbiegł nowo przybyły. Był to mężczyzna blisko 35-letni, niezbyt wysokiego wzrostu, z niezwykajnie wielką głową. Jego płaska twarz z wystającymi kośćmi policzka, koliste, krzaczaste brwi, cokolwiek na bok odgięty nos i cienkie wargi zapowiadały człowieka sprytnego, podejrzliwego i energicznego. Wielkie, szarej barwy oczy, patrzyły śmiało i przenikliwie. Cała postawa Proskurowa i wyraz oblicza znaminowały powagę i surowość. Zarysy regularne wygolonych, wedle przepisów służbowych, faworytów, a przytem jakaś niezwykła gorączkowość ruchów, coś w tem wszystkiem sztucznego, komicznego, całkiem zacierały pierwsiastkowe wrażenie powagi i surowości.

Na progu Proskurow zatrzymał się kilka minut. przyczem rozejrzał się wokoło i kiedy nareszcie spostrzegł Wasilego, natychmiast do niego się zwrócił.

— Kochany panie Wasili Iwanowicz, kochany przyjacielu, na Boga proszę cię, każ mi w tej sekundzie podać konie.

Wasili Iwanowicz, nie ruszając się wcale z miejsca — odrzekł ze spokojem dyplomatycznym:

— Nie jestem w stanie, nie mogę... Konie pocztowe nie prędko dla pana nadejdą, a te, które mam, przeznaczone dla asesora, który lada minuta jest spodziewany.

Proskurow, nie posiadając się ze zdumienia, nie mógł w pierwszej chwili znaleźć wyrazów, wnet jednak odezwał się głosem doniosłym i gniewnym:

— Co pan mi tu za głupstwa wygadujesz! Ja przybyłem pierwaj i dla mnie powinny być gotowe konie. Przytem, racz pan pamiętać, że co się tyczy koni pocztowych, to pan się mylisz — mam zupełne pełnomocnictwo i władzę użyć te konie, jakie w danym czasie znajduję na poczcie — przytem mam prawne przyczyny domagania się ich natychmiast.

Wasili Iwanowicz odpowiedział na to głośnym śmiechem.

— Pana zawsze trzymają się żarciki, gdy ja nie mam czasu i ziemia usuwa mi się pod nogami — odparł Proskurow, mocno oburzony. — Już to nieraz zdarzyło mi się, że pańska opieszałość przypawiła mnie o utratę sposobności wynalezienia zbrodniarza. Prędko, prędko, na miłość Boga, mam bardzo ważną sprawę.

— Wiem, popełniono morderstwo.

— Skąd pan wiesz o tem? — rzekł Proskurow niezmiernie zdziwiony.

— Skąd wiem? Wiem od asesora, który już od dawna znajduje się na miejscu zbrodni — odrzekł Wasili Iwanowicz, jakby chciał podrażnić Proskurowa.

— *Furda!* Pan zaczynasz na nowo swoje zwykłe figielki. Asesor wcale o tem wiedzieć nie może.

nawet nie przeczuwa, a ja tymczasem mordercę, czyli właściwiej podejrzanego o to morderstwo, trzymam już w moich rękach. Tak kochany przyjacielu, będzie bardzo rozgłośna sprawa. Zobaczysz, jak wszystko powywracam do góry nogami.

— No, no; tylko pan czasem nie stań na głowie. Proskurow nagle zwrócił się ku drzwiom i słuchał. Na dziedzińcu zabrzączał dzwonek.

— Wasili Iwanowiczu — rzekł bardzo grzecznie, czy ta trójka dla mnie przeznaczona?

Chwycił naczelnika stacyi za rękę i ruszył głową, wskazując na mnie.

— Tak, tak, dla pana, uspokój się pan zatem. Cóż tam znowu nowego?

— Morderstwo. Wasili Iwanowicz, znowu jedno morderstwo. Ale jakie: wszystkie poszlaki stwierdzają, że dopuściła się go znana banda złoczyńców. Pod tym względem posiadam niezaprzeczone wskazówki i dowody. Jeżeli się nie mylę, muszę i tutaj kogoś powołać na świadka. Prędko, na miłość Boską, postaraj się pan o konie.

— Zaraz. Gdzie się ten mord wydarzył?

— W tym przeklętym załomie drogi, pod Czar-towskim palcem. Trzeba to urwisko skaliste dynami-tem wyrzucić w powietrze. Zamordowano woźnicę.

— *Zabójcę!* — zawołałem, wiedziony strasznem przecuciem.

— Czy nie idzie tu przypadkiem o splądrowa-nie poczty i zabranie pieniędzy?

— Nie, zabity był prywatnym jamszczykiem.

Proskurow usłyszawszy mymówione przezemnie nazwisko, zwrócił się ku mnie nagle i rzekł:

— Tak, zamordowano *Zabójcę*. Pozwól pan je-pnak zapytać się — dla czego cię ta sprawa tak in-teresuje?

— Hm! — mruknął Wasili Iwanowicz, z któ-rego oczów trysnął szatański płomyczek jakiegoś zło-śliwego żartu. Czy pan już przeprowadziłeś, jak na-leży, śledztwo?

— Ja już poprzednio z nim się spotykałem — odparł asesora.

— Tak — wymówił przeciągle ten wyraz Wa-sili Iwanowicz. No, no, więc mówisz pan, że już da-wniej z nim się spotykałeś. I nie uważałeś go za złego człowieka, a może nawet teraz po nim co dzie-dziczysz?

Dajno pokój z tymi niesmacznymi konceptami. Nieznośny z pana człowiek — rzekł z gniewem Pro-skurow, a następnie zwrócił się nagle do mnie.

— Przepraszam pana najuprzejmiej, nie mam najmniejszego zamiaru wciągnięcia pana do tej smu-tnej historii, jednakże rozumiesz pan zapewne... że... w imieniu sprawiedliwości, w imieniu prawa...

— Ludzkości i szczęścia całego społeczeństwa — dokończył Wasili Iwanowicz ze śmiechem.

— Jednem słowem — mówił dalej Proskurow, nie zwracając uwagi na docinki pocztmistrza, chcia-łem panu oświadczyć, że ze względu na nieomylnę drogi sprawiedliwości, od każdego obywatela wyma-gamy pomocy, wsparcia i udziału, gdy prawo ludz-kości zostaje zagrożone. I jeżeli pan raczysz mi za-komunikować jakiegokolwiek, znane mu w tym razie okoliczności i szczegóły — bo zapewne pojmiesz pan, że... jednem słowem, właściwie, obowiązany jesteś pan do złożenia mi, to jest do spełnienia tego, czego od pana żądam.

— Nie wiem, o ile moje wiadomości przyczynia się do wyjaśnienia całej sprawy, będę jednak bardzo rad, skoro w czemkolwiek okaże się dla pana poży-tecznym.

— Doskonale! — zawołał asesor. — Pańska gotowość wypełnienia mojej prośby, przynosi panu niezwykły zaszczyt. Czy mogę zapytać się, z kim mam honor mówić?

Wymieniłem moje nazwisko.

— Afanasij Iwanowicz Proskurow — zaprezentował się wzajemnie asesor. Pan raczyłeś łaskawie oświadczyć się z gotowością usług dla zagrożonej sprawiedliwości, otóż niech mi pan to za złe nie weźmie, jeżeli nastawać będę na to, abym mógł korzystać z miłego pańskiego towarzystwa, to jest, będę prosił pana, abyś zechciał jechać ze mną.

Wasili Iwanowicz śmiał się do rozpuku.

— Ba! ba! Do stu piorunów — mówił ze śmiechem, to coś idzie na grubo. Czy nie chcesz pan przypadkiem aresztować natychmiast tego pana?

Proskurow pochwycił szybko mnie za rękę i uściśnął serdecznie.

— Drogi panie, nie zwracaj pan wcale uwagi na tego nieznośnego papłę. Na Boga, jakaż szalona myśl przyszła panu do głowy!

Starałem się go uspokoić, bo w rzeczywistości nie miałem najmniejszej obawy i nie myślałem wcale żeby mógł mnie aresztować.

— Wasili Iwanowicz zawsze w wyśmienitym bywa humorze — dodałem.

— Cieszy mnie wielce, iż pan raczyłeś mnie zrozumieć. Mój czas jest drogi. W czasie naszej podróży opowiesz mi pan, co wiesz o Zabójcy. Przepadkowo nie mam przy sobie sekretarza.

A więc, jeżeli to panu będzie na rękę, chętnie wypełnię obowiązki pańskiego sekretarza, bo mnie ta cała sprawa nadzwyczaj obchodzi.

Przed moimi duchowymi oczami stanął, jak żywy, nieszczęsny Zabójca ze swoją ponurą twarzą,

z bolesnem piętnem owej fatalnej bruzdy między brwiami, z głębokiem, a posępnem spojrzeniem. Zdawał się swoje nieszczęście zwać na moją głowę, tak to niegdyś przeczuwał sam, jak sobie obecnie przypominam.

Dreszcz przebiegł po mojem ciele. Nieszczęście spotkało go właśnie w tym samym wózku, w którym już poprzednio tak fatalną odegrał rolę.

— A! — krzyknął nagle Wasili Iwanowicz, uważnie patrząc przez okno. Afanasij Iwanowicz, czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć, kto to jest ten podróżny, co tam brzegiem lasu jedzie?

Z kolei Proskurow także spojrział przez okno.

— Na miłość Boską, prędko — wołał, biorąc czapkę ze stołu.

Pospieszyłem za nim i w tej też chwili trójka zajęchała przed dom.

Skoro zwróciłem wzrok w kierunku lasu, spostrzegłem szybko pędzący powóz. Pasażer stał i udzielał jakichś wskazówek woźnicy; widziałem jak gwałtownie rozkładał ręce, jak niemi machał to w tę, to w ową stronę, jak gestykulował. Promienie słońca oświetlając go całego, odbijały się jaskrawo od guzików uniformu i galonów kołnierza.

Proskurow zapłacił woźnicy, który nadzwyczaj z napiwka zadowolony — rzekł.

— Dziękuję serdecznie wielmożnemu panu.

— Czy już powiedziałeś mu, gdzie ma jechać — rzekł Proskurow, wskazując na innego jamszczyka, gotowego do drogi.

— Tak jest — odrzekł zapytany.

— A zatem jazda — rzekł sędzia śledczy — siadając do wózka; jeżeli przybędziemy do miejsca za półtorej godziny, dostaniesz rubla na piwo, jeżeli zaś spóźnisz się choćby minutę, sekundę, to...

Nie dokończył, bo już konie ruszyły i niosły nas prawie w powietrzu, taka była szalona jazda.

6. Jewsieicz.

Do B. rachowano co najmniej dwadzieścia wiorst. Z początku Proskurow ciągle patrzył na zegarek i oglądał się po za siebie, widocznie zaniepokojony. Kiedy jednak przekonał się, że konie szybko biegną i nikt zgół nas nie goni, zwrócił się do mnie.

— No, szanowny panie, co też panu wiadomo o tej fatalnej sprawie?

Opowiedziałem o moim wypadku w znanym wozie przy Czartowskim palcu, o przecuciach mojego woźnicy i o groźbie, którą jeden z rozbójników, najprawdopodobniej *kupiec* rzucił mu w lesie. Proskurow nie stracił ani jednego wyrazu z mego opowiadania.

— Tak, tak — mówił, wszystko to ma doniosłe znaczenie. Czy przypominasz pan sobie fizyognomie tych ludzi?

— Doskonale, wyjąwszy tylko jednego, t. j. kupca. Prokurator spojrzał na mnie z wielkim wyrzutem.

— O Boże! — jęknął, a z tego jęknięcia wyprowadziłem wniosek, że doznał gorzkiego zawodu. Nie mogę pana za to ganić, ale jednak zważ pan tylko... Szkoda, wielka szkoda, w każdym przecieży razie ręka sprawiedliwości niewątpliwie dosięgnie zbrodniarza, nie ujdzie on kary.

Nie upłynęło jeszcze pół godziny, gdy dojechaliliśmy do najbliższej stacyi. Proskurow, zanim wydał rozkaz przygotowania jak najspieszniej nowej trójki koni, polecił przywołać do siebie *sockiego*, t. j. setnika.

Wnet też zjawił się wieśniak, chłop nie zbyt wysokiego wzrostu, z rzadką brodą i ze spojrzeniem niepewnem, podejrzliwem. Wyraz jego twarzy był dobroduszy, czy też pokrywał tylko wrodzoną chytrość — ogólnie zaś sprawiał wrażenie dość sympatyczne i korzystne. Jego ubiór nie zapowiadał wielkiej zamożności. Wszedłszy do pokoju, złożył bardzo głęboki pokłon, a potem obejrzał się na drzwi, jakby chciał się przekonać, czy go kto nie podsłuchuje i wtenczas przystąpił bliżej. Obecność Proskurowa widocznie niezbyt przyjemnie oddziaływała na niego.

— Dzień dobry, Jewsieicz — rzekł przyjacielskim tonem Proskurow. No, cóż, ptaszek już wyfrunął z klatki?

— Dlaczego by miał wyfrunąć — odpowiedział nieśmiało, przecieży się go pilnuje.

— Czy próbowałeś rozmowy z nim? Co on mówi?

— Próbowałem, ale na próżno, bo nie bardzo rozmowny. Z początku chciałem go dobrocią nakłonić do mówienia, potem, śmiem przyznać się do tego, zacząłem mu grozić.

— Cóż ty leżysz tu, jak kawał drzewa? Czy nie wiesz kto ja jestem?

— No, kto? — mruknął.

— Twój przełożony.

— Takich przełożonych mam pod piętą — dodał. Cóż więc miałem z nim robić?

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Proskurow. Pilnujcie go tylko. Ja wrócę niedługo.

— On nie ucieknie. Ja tam przecieży jestem — trzeba go jednak pozostawić w spokoju, kiedy milczy, niech milczy. Człowiek to niezmiernie dziwny, leżąc na łóżku, nieustannie wpatruje się w sufit, raz tylko dotąd zażądał posiłku. Zamiast jednak chleba, wziął trochę tytoniu i znowu to samo — kurzył fajkę i patrzył w sufit.

— Dobrze, mój kochany, zupełnie ci ufam. Jak tyjko nadejdzie felczer, wyślij go na miejsce zbrodni.

— Niech pan będzie spokojny, zrobię, jak pan każe. Ale chciałem zapytać...

Jewseicz przybliżył się do drzwi, a potem spojrział bardzo uważnie przez okno na podwórze.

— Cóż tam znowu — zapytał Proskurow, gotów do drogi.

— U nas tam we wsi *gadają*, zaczął Jewseicz... oglądając się trwożliwie na wszystkie strony i rzucając na mnie podejrzliwe spojrzenie, gdyby tak użyć do tego chłopów tutejszych, toby było inaczej...

— Co takiego? — zawołał Proskurow, słuchając tych wyrazów poplątanych, bez składni i sensu.

— Bo niech wielmożny pan tylko wejdzie w nasze położenie — zaczął na nowo socki. — Już dłużej wytrzymać niepodobna. Ciągły niepokój, ciągła trwoga, strach nieustanny. Ta banda już taką posiada władzę, taką straszną moc! Nikt nie ośmieli się przeciw nim wystąpić. Nawet tamten człowiek... cóż on jest. Zwykły najemnik, najęty, kupiony za pieniądze! Gdyby on tego nie chciał wykonać, to innyby to zrobił także za pieniądze.

— Najrzetelniejsza prawda — potwierdził Proskurow. Mów dalej braciszku. Jak widzę, jesteś chłop setny i masz rozum. Cóż dalej?

— Nic więcej, proszę wielmożnego pana, to tylko, że gdybyśmy wiedzieli, że nas władza wesprze, że nam chętnie dopomoże, tobyśmy wszyscy wzięli się za ręce i wystąpili przeciw tym złoczyńcom... My wszyscy, powtarzam, cała wieś, cały powiat, i stworzylibyśmy jedną siłę.

— Naturalnie. Pomagajcie wy sprawiedliwości, a sprawiedliwość wam niewątpliwie dopomoże — od-

powiedział Proskurow głosem donośnym, z powagą wielce wpływowego urzędnika.

— Ma pan słuszość — odparł Jewseicz. Mówiliśmy między sobą: ha, jeżeli władza nic nie przedsięwzię, to my sami poradzimy — bo dlaczego mamy cierpieć i drzeć ciągle o własną chudobę.

Proskurow nie słuchał dalszych narzekań chłopów, które go najwidoczniej jako urzędnika, obrażały, i wybiegł z pokoju, a ja za nim. Jewseicz pozostał na miejscu, kręcąc głową. Milczenie Proskurowa zrodziło w nim wątpliwość, czy rzeczywiście władza po jego przemowie, powzięła jakiekolwiek środki zabezpieczenia wsi i ludzi od napadu rozbójników.

Proskurow wszedł do powozu niezmiernie rozgniewany, a właściwie oburzony.

— Tak to bywa zawsze — rzekł, — wciąż jakieś kompromisy. Jeżeli się im przyrzecze pomoc, to oni wówczas dopiero pójda ręką w rękę z władzą? Rzecz nadzwyczaj prosta. Brak wszelkiego poczucia sprawiedliwości.

— Skoro pan zwróciłeś się do mnie z tem pytaniem, to wyznaję szczerze, że nie mogę przypisać panu żadną miarą słuszości. Sądzę, że oni mogą drogą zwykłą, drogą legalną upomnieć się o obronę u tej władzy, której jest obowiązkiem czuwać nad bezpieczeństwem kraju i jego mieszkańców, bo w przeciwnym razie nie mogłaby nazywać się władzą i domagać się posłuszeństwa, gdy nie czyni nic dla dobra ludu.

Proskurow raptem zwrócił się do mnie, widocznie chcąc mi odpowiedzieć, lecz się powstrzymał.

Już ujechaliśmy blisko sześć wiorst i już zdaleka rozpoznawaliśmy i las i obręb ów fatalny, gdy nagle dał się słyszeć dzwonek.

— Spóźnili się — rzekł Proskurow.

7. Asesor sądowy.

Już słońce zniżało się, gdy dotarliśmy nareszcie do wąwozu. Jeszcze było dość widno, w wąwozie jednak panował lekki zmrok i padał szeroki cień od otaczających go drzew.

Cisza dokoła i chłód dość przykry.

Skały wznosiły się wysoko, rozjaśnione promieniami słońca, na dole powoli zapadała mgła, na niebie zlekka zarysował się wschodzący księżyc. Czarna masa lasu wydawała się wielką ścianą, grodzącą blask dnia od nocy. Ciszę przerywały tylko nieustanne tęskne brzęki dzwonka, płynęły one echem w dolinę, a ginęły gdzieś tam, w głuszy leśnej. Po za nami również słyszeliśmy także odgłos dzwonka, ale daleko słabszy ¹⁾.

W pewnem oddaleniu od drogi, w zaroślach dobywał się lekki dym. Dym wychodził z ogniska, zapalonego przez posterunek chłopski; czuwali tu oni jako straż, w miejscu spełnionej zbrodni. Skoro nas ujrzeni, powstali, a zdjawszy czapki, oczekiwali na dalsze rozkazy Proskurowa. Dalej nieco od ogniska, nakryty słomianą matą, leżał trup zabitego.

— Dzień dobry dziatki, a raczej dobry wieczór wam chłopcy — odezwał się Proskurow, przykładając rękę do furazerki, po wojskowemu.

— Zdrowia życzymy wielmożnemu panu — odpowiedzieli chórem.

¹⁾ W Rosyi, szczególnie na Syberyi, w powszechnem użyciu jest dzwonek, przyczepiany nietylko do sanek, ale i do powózek kołowych, raz dlatego, że w głuszy pustkowia, pośród nieprzebytych śniegów, jest to hasło dla podróżnych w razie zabłądzenia, powtórę jest zarazem i postrachem na wilki.

— Czy wszystko w porządku?

— Tak jest ojczulku — tylko położyliśmy go inaczej; co do zwierzęcia, pozostało nietknięte.

— Jaki zwierz?

— Jego koń, bo go także rozbójnicy zastrzelili. Rzeczywiście, opodał trupa, o kilkanaście kroków, leżał koń zabity.

Proskurow zawezwał do siebie strażników i przejrzał okolicę. Ja przystąpiłem do trupa i podniosłem matę.

Oblicze zabitego było spokojne, rysy twarzy nie przedstawiały ani wrażenia bólu, ani przestachu; bystrzej przyglądając się, można było dostrzedz ślady zwątpienia i tej zadumy, jakiej poddawał się zmarły za życia. Nigdzie ani śladu krwi.

Po upływie kwadransa powrócił Proskurow i zatrzymał się na rozdrożu, pomiędzy wąwozem a traktem, idącym obok Czartowskiego palca.

Niezdługo potem zjawili się towarzysze naszej podróży, ci właśnie, którzy jechali w tyle po za nami.

Był to niemłody człowiek, w policyjnym uniformie i drugi mężczyzna, ubrany po cywilnemu. Pierwszy, to asesor sądowy, drugi zaś felczer.

Pan asesor widocznie był utrudzony jazdą zbyt pospieszną. Jego szeroka pierś wzdymała się, oddychał szybko, siedł powoli, krokiem poważnym, z właściwą godnością urzędnika.

— Uf! — rzekł. — Za panem jechać, Afanasij Iwanowiczu, trzeba mieć żelazne płuca. Pędzisz pan jak strzała z łuku wypuszczona, jak błyskawica, przeznajająca niebo podczas burzy. Dobry wieczór.

Proskurow, któremu pochlebiali te wyrazy, z uśmiechem odpowiedział:

— Dobry wieczór. Dlaczegoż pan tak spieszyłeś się, mogłem przecież poczekać.

— Nie! Uff! Obowiązki służby przedewszystkiem. Nie lubię, jak to panu wiadomo, żeby na mnie czekano. To nie mój zwyczaj.

Asesor mówił basem, jak wszyscy ludzie oddający się trunkom, to też czuć było od niego zapach wódki i woń tytoniu. Jego małe, zamglone oczki przebiegały podejrzliwie po całej okolicy, spoglądał też bardzo przenikliwie na mnie i wkońcu nawet zapytał, kto jestem.

— Mój dobry znajomy — odpowiedział Proskurow, niekontent wyraźnie z pytania, rzuconego przez ciekawego zbytecznie pana asesora sądowego. Pan N. N. — dodał — który chwilowo raczył się podjąć pełnienia obowiązków mego przybocznego sekretarza.

— Mam przyjemność znać nieco pańskie nazwisko. Bardzo jestem z tego zadowolony. — Potem zaś czyniąc ukłon wojskowy, rzekł:

— Sztabskapitan Mordouchow.

Podaliśmy sobie ręce.

— Jesteśmy tedy w komplecie — zawołał uszczęśliwiony Proskurow, możemy więc przystąpić do dzieła. Dalej, trzeba trupa pochować prędko, nie czyniąc niepotrzebnych zachodów, jak to odbywa się po wojskowemu.

— Chłopcy, chodźcie tutaj!

Strażnicy stanęli kołem i my też przybliżyliśmy się do trupa.

Naprzód wystąpił Mordouchow i zerwał słomianą matę.

Wszyscy zadrżeliśmy na straszliwy widok leżącego przed nami trupa. Całe piersi zabitego przedstawiały jakby jedną, olbrzymią ranę. To zwierzęce pastwienie się nad nieszczęśliwym, wywołało na każdym z obecnych wrażenie wstrętu i chęci pomścić

nia się na zbrodniarzach, nie mających serca, pozbawionych najwyraźniej uczucia ludzkości.

Każda z tych ran była śmiertelną, jak jednak później przekonano się, zadane one były ostrym nożem, czy sztyletem, ale już po zamordowaniu Zabójcy.

Nawet pan sztabskapitan stracił swą buńczuczną minę i pewność siebie, jako przedstawiciel ziemskiej sprawiedliwości. Stał bez ruchu, trzymając w ręku zdjętą przedtem z trupa matę słomianą. Jego policzki pokryły się ciemnym rumieńcem.

— Łotry! Wyrzutki społeczne — rzekł, ciężko wzdychając.

Być może, westchnienie to oznaczało pewien rodzaj niewczesnego żalu, że mając tę sprawę w swoim ręku, nie zdołał jej zatuszować, a zatarcie śladów przyniosłoby mu pewne materyalne korzyści.

Powoli upuścił matę, odwrócił się do Proskurowa, który długo mierzył go swym przenikliwym wzrokiem.

— Trzeba nam będzie jutro odbyć sekcję sądową, w tym też celu niech trupa przewiożą do B.

— A tam znowu trzeba będzie przesłuchiwać aresztowanych — dodał Proskurow.

— Aresztowanych? — zawołał asesor, a w jego oczach odbił się wyraz podejrzliwości, chytrości, czy też złośliwości — jakby oświadczenie niespodziane pana sędziego śledczego było dlań niezmiernie zręcznie przygotowaną łapką, lub podstępem zdradzieckim.

— Aresztowanych? — powtórzył. — Pan już masz aresztowanych, czy też tylko aresztowanego! Jakimże to sposobem, nie wiedziałem... to jest właściwie, dlaczego nie otrzymałem żadnych w tym względzie objaśnień i wskazówek. Szczególne! Ja nic a nic o tem nie wiedziałem — wyrzekł donioślejszym nieco głosem.

Żal, czy też oburzenie sztabskapitana, łatwe do zrozumienia. On, urzędnik policyjny, asesor sądowy, inkwired, nie wiedział, że zbrodnia miała swego autora i ten autor, czy sprawca już znalazł się, ale nie w jego ręku, — ktoś inny miał to szczęście wy-nalezienia mordercy.

Spojrzał złowieszczym wzrokiem na stojących dokoła chłopów, przemierzył od stóp do głowy uśmie-chniętego Proskurowa i zacinając wargi, wycedził:

— Powinszować! powinszować! Masz pan za-wsze szalone szczęście.

Proskurow wyprostował się i jako prawdziwy bohater w tej sprawie, zlekka skinął głową, zwracając się ku Mordouchowowi.

8. Iwan.

Około północy, skoro urzędnicy skończyli pić herbatę i pokrzepili już swe zwątlone siły, rozpoczęło się śledztwo.

W bardzo szczupłej i wąskiej izbie stał na środku stół, pokryty czerwonym sukrem, jak to bywa zwy-czajnie w Rosyi w sądowych lokalach, a na nim le-żały stosy papieru, kałamarze, pióra i inne przybory do pisania; przy jednym rogu stołu zasiadł Proskurow. Jego komiczne poniekąd szastanie się i ruchy wielce gorączkowe znikły, natomiast przybrał postać isto-nego sędziego, był poważnym, surowym, nieugiętym rozdawnikiem sprawiedliwości. Po nim zajął miejsce Mordouchow, już teraz zupełnie spokojny, wywołując korzystne wrażenie swą postawą sztywną i marsową, jak przystoi wojskowemu. Podczas krótkiej przerwy umył się on, uczesał, przyfarbował nieco wąsy i włosy już gdzieś siwiejące. Od czasu do czasu popi-

jał herbatę ze stojącej obok filiżanki i ze złośli-wym uśmiechem spoglądał na sędziego śledczego, pana Proskurowa.

— Czy życzysz sobie pan — rzekł Proskurow, podnosząc głowę i odsuwając na bok arkusz papieru, na którym spisany był program mającego się to-czyć śledztwa, aby przyprowadzono nareszcie areszto-wanego?

Asesor skinieniem głowy dał znak swego zgo-dzenia się.

Jewsieicz natychmiast wyszedł z izby.

Po krótkiej chwili otworzyły się drzwi. wszedł do izby wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, któ-rego na promie przy przewozie zauważyłem w towa-rzystwie Kostjuki — on to właśnie wówczas, leżąc na wozie głęboko zamyślony, zdawał się przenikli-wym wzrokiem badać przesuwające się po niebie chmury.

Przestępując próg izby, potknął się, obejrzał, a nareszcie stanął na środku.

Szeroka jego twarz, jakkolwiek grubych, suro-wych rysów, miała wyraz zobojętnienia. Niebieskiej barwy oczy ze spojrzeniem spokojnem, mglistem, je-żeli tak wyrazić się można, zdawały się nie patrzeć i nie widzieć ani pokoju, ani stołu sądowego, ani ca-łego otoczenia śledczej komisji, ani wogóle żadnego przedmiotu. Włosy miał krótko ostrzyżone. Na nowej zupełnie koszuli, znajdowały się krwiste plamy.

Proskurow podsunął mi akta, kałamarz i poda-jąc pióro — zapytał przybyłego:

— Jak się nazywasz?

— Iwan i mam lat 38.

— Gdzie mieszkasz?

— Nigdzie.

— Czem się trudnisz?

— Jestem *brodiaga* ¹⁾.

— Wyznaj tedy Iwanie, czy to ty zamordowałeś prywatnego jamszczyka, Fedora Michajłowa?

— Tak, to ja, wielmożny panie. Mówię wyraźnie, bo to przecież wiadomo wszystkim.

— Z czyjej rady, na czyje żądanie spełniłeś mord? — zapytał sędzia śledczy w dalszym ciągu, gdy już pytania i odpowiedzi wpisane zostały do protokołu. — I skąd przyszedłeś do posiadania pięćdziesięciu rubli i 32 kopiejek, które przy rewizji znaleziono przy tobie.

Włóczęga spojrział po wszystkich niespokojnie, jakby się wahał powiedzieć prawdę.

— O to, niech mnie wielmożny pan lepiej nie pyta. Pan wypełniasz swoje obowiązki i ja też swoje.

¹⁾ *Brodiaga*, po polsku włóczęga, jest urzędowem nazwiskiem tych wszystkich, którzy błakają się po przestrzeniach Syberji. Od dawien dawna, w tej krainie, będącej jakby Kaledonią rosyjską, przeznaczoną na więzienie dla przestępców kryminalnych i politycznych, potworzyły się niezliczone bandy tak zwanych *zestawców*, którzy uciekli bądź to z więzienia, bądź z kopalń, w lasach szukają schronienia. *Brodiaga* nie jest zgoła prześladowany przez rząd, ale też winien zachowywać się spokojnie i spędzać dnie w lasach, lub ustroniach, dalekich od mieszkań ludzkich, w nocy zaś wolno mu żebrać. *Brodiaga* tedy podszedłszy pod dom w nocy, puka w okno, a na pytanie z wewnątrz, kto jest — odpowiada: *nieszczastnyj* (nieszczęśliwy), poczem gospodarz wynosi mu chleb, kawał mięsa lub słoniny. Jeżeli we wsi wydarzy się jakaś kradzież, a kradzież tę popełnił *brodiaga*, rozpoczyna się śledztwo. Wówczas tu wszystkie wsie, w których *brodiaga* pojawiał się w nocy, płacą karę pieniężną, nie też dziwnego, że mieszkańcy pochwycawszy *brodiagę* na kradzieży, sami bez sądu zabijają go, jak zwierzę szkodliwe. (*Przypisek tłumacza*).

Ja sam dopuściłem się tego mordu... i na tem koniec. Sam go zabiłem, powtarzam, a moimi świadkami byli: ciemny las i czarna noc, nikt więcej!

Sztabskipitan zakaszał się tajemniczo i z wyraźnem zadowoleniem napił się herbaty, spoglądając z szyderstwem na obok siedzącego Proskurowa.

Sędzia śledczy zachowywał nadzwyczajną powagę, nie przywiązując najmniejszego znaczenia do zeznań Iwana.

Tymczasem Mordouchow zmierzył bystro stojącego włóczęgę i uśmiechnął się, jak zwykle oficer, który ujrzy wyprężonego żołnierza w postawie prawdziwie rycerskiej.

— Czy nie chciałbyś — rzekł znowu Proskurow — powiedzieć nam i wyjaśnić przyczyny, skłaniającej cię do znęcania się tak zwierzęcego nad trupem Fedora Michajłowa. Czy cię w tym razie pobudzała osobista, dawno upragniona zemsta, nienawiść, nieprzyjaźń, czy też obcy jakiś wpływ i rozkaz?

Zapytany ze zdziwieniem spojrział na Proskurowa.

— Uderzyłem go raz lub dwa najwięcej nożem, i po wszystkim. Padł na ziemię.

— Poświeć mu — zawołał Proskurow na stojącego obok chłopca. — Zajrzyj tam do drugiego pokoju — mówił, zwracając się do aresztowanego. Wszyscy wyszliśmy do drugiej izby. Aresztant zatem pozostał w ciemności. Kiedy wyniesiono z pierwszej izby światło, Iwan jakby przerażony samotnością, oparł się o ścianę. Skoro go zmuszono do zajrzenia do drugiego pokoju, zadrżał, obawiając się zapewne ujrzeć trupa. Patrzyliśmy na niego, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Iwan pobladł, usta mu drżały, szeroko rozszerzonemi oczyma wpatrywał się w ciemność pokoju, zdawało się, że ta pusta izba stała się dlań

grobem, w którym trup zabitego groźnie powstał, aby od swego zabójcy zażądać wyjaśnienia.

Skoro nareszcie wszystkie osoby należące do komisji śledczej, znowu zajęły swoje miejsca i skoro wniesiono światło, Iwan stał oparty o ścianę, a bladeść śmiertelna pokryła jego oblicze. Nareszcie po niejkiej chwili, gdy wrócił do przytomności, zbliżył się do stołu i rzekł:

— Wielmożny panie i wy wszyscy prawowierni chrześcijanie, bracia moi, oświadczam wam, że ja tego nie zrobiłem. Wierzcie mi, podobny czyn, chyba tylko dzikie, bezrozumne zwierzę dokonać potrafi. Być może, w nadmiarze wściekłości, która odebrała mi przytomność, mógłbym się na coś podobnego odważyć, ale nie, nie, ja tego nie uczyniłem.

Wyrzekłszy te słowa, Iwan zmienił się w oczach wszystkich, bladą jego twarz pokryły krwawe rumieńce, oczy nabrały życia, głos siły, cała postawa sprężystości.

— Wielmożny panie — rzekł po raz drugi, przybliżając się do stolika:

— Panie sędzio, pisz pan do protokołu, że to uczynił Kostjuka, Kostjuka ze skaleczonym nosem. On, tylko on, łotr, wisielec, wyrodek! Tylko on zdolnym jest w podobnie zwierzęcy sposób znęcać się nad zmarłym, nad trupem! Jego to sprawka! Czy zechce nadal być moim towarzyszem, czy nie, wszystko mi jedno. — Wpisz wielmożny pan to moje zeznanie do protokołu.

Proskurow sam, odebrawszy mi protokół, zapisał zeznanie Iwanowa. Włóczęga ten opowiedział nam całe życie swoje dotychczasowe.

Uciekł z więzienia w N., gdzie przyaresztowano go i zatrzymano jako włóczęgę bezdomnego. Po ucieczce błąkał się długo, nie mając żadnego zajęcia,

a tem samem i środków do życia. Przypadek zrządził, że znalazł się w tym samym szynku, w którym Kostjuka ugaszczzał się ze swoimi towarzyszami. Tu dowiedział się naprzód o zamiarze zabicia Michajłowicza.

— Był to człowiek - czarownik, którego nie mógł dosięgnąć żaden cios, — którego nie można było zamordować ani sztyletem, ani kulą z broni palnej, bowiem był zaczarowany.

Kiedy to usłyszałem — furda! zawołałem!

Wszyscy spojrzeli na mnie, jak na waryata.

— Tak jest, powtarzam, nie ma na świecie człowieka, któregooby nie można było uśmiercić sztyletem. O zaczarowaniu, o jakiejś tam nietykalności, tylko głupcy mówią i w to wierzą.

— Kto ty jesteś? — zapytał mnie Kostjuka.

— To moja rzecz i nie potrzebuje się przed panem legitymować — odpowiedziałem. Więzienie jest moim ojcem, a las moją matką. Nie lubię słuchać, jak kto głupstwa plecie.

Od słowa do słowa, powoli wyznałem kim jestem, wypowiadałem się z mojej przeszłości. Przyniesiono wódki, wypiliśmy z kolei i rodzaj braterstwa zawiązał się między Kostjuką, mną i jego towarzyszami.

Kostjuka nakoniec rzekł:

— Jeżeli jesteś człowiekiem, na którego można rachować i któremu można ufać, to może przyłączysz się do nas i pójdziesz z nami.

— Dobrze — odpowiedziałem. Jak już raz powiedziałem, powtarzam po raz drugi, więzienie jest moim ojcem, a matką — ciemny las!

Kostjuka dodał:

— Potrzebujemy człowieka odważnego i sprytnego; około wozu ma w tych czasach przejeżdżać pewien pan, który wiezie ze sobą znaczną sumę pie-

niędzy, czy przyjmiesz udział w naszym przedsięwzięciu. Jeżeli się tylko przechwalasz, powiedz otwarcie, bo w tym razie działać potrzeba energicznie. Gdyby go wiozł zwykły jamszczyk, my sami poradziłibyśmy sobie; ale wiezie go Zabójca, a z tym olbrzymem sprawa nie tak łatwa, a nawet bardzo niebezpieczna.

— Ciekawym bardzo, kto to jest ten, ów tak niebezpieczny olbrzym.

— Jeżeli z nim poradzisz sobie, otrzymasz sowitą nagrodę.

— Nagrodę? od kogo? — zapytał nagle Proskurow.

— Niech wielmożny pan tylko słucha tego, co ja powiadam — wtrącił Iwan. — W pierwszym moim debiucie, rzeczywiście stchórzyłem i dałem »drapaką«. Kosjuka, ten łotr, wyśmiał mnie, wyszydził, jak niedołęgę.

— No, no — rzekłem do Kostjuki, gdybyś ty sam wystąpił, pewny jestem, że także nie dotrzymałbyś placu.

Kostjuka nic nie odezwał się, ale widziałem, że go dyabli brali.

Czekaliśmy trzy dni na owego pana co miał przejeżdżać. Rzeczywiście na trzecią noc nasza zdobywcza zjawiała się. Wszyscy udaliśmy się na wyprawę.

W niespełna godziny zaturkotał wózek, nasza ofiara w pocztowym wózku, zbliżała się do Czartowskiego palca. Kostjuka strzelił i jeden koń padł. Wówczas Michajłowicz skoczył jak wściekły i natknął się na mnie. Serce biło mi gwałtownie.

— Ha! — pomyślałem, albo on, albo ja!

Chciałem go przebić nożem, ale Michajłowicz pochwycił mnie za rękę, wyrwał noż i odrzucił go od siebie daleko. Odwiązał zaraz pas, aby mnie zwią-

zać. Tymczasem w cholewie buta miałem drugi noż, zanim się więc odpasał, dobyłem noża i pchnąłem go w piersi. On jęknął, podniósł mi głowę, aby mnie się dobrze przypatrzyć i padł na ziemię.

— Ach — wołał, wiedziałem, że to ty, nie dręcz mnie więcej, czuję, że zadałeś mi cios śmiertelny.

— Stałem nad nim i patrzyłem jak się pasował ze śmiercią... cierpiał straszliwie, chciał powstać, ale nie mógł.

— Przebac mi! — zawołałem, zdjęty współczuciem.

— Odejdź! Niech ci Bóg przebaczy, bo ja ci przebaczam. Odejdź odemnie!

— Odszedłem i nie powróciłem już do niego. Resztę dokonał Kostjuka.

Włóczęga umilkł, jakby to opowiadanie wyczerpało jego siły i opadł na ławkę. Proskurow załatwił się z dalszym protokołem bardzo szybko.

— Teraz — zaczął znowu Proskurow, zechciej uzupełnić dalsze swoje zeznanie i opowiedz nam, kto to był ów kupiec, który towarzyszył wam przy napadzie i w którego imieniu Kostjuka przyrzekał ci wynagrodzenie za zamordowanie Michajłowicza.

Mordouchow z pewnem politowaniem patrzył na włóczęgę, widocznie wyczerpanego na siłach z powodu tego śledztwa.

Jednakże tenże powstał z ławki i odpowiedział głosem chłodnym, obojętnym:

— Dość tego, więcej nic się panowie odemnie nie dowiecie: dość. To, com powiedział o Kostjuku, aż nadto wystarczyć powinno. Nie będzie on zapewne więcej znęcał się nad trupami. Raczej pan, panie sędzio, kazać mnie odprowadzić, bo więcej nic nie powiem.

— Posłuchaj mnie Iwanie — wtrącił sędzia śledczy — muszę cię ostrzedz, że im szersze, prawdzi-

wsze złożysz zeznanie, tem łagodniejszej spodziewać się możesz kary; tem korzystniejszy dla ciebie zapadnie wyrok. Twoi towarzysze w żadnym wypadku nie są w stanie cię uratować.

Włóczęga wzruszył ramionami.

— Nic mnie to nie obchodzi. Obojętne jest dla mnie, jaki zapadnie wyrok.

Nie podobna było spodziewać się, że coś jeszcze powie na swoje usprawiedliwienie, to też Proskurow kazał go wyprowadzić.

Nastąpiło przesłuchanie świadków.

Oczekiwano księdza, który miał odbierać przysięgę; stali oni rzędem przy ścianie, a na czele ich Jewsieicz.

Jego twarz zaczerwieniona, usta przycięte i czoło sfaldowane w zmarszczki, dawało wiele do myślenia. Wyraźnem było, że tak Jewsieicz, jak znajdujący się chłopci, innego zupełnie byli przekonania o całej tej sprawie.

Mordouchow, siedzący na ławce obok stolika, bębnił palcami, wyciągnąwszy przed siebie nogi. Dopóki otaczali go chłopci, patrzył na nich z pewnym, jakby tajemniczym wyrazem na twarzy, uśmiechając się złośliwie. Skoro ukończono śledztwo, zwrócił się do Proskurowa.

— Ale, ale — rzekł Afanasij Iwanowicz, zapomniałem na śmierć pogratulować panu i złożyć życzenia... Ten proces zupełnie odjął mi przytomność umysłu. Pan też miałeś tyle nieprzyjemności... tyle kłopotu!

— Jakto? Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Więc pan nic, a nic nie wiesz, nawet nie przeczuwasz; pokazuje się zatem, że ja pierwszy będę miał przyjemność zapoznania pana z wielce radosną dla pana nowiną. O! to mi sprawia prawdziwą przyjemność.

Proskurow patrzył na asesora, jakby wątpił czy czy tenże jest przy zdrowych zmysłach.

Mordouchow uklonił się Proskurowowi, uderzając ostrogą o ostrogę, jakby chciał szarmanckim tym ukłonem zwrócić na siebie uwagę.

— Wszak pan otrzymałeś inne przeznaczenie — rzekł. Zamianowano pana zastępcą skarbnika na miejsce pana R. Prawdopodobnie jest to dopiero tylko przygotowawcza formalność, zanim zostanie doręczona panu nominacya. Rzecz prosta, będziesz pan następnie instalowany urzędowo. Gratuluję, serdecznie gratuluję i cieszę się, że nareszcie władza poznała się na panu, uznała jego wysokie zdolności, zalety — dodał Mordouchow, wyciągając do zdumionego Proskurowa rękę.

Proskurow jednak niezbyt łaskawie przyjął gratulacye swego kolegi, nie podał mu ręki i zerwał się z krzesła.

— Pozwól pan — rzekł — powiedzieć sobie, że tu ani miejsce, ani stosowna pora, do podobnych żarcików. Czy pan sądzisz, że nie rozumiem, że nie domyślam się pańskiej zdradzieckiej taktyki. Jesteś w błędzie, mój panie; jeszcze tak nisko nie upadłem, nie, kochany panie, radość pana cokolwiek zawczesna.

— Ależ panie, co się z panem dzieje? Czy możesz choć na chwilę przypuścić, jakobym ośmielił się zażartować. To, o czem mówię, jest już urzędowym faktem — czytałem na własne oczy ten dokument. Zapewniam pana, że miejsce to dla pana — prawdziwe złote jabłko.

Wypowiedziawszy te wyrazy, Mordouchow przybrał ton przyjacielski, poufały:

— Nareszcie zostaniesz pan oswobodzony od tych przykrości, jakich dotychczas doświadczałeś. Ja sam, bez pomocy pańskiej, to jest bez trudem pana,

wszystkie te sprawy załatwię. Żałujemy niezmiernie, że się tak stało, z drugiej strony zaś cieszymy się wielce, że pan ostatecznie odpoczniesz. Miejsce to spokojne, nie wymagające wysiłków, nie narażające na niepotrzebne i nieprzyjemne stykanie się z pospolicą, niższą warstwą ludu, z chłopami. Nominacja pańska przyjęta została przez kupiectwo z prawdziwym zachwytem. Ha! ha! ha! Niewymownie się cieszą, że taką perłę prawości i uczciwości posiadają!

Mordouchow już się wcale nie powstrzymywał, wypowiedziawszy główną swoją myśl, śmiał się do rozpuku i wzrokiem szyderczym wpatrywał się w Proskurowa, który pobałdł i prawie oniemiał.

W tej chwili wydał mi się człowiekiem bez woli, bez charakteru. Szyderstwo Mordouchowa pozbawiło go przytomności umysłu.

Co do chłopów, ci patrzyli na tych dwóch dygnitarzy, staczających walkę ze sobą, chłodno, obojętnie.

Ponieważ dalsze badanie świadków nie przedstawiało dla mnie żadnego interesu, więc wyszedłem do przedpokoju.

Tu, w kącie, na ławie spoczywał Iwan. Kilku chłopów otaczało go dokoła, jako straż przyboczna. Przystąpiłem do włóczęgi i usiadłem obok niego. Spojrzał na mnie i cofnął się jeszcze bardziej.

— Powiedz mi — rzekłem, czy rzeczywiście nie żywiłeś do zabitego ani nieprzyjaźni, ani nienawiści.

Włóczęga spojrział na mnie, ale milczał.

— Co takiego — odezwał się po chwili. Nie znałem go wcale, więc z jakich powodów miałem go nienawidzić.

— Dlaczego więc go zabiłeś? Czy nie za cenę pięćdziesięciu rubli podjąłeś się spełnić ten nędzny rozkaz.

— E! mój panie — rzekł — więcej podobno niż pięć razy po pięćdziesiąt rubli przechodziło przez nasze ręce dziennie, więc nie było się na co łakomić.

— Przecież nie z osobistej przyjemności zabija się ludzi i niszczy własną egzystencję, zabija równie własne życie, przyszłość!

Włóczęga spojrział na mnie dzikim wzrokiem.

— Pan powiadasz, własne życie? Cóż ono dla mnie znaczy. Jakkolwiek Michajłowicz nie żyje, mój jednak los wcale się nie zmienił. Gdybym nie zabił Michajłowicza, sambym to na sobie wykonał.

— Czy go też żałujesz?

— Odejdź pan odemnie. Czego chcesz? Pozostaw mnie pan mojemu losowi, niczego więcej nie pragnę.

— Czy i Boga się nie boisz?

Włóczęga wcale nie odpowiedział.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, nareszcie

Iwan zapytał:

— Nie masz pan czasem troszkę tytoniu?

Podałem mu papierosa. Zapalił i odwrócił się do ściany.



II.
SEN MAKARA.

I.

Śnił tak Makar, który pasał barany, wypędzając je na pustkowiu — ten Makar, którego wielu ludzi pomawiało o próżniactwo, niedołęstwo i wiele innych brzydkich nałogów.

Jego krajem ojczystym, rodzinnym, była wieś Czałgan — wieś zupełnie ukryta w ostępie leśnym. Ojcowie Makara krwawą pracą wydarli z ostępu leśnego kilka morgów ziemi, którą uprawili i zasiali, otoczeni dokoła lasem, nie stracili jednak odwagi i walczyli ze smutną dolą z całą energią ludzi pierwotnych.

Na wykarczowanych gruntach i uprawnych polach stały wkrótce płoty, parkany, stajnie, stodoły, niskie, zadymione chaty, aż nareszcie wzniosła się pośród wsi, jakby sztandar zwycięstwa, wieżyczka kościółka i Czałgan przybrało rozmiary wielkiej wsi.

Gdy ojcowie i przodkowie Makara walczyli i zdobywali pięć za pięć coraz większe obszary, trzebiąc lasy, sami znowu w tem życiu, na pół zwierzęcem, dziczeli.

Żeniąc się z dziewczętami jakuckimi, powoli przyswajali sobie ich język i zwyczaje. Charakterystyczne typy pięknego i potężnego rosyjskiego ludu, coraz bardziej zacierały się.

Jednakże nasz Makar nie zapomniał wcale, że jest chłopem, zrodzonym w Czałganie. Tam przyszedł

na świat, tam mieszkał i żył i tam też pragnął być pochowany.

Urodzenie to nawet wyrobiło w nim dumę, szczylił się, że jest Czołganem i niejednokrotnie wymyślał sąsiadom, nazywając ich przekłętymi Jakutami, jakkolwiek sam nie wiele się od nich różnił pod względem zwyczajów i sposobu życia. Po rosyjsku mało kiedy rozmawiał i do tego słabo, okrywał się zwierzęcą skórą, nosił spodnie kamczadalskie, żywił się pieczywem i herbatą, a właściwie wymoczkami z herbaty, i przysposabiał sobie na uroczystości świąteczne, albo też w innych ważnych okolicznościach, tyle topionego łożu, ile tytko znalazło się w domu. Jeździł doskonale na wołach, a skoro tylko uczuwał jaką niedyspozycję, lub był rzeczywiście chory, przywoływał *Szamana* (czarodzieja), aby leczył go zamawianiem i odpędzał chorobę dzikimi skokami.

Pracował dużo i ciężko, żył w wielkiej nędzy, cierpiał głód i chłód.

Czy mógł więc o czym innem myśleć, czy mógł mieć inne kłopoty, niż staranie się o zaopatrzenie w pieczywo i herbatę?

Tak jest — miał jeszcze inne udręczenia i pragnienia, które przejmowały go troską.

— Jakież ja życie prowadzę? — mawiał, będąc nietrzeźwym. Marzył bowiem ciągle, a tem marzeniem jego była chęć porzucenia domu i wszystkiego w ogóle, a dostania się na *Górę*.

Tam, nie potrzebowałby ani orać pługiem, ani siać, ani drzewa rąbać i sprowadzać do domu, nawet mielenie zboża nie było tam znane; tam tylko marzyłby o własnem szczęściu i zbawieniu.

Jaka to jednak była *Góra*, gdzie się ona znajdowała, tego dobrze nie wiedział, wiedział tylko tyle, że się taka *Góra* znajduje, że leży bardzo, bardzo

daleko, tak daleko, że nawet wójt gminy nie mógłby go tam ścigać za niezapłacone podatki, a może całkiem nie płaciłby podatków.

Nawet po trzeźwemu ta myśl trzymała się jego głowy, czuł tylko, że nie ma sposobu ani możliwości dostania się kiedykolwiek do owej *Góry*. Odurzony trunkiem daleko śmielsze roił plany i ryzykowniejsze. Przerażało go jedynie przypuszczenie, że gdyby pomylił się co do swej góry, i wszedł na jaką fałszywą, cały ten piękny świat stałby się dlań nieuchronną zgubą.

— Byłbyw wówczas zgubiony — dodawał.

Jeżeli jednak dotąd życzenia swego nie dokonał, i pragnienia nie zaspokoił, przyczyna główna leżała w tem, że tatarscy osiedleńcy sprzedawali mu zawsze niegodziwą wódkę, bo ją dla zwiększenia mocy nalewali na wyciąg z tytoniu. Po tej też wódce prawie zawsze chorował i widocznie opadał na siłach.

* * *

Było to w wigilię Bożego Narodzenia; Makar wiedział, że nazajutrz przypada wielkie uroczyste święto.

Dreczyło go szczególnie, że nie będzie miał czego się napić, a nie posiadał prawie nic, za co mógłby kupić wódki. Nie było w domu ziarna, i Makar we wszystkich miejscowych kramikach i u Tatarów był strasznie zadłużony. Mimo to, święto przypadało nazajutrz niewątpliwie i dzień ten był wolny od pracy.

— Co ja tu pocznę? — mówił. Święto bez upicia się, nie jest zgoła świętem.

Ta myśl gnębiła go okropnie. Co znaczyło dla niego życie bez wódki? Przy takim święcie nie wypić flaszki *sinuchy*, to okropność!

Nagle błysła mu szczęśliwa myśl.

Powstał i ubrał się w podarty kozuch.

Jego żona, kobieta silnie zbudowana, żyłasta, niezwykajną odznaczająca się energią i siłą fizyczną, zawsze prawie potrafiła odgadnąć najskrytsze myśli męża, i tym razem też domyśliła się jego zamiaru.

— Dokąd znowu, ty dyable! Czy chcesz na nowo się upić?

— Tylko milcz i nie dogaduj. Pójdę, kupię butelkę wódki, wypijemy ją jutro razem.

Obdzielił ją też pieśczętą niezwykłą, palnawszy pięścią po ramieniu, aż się potoczyła i spojrzała mu podejrzliwie w oczy. Serce kobiety, to rzadka, trudna do odgadnięcia zagadka. Wiedziała bardzo dobrze, że Makar słowa nie dotrzyma, ale jednak poddała się bez gniewu tej pieśczęcie małżeńskej.

Makar wyszedł z chaty, ze stajni za grzywę wyciągnął chudego konia, zaprzągnął do małych saneczek i puścił się w drogę.

Kiedy już zdala pozostawił za sobą domowe ogrodzenie, koń przystanął i obejrzał się niespokojnie na swego pana, jakby go pytał, gdzie jada. Makar pociągnął lewem lejcem i skierował podjezdka po drodze, prowadzącej na drugi koniec wsi.

Tam właśnie, na samym krańcu, stała mała chatka, z której jak ze wszystkich innych, dym wydobywał się prostopadle do góry, przesłaniając, jakby mglistą parą, i gwiazdy i księżyc. Na podwórzu panowała cisza.

Skoro Makar wszedł do izby, zaraz przystąpił do pieca, przy którym zaczął grzać zziębnięte ręce.

— Hu! — rzekł, co miało znaczyć, że na dworze mróz nielada.

Obcy byli w domu. Na stole paliła się świeca, chociaż niczem zgoła nie zajmowali się. Jeden z nich

leżał na łóżku, wpatrywał się w kłęby dymu, dobywające się z fajki, i myślał. Drugi siedział przed piecem, ścigając tęsknem spojrzeniem płomyczki, przeskakujące i omijające łupy drzewa.

— Dobry wieczór — odezwał się Makar, chcąc przerwać nieznośne dla niego milczenie. Zresztą nie wiedział, jaki ból uciskał serca obcych, jakie myśli, czy wspomnienia w ich duszy nawoływał dzisiejszy wieczór, jakie obrazy z przeszłości rozpościerały się przed ich wzrokiem w tych krążkach i zwojach dymu z fajki, lub jaki czar miały te płomyki, tryskające czerwonymi smugami i iskrami, przecież i on miał swoje zmartwienie.

Młody człowiek, siedzący przed piecem, podniósł do góry głowę i, jakby ocucony z marzenia, spojrzał smętnem, załzawionem okiem na Makara, jakby go nie poznawał; poczem poruszył głowę, otrząsając się może z czarownego upojenia, i powstał szybko z krzesła.

— A! dobry wieczór, dobry wieczór, Makarze. Bardzo dobrze, że tu przyszedłeś. Napijesz się z nami herbaty.

Makarowi podobało się zaproszenie.

— Herbaty? — powtórzył. Dlaczego by nie.

Szybko rozebrał się.

Zdjawszy z siebie kozuch i czapkę, czuł się daleko swobodniejszym, i gdy nareszcie zasumiał samowar, zwrócił się do młodego obcego, mówiąc:

— Lubię pana, bardzo lubię pana. Nawet w nocy, kiedy nie śpię.

Obcy obrócił się nagle, a po jego twarzy przesunął się uśmiech pełen gorzkości.

— Lubisz mnie? Czego ci więc potrzeba? — zapytał.

Makar zawahał się.

— Miałbym do pana prośbę — rzekł, ociągając się — skąd pan jednak wiesz, że czegoś potrzebuję. Dobrze, niech i tak będzie. Naprzód napiję się herbaty, a potem pomówimy ze sobą.

Skoro obcy podał mu herbatę, Makar uważał za stosowne przymówić się.

— Czy niema pieczystego? Ja tak lubię.

— Niema.

— Szkoda — odpar Makar spokojnym głosem — więc drugim razem. Wszak prawda, na drugi raz?

— Dobrze.

Makar zatem uważał teraz obcego już za swego dłużnika; miał bowiem u niego przyobiecane pieczyste, a podobne długi nigdy nie zalegały, lecz były sumiennie uiszczane.

Po upływie godziny już znowu siedział w sankach.

Dostał całego rubla za sprzedane obcym pięć wiązek siana, na warunkach bardzo korzystnych.

Wprawdzie dobrowolnie zobowiązał się i szczerze zaprzysiągł, że dzisiejszego dnia pieniędzy nie przepije, jednak był gotów przeniwierzyć się temu jak najprędzej. Co go tam obchodziło zobowiązanie. Nadzieja spodziewanej przyjemności nakazała sumieniu milczenie. Nie pomyślał wcale o tem, że po przyjeździe do domu po pijanemu, otrzyma od żony dość dotkliwą, jak zawsze, karę.

— Dokąd? — zapytał, śmiejąc się obcy, kiedy zauważył, że Makar zamiast jechać prosto przed siebie, skierował się ku stronie, w której znajdowały się siedliska Tatarów.

— Stój! stój! Patrz pan, to ten nieznośny koń. Gdzie to on mnie niesie — mówił Makar, usprawiedliwiając się i nieznacznie ściągając prawy lejc.

Rozumny zwierz pokręcił ogonem, nie czyniąc panu swemu wyrzutu i powoli skierował się w ża-

danym przez Makara kierunku. Niezadługo też znikły sanki po za wrotami tatarskiej chaty.

* * *

Na podwórzu stało kilkanaście koni z wysokiemi siodłami Jakutów.

Wewnątrz chaty, trudny do oddychania zaduch. Wygryzający oczy dym tytoniu, tworzył rodzaj tumanów gorącej pary i wznosił się aż pod sufity, tylko piec odprowadzał przez rurę obrzydliwe wyziewy.

Na stołach i stołkach, na ławkach siedzieli Jakuci — stały także i szklanki z wódką. Tu i owdzie potworzyły się grupy grających w karty. Rozczzerwienione oblicza pokrywał pot, a oczy grających wściekłym wzrokiem mierzyły przeciwników. Złoto dobywane z kieszeni, topniało jak lód.

W kącie, przy ścianie siedział jakiś człowiek, zapewne Jakuta, ale dobrze podchmielony i chrapliwym głosem śpiewał nieskończoną nigdy śpiewkę. Dzikie, krzykliwe tony powtarzały się nieustannie. Śpiewał, że jutro będzie wielkie święto i że on dziś pozwolił sobie *schlać się*, jak bydlę!

Makar zapłacił i otrzymał butelkę wódki. Ukrył ją na piersiach pod kożuchem i zasiadł, nie widziany przez nikogo, w ciemnym kącie izby. Tu pił kieliszek po kieliszku, chociaż wódka była gorzka, i ze względu na jutrzejsze święto, zawierała trzy części wody. Za każdym łykiem gardło ścisnęło się Makarowi i ciemne koła tańczyły w jego oczach.

II.

Wkrótce Makar zupełnie był pijany. Położył się tedy na sianie, ciężka głowa zwiśla mu na piersi,

objął kolana rękami. Z piersi dobywał chrapliwe tony, i on także, jak pijany Jakuta, śpiewał, że jutro wielkie święto i że dziś przepił pięć wiązek siana.

Tymczasem do izby przybywało coraz więcej gości i robiło się coraz ciasniej. Nowi goście gromadzili się na zwykłe modlitwy i na wódkę. Gospodarz zauważył, że w końcu niepodobna będzie wszystkich pomieścić. Powstał tedy i rzucił okiem po całym zgromadzeniu. Dostrzegł on w kącie pijanego Jakutę i Makara.

Przystąpiwszy do pierwszego, pochwycił za kołnierz i wyrzucił z izby. Następnie zabrał się do Makara. Zachował się jednak względem niego, jako miejscowego mieszkańca, z większą grzecznością. Szeroko otworzywszy drzwi, tak go nogą z tyłu uderzył, że Makar wyleciał jak piłka, i padł na kupe śniegu.

Trudno zgadnąć, czy Makar obraził się takim nieprzyzwoitem pożegnaniem. Miał pełno śniegu w rękawach, za kołnierzem i na głowie. Wygramolił się jednak ze śniegu, otrząsł i powoli, zataczając, się doszedł do swoich sanek.

Księżyc już wysoko wznosił się na niebie. *Niedźwiedzica* opuściła ogon ku dołowi, mróz wzmógł się. Od czasu do czasu, na północy przesuwwały się półkuliste chmury, na których odbijały się słabe jeszcze ale widoczne płomienne słupy, jako zapowiedź północnej zorzy.

Koń, który rozumiał stan swojego pana, powolnym krokiem ruszył ku domowi. Makar, siedząc na sankach i przechylając się to w tę, to w ową stronę, na nowo rozpoczął swoją piosneczkę.

Śpiewał tedy, jak przepił pięć wiązek siana, jak od swojej żony zostanie obity.

Tony, wydobywające się z jego piersi, były tak żałosne, tak rzewne, że Obcy, który właśnie wszedł

na dach chaty, aby zamknąć rurę od komina, uczuł tęsknotę i serce zadrżało mu z żalu.

Tymczasem sanki dotarły już do wzgórza, z którego rozpościerał się widok na całą okolicę. Śnieżyste masy błyszczały jak miryady dyamentów, oświetlone bladawymi promieniami księżyca. Zdawało się, że blaski, płynące od księżyca, zlewały się ze strugami światła, dobywającego się z zasp śnieżystych, bo i śnieg w tym blasku wydawał się ciemniejszym i odbijał, jak w zwierciadle, jasność północnej zorzy. Wydawało się też, jakby las się oddalał, to przybliżał do zupełnie ciemnego pagórka.

Makar doskonale rozpoznawał szczyty jamalachskich gór, gdzie w zaroślach lesistych zwykle zastawiano samolówki na zwierzęta.

To zupełnie jego myślom nadało inny kierunek. Śpiewał, że w zastawione *kłody* udało się mu pochwycić lisa. Jutro go sprzeda, a żona nie będzie go już biła.

Nagle w powietrzu zmrożonem odezwały się dzwony, gdy Makar wchodził do chaty.

Przedewszystkiem opowiedział małżonce, swojej *starej*, że złapał lisa. Zapomniawszy zupełnie, że ona z nim wcale nie piła, zdziwił się niezmiernie, że pomimo tak szczęśliwej nowiny, obdarowała go tęgim kopnięciem nogą. Skoro zaś upadł na podłogę, w dodatku poczęstowała go sążnistym kułakiem.

Nad Czołganem ciągle rozlegały się dźwięki dzwonów.

* * *

Leżał na łóżku. Głowa mu pałała, ogień palił wewnętrznosci, w jego żyłach, zdawało się, krążyła wypita wódka i wyciąg z tytoniu. Na twarz padały mu sople śniegu i spływała po plecach zimna woda.

Stara myślała, że śpi, ale nie spał wcale. Nie mógł się pozbyć myśli o pochwyconym lisie i był zupełnie przekonany, że się lis złapał w zastawioną kłodę, nawet wiedział w którą. Widział doskonale, jak zapadły się belki i jak lis starał się wydobyć z tej matni.

Promienie księżyca, przedzierające się przez sklepienie z gałęzi drzew, złotawym blaskiem odbijały się w sierści lisa. Zwierzę wpatrywało się w niego zjadliwym wzrokiem.

Nie mógł wytrzymać, zerwał się z łóżka, chcąc pójść po konia i popędzić do lasu.

Lecz cóż to takiego było? Czy rzeczywiście były to ciężkie ręce jego starej, która zdarła z niego kożuch i na nowo zmusiła do położenia się w łóżku.

— Nie, przecież on już jest po za wsią. Sanki, skrzypiąc, mkną po śniegu. Czalgan pozostało daleko. Brzmia tylko nieustannie dzwony, a na dalekim widnokręgu rysują się czarne sylwetki jeźdźców jakuckich w wysokich czapkach, spieszących na nabożeństwo do kościoła.

Już prawie księżyc ukrył się w chmurach, a tam w górze pojawiły się białawe obłoczki, błyszczące fosforycznym światłem. Zdają się one rozdzielać i rozpadać na różnobarwne smugi, płynące z różnych stron, gdy na północy chmury coraz posępniejsze, coraz ciemniejsze. Zrobiło się czarno, czarniej niż w gęstym lesie, kiedy się Makar przybliżył.

Droga prowadziła wśród zbitych zarośli. Z prawej i lewej strony wznosiły się pagórki. Im głębiej wchodził w las, tem mu było trudniej przebić się przez gęstwinę.

Las stawał się coraz mniej dostępny.

Było tu cicho, tajemniczy jakiś spokój osnuwał całą przestrzeń leśną. Nagie gałęzie modrzewia szron

omotał białymi nićmi, tworząc z nich jakby smugi srebra, wiatr je lekko poruszał, przedzierając się przez szczyty koron, i zasypywał ziemię sopłami lodu. W chwilę później, las cały zdawał się zamierać w objęciach lodowej śmierci.

Makar zatrzymał się.

Tu właściwie znajdowały się całe szeregi samolówek. Przy mroku, jaki panował, rozpoznawał płot z chrustu, dalej kłody, a na koniec i samolówkę, składającą się z długich żerdzi, opartych na prostopadle wbitym w ziemię kłocu, a podtrzymywanych przez sztucznie, misternie uwity sznur z włosia końskiego.

Była to samolówka nie jego własna, lecz obca, ale przecież można złapać lisa i w cudze żelaza. Szybko tedy zsiadł z sanek, pozostawiwszy swego rozumnego konia na drodze, i zaczął nasłuchiwać.

W lesie brzmiał jakiś ton, czy głos — zdala zaś dolatywały, jak pierwiej, donośne dźwięki dzwonów.

Nie zwykł się niczem nigdy przerażać.

Właścicielem samolówki był Alesza Czołganow, sąsiad jego i wróg śmiertelny. Teraz, gdy nieobecny, ho pewno jest w kościele, można mu wypłatać figla. Że go tu niema, dowodem brak wszelkich śladów na śniegu.

Makar zapuścił się w głąb lasu. Samolówki stały rzędem, jak gdyby baterie dział bojowych. Przeszedł się tam i napowrót. Cicho. Więc powrócił na drogę.

— Co to jednak jest.

Lekki szelest... W gąszczy pojawił się jakiś zwierz o czerwono czarnej sierści. Makar podchodzi powoli, skrada się jak najostrożniej. Aha! już widać spiczasty pysk lisa, jego płomienisty ogon porusza się to w tę, to w ową stronę, jakby wabił Makara i odrazu... trzask! To spadł kłoc w samolówce. Za-

brzmiało echo i poniosło się daleko, daleko, cichło stopniowo i zamarło nareszcie.

Serce uderzyło gwałtownie Makarowi.

Pobiegł, torując sobie drogę między zbitym gąszczem.

Chłodne gałęzie uderzają go po twarzy, zasypują szronem i śniegiem. Potyka się na każdym kroku i ciężko oddycha. Dostał się w końcu na polankę, którą sam niedługo wykarczował.

Szronem pokryte drzewa stoją po obu stronach, a tuż między nimi wąska ścieżka, prowadząca do miejsca, w którym zastawione samołówki. Już tylko kilka kroków...

Nagle, przy samołowce zamajaczyła jakaś postać, ukazała się i znikła. Makar poznał Aleszę Czolgánową. Doskonale rozróżniał jego drobną ale silną i nieco pochyloną postawę i chód niedźwiedzi.

Makarowi postać rywala wydała się jeszcze drobniejszą i jeszcze bardziej pochyloną, ale natomiast miał daleko większe zęby.

Makar popadł w wściekłość.

— Łotr — zawołał, kręci się tutaj około mojej samołówki.

Na nieszczęście grubo się mylił, bo on sam stał i czatował przy samołowce Aleszy. Gniew zaślepił go, więc nie myśląc wiele, postanowił skorzystać ze szczęśliwego wypadku i pochwycić właśnie tego lisa, który się szamotał w kłodzie, zastawionej przez Aleszę.

Szybko tedy pobiegł do zapadłej kłody.

W tym samym kierunku udał się i Alesza, idąc zwolna swymi ociężałymi niedźwiedzimi krokami.

Trzeba go było koniecznie wyprzedzić.

Już pokazała się kłoda samołówki, już lis, któ-

rego czerwona sierść świeciła w promieniach księżyca, szamotał się i rwał, gwałtem usiłując wydobyć się z zatrasku, gdy obaj przeciwnicy równocześnie zbliżyli się.

— Nie dotykaj go! — krzyknął Makar — on do mnie należy.

— Nie rusz go! — odpowiedział Alesza głosem złośliwym — to moja zdobycz.

Obadwaj puścili się galopem, ten schwycił za belkę i tamten ją ujął w obie ręce. Skutkiem szamotania się belka uniosła się, a lis ujrawszy wolne przejście, dał olbrzymiego susa, i wkrótce, błyskając kitą swego ogona, znikł w zaroślach.

Alesza chciał pogonić za uciekającym zwierzęciem, ale go Makar pochwycił za kożuch.

--- Stój! — krzyknął. On do mnie należy!

Alesza wyrwał się i pędził dalej.

— Nie rusz go! — krzyczał co sił starczyło Makar, goniąc zaciekle tą samą drogą.

III.

Makar tak był wściekły, że zapomniawszy już o lisie, ze straszną groźbą na ustach począł gonić uciekającego Aleszę.

Biegli oba, wyężdżając wszystkie siły.

Gałąz strąciła Aleszy czapkę z głowy, ale się nawet nie obejrzał, zbierając nogi i pędząc z rozwianym włosem.

Makar, pełen tryumfu, śmiał się do rozpuku z nieszczęścia sąsiada. Alesza wszakże posiadał więcej niż on przebiegłości, bo oto nagle przystanął, a Makar, uderzywszy się o niego, wyrócił kozła w zaspie śniegu; wtedy Alesza zerwał mu czapkę z głowy i znikł w gęstwinie, jak pierwiej lis.

Makar powstał z trudnością, nie mogąc dość prędko wydobyć się ze śniegu. Czuł się zupełnie zgnębionym i nieszczęśliwym. Jego stan moralny był opłakany. Lis już był prawie w jego rękach, a teraz zapewne... na szyderstwo porusza swoim ogonem i drwi z niego gdzie w zaroślach.

* * *

Ściemniało się coraz więcej, zaledwie można było rozpoznać na niebie przesuwające się białawe chmury. W powietrzu unosiła się już wilgoć, zapowiadająca odwilż.

Po rozgorączkowanej twarzy Makara spływały strumienie stopionego śniegu. Miał go wszędzie, we włosach na głowie, w brodzie, na twarzy, na rękach, nawet całą odzież oblepiał śnieg. Niegodziwy Alesza zabrał mu czapkę. Podczas tej uporczywej gonitwy zgubił także rękawice. Było koło niego bardzo krucho. Makar wiedział, że z mrozem żartować nie można, zwłaszcza, gdy się jest w lesie bez czapki i bez ciepłych rękawic.

Błąkał się długo.

Podług jego obliczenia, powinien był już dawno wyjść z Jamalach i ujrzeć kościół, tymczasem ciągle szedł lasem, który, jakby skutkiem czarów, dookoła go otaczał. Tylko w oddaleniu brzmiały dzwony. Makarowi zdawało się, że idzie w tym kierunku, gdy on tymczasem krążył w koło, nie mogąc odnaleźć punktu do wyjścia.

Im słabiej odzywały się dzwony, tem większa zdejmowała go trwoga, tem bardziej wątpił o możliwości wydostania się z lasu.

Już tak go opanowało znużenie, że mu sił brakło do dalszej drogi. Nogi już go wcale nie słuchały, w ca-

łem ciele czuł ból, nie dostawało w piersiach oddechu, ręce i nogi miał prawie jak przemarznięte, w głowie, nie pokrytej czapką, zdawało się, w każdym włosku tkwiła szpilka. tak go coś kłuło, paliło.

— Trzeba będzie umierać, niema rady — szepnął, a włosy powstały mu dębem. Ta myśl przesładowała go nieustannie, pomimo to włókł się dalej jeszcze.

W lesie ucichło, jakby ta cała lesista przestrzeń zamknęła się dla niego, niby grób za życia, odejmując mu sposoby wyjścia, odbierając mu nadzieję ratunku.

— Muszę umrzeć i to w tej chwili — pomyślał Makar.

Już zupełnie wyczerpały się jego żywotne siły.

Teraz nawet gałązki młodych drzewek uderzały go po twarzy, urągając się nad zgnębionym i zgubionym bez ratunku człowiekiem. Na placu, na polanie, ukazał się w wesołych skokach zajac; przysiadł śmiało na tylnych łapkach, nadstawił uszy centkowane czarnemi plamkami po brzegach, i począł się umywać śniegiem, drwiąc ze skrzywionej bólem twarzy Makara. Dawał mu on do zrozumienia, że dobrze go zna, że to on jest tym samym Makarem, który na zajace zakładał takie niebezpieczne samolówki — ale to teraz na nic się nie przyda — może go wyśmiewać bez trwogi i własnego niebezpieczeństwa.

Makara ogarnął śmiertelny strach.

Wprawdzie w lesie grało życie, dla niego jednak wszystko wydawało się wrogie. Nietylko drzewa uderzały go gałęziami, lecz chwytaly go za włosy nawet mniejsze, a gęstsze zarośla. Cieciewicz, wydostawszy się z legowiska, przyglądał mu się ciekawie swemi okrągłemi ślepiami, gdy tymczasem dropie, rozpuściwszy szeroko ogony, przelatywały obok niego, muska-

jąc skrzydłami. Nakoniec z gąszczów wynurzyło się mnóstwo spiczastych pysków lisich. Wpatrywały się w Makara, strzygąc uszami i najwidoczniej lekcewały. Zające zasiadły przed nim i opowiadały sobie ze śmiechem o nieszczęściu i niezaradności Makara.

Tego już było zanadto.

— Muszę umrzeć — pomyślał znowu i postanowił myśl tę zaraz urzeczywistnić.

Ułożył się tedy na śniegu.

Mróz coraz bardziej się zwiększał. Ostatnie promienie zachodzącego słońca jaśniały już bardzo słabo i spozierały na Makara, przedzierając się po nad szczyty drzew. Ostatnie też dźwięki dzwonów rozbrzmiały zamierającym jękiem i umilkły, bez echa nad Czalganem.

Wszystko — cała natura kładła się do spoczynku, Makar leżał bez życia — umarł.

* * *

Jak się to stało, wcale nie wiedział. Wiedział tylko, że z niego coś wyjść, coś wylecieć musi, czekał więc, czekał... ale nic nie wyszło, ani nie wyleciało.

Pomimo to, był najmocniej przekonany, że już umarł; leżał spokojnie, nie poruszając się, leżał tak długo, tak długo, aż mu się to zaczęło w końcu przykrzeć.

Już zapanowała nieprzenikniona ciemność, gdy Makar poczuł nagle, że go ktoś porusza nogą. Zwrócił więc w tę stronę głowę i otworzył zamknięte dołgi oczu.

Teraz drzewa stały przed nim spokojnie, bez najmniejszego poruszenia, jakby wstydyli się dawniejszych swawolnych figlów i psot. Okryte szronem jodły, wyciągały rozłożyste konary i poruszały nimi

lekko. W powietrzu ulatywały, jak wielkie ćmy, kłapacie śniegu, to znowu w kształcie maluchnych, ośmio-kątnych gwiazdeczek.

Jasne, łagodne gwiazdy na niebie spoglądały z lazuru, przez korony drzew i wierzchołki pojedynczych pni, a ich grube, to cienkie, to proste, to pogięte, to suche, jak szkielety, pnie i gałęzie zdawały się cicho szeptać.

— Patrzcie, oto tam zmarł ubogi człowiek.

Makar ujrzał nad sobą pochyloną postać popa Iwana, i on go to właśnie poruszał nogą. Cała suknia popa pokryta była śniegiem, śnieg miał na wysokim kołpaku, jaki popi zwykle noszą, na ramionach i na długiej, siwej brodzie.

Najdziwaczniejszą była ta okoliczność, że tenże sam pop Iwan umarł już przed czterema laty. Był to bardzo poczciwy księżyna. Nigdy nie dręczył Makara, nie upominał się o zapłacenie należnej mu dziesięciny, nigdy nie domagał się od niego pieniędzy za dopełnienie obrządków kościelnych. Makar sam zawsze oznaczał wysokość wynagrodzenia za chrzty i odprowadzanie mszy, a teraz nawet myślał ze wstydem, że mu za życia nieraz mało, bardzo skąpo płacił.

Pop Iwan nigdy się prawie nie gniewał, żądał zaś bardzo mało — każdego tylko razu trzeba mu było postawić butelkę wódki. Skoro Makar nie miał pieniędzy, wówczas pop za własne fundusze stawiał flaszkę siwuchy, i zwykle wypijali ją razem. Pop Iwan nie odznaczał się zbyt tęgą głową i bardzo łatwo się odurzał, zachowywał się wszakże spokojnie i był łagodnym jak baranek. Makar w takim wypadku zanosił go do domu na własnych ramionach i oddawał jego *Matuszce*¹⁾, czyli małżonce.

¹⁾ Zdrobnieale po rosyjsku nazywana żona.

Tak jest, był to uczciwy pop i zacny człowiek, ale zmarł bardzo przykrą śmiercią.

Jednego dnia, kiedy nikogo nie było w domu, a pop sam jeden leżał na łożku, chciało mu się koniecznie zapalić fajkę. Wstał więc i zbliżył się do pieca, aby stamtąd wziąć ognia do zapalenia; na nieszczęście potknął się i wpadł w sam środek zarzewia. Gdy powrócili domownicy, znaleźli popa bez życia; nieszczęśliwy pop Iwan, uczciwy i zacny człowiek, leżał zwęglony aż po same kolana.

Wszyscy żalowali go bardzo, pragnęli odratować, lecz skoro po nim pozostały tylko nogi, żaden lekarz na świecie nie byłby w stanie przywołać go do życia.

Resztki z wielką przyzwoitością i odpowiednią pompą kościelną pochowano, a zaraz też na miejsce popa Iwana, przyjechał inny duchowny.

Teraz oto przed Makarem stał żywy pop Iwan, w całej swej dawniejszej postaci, trącając go przyjacielsko nogą.

— Wstawaj Makar — mówił i chodź ze mną!

— Dokąd mam iść — odparł niechętnie Makar.

Sądził on bowiem i po części miał słuszość, że skoro już raz umarł, obowiązkiem jego było leżeć spokojnie i nikt nie miał prawa zmuszać go do błakania się na nowo, jak za życia, po lesie, albo też po innych drogach.

— Nacóż więc umarłem? — zapytywał siebie w duchu.

— Chodź do Pana — mówił pop.

— Po co ja tam pójde?

— Aby cię osądził — odpowiedział pop Iwan poważnym głosem, a tak smutnym i zgębionym, że Makar się przekonał o konieczności posłuchania popa.

Makar też zaraz przypomniał sobie, że istotnie po śmierci każdy zmarły stawić się musi na Boży

sąd. Słyszał nie tylko od starszych ludzi, ale i w kościele, i to nie jeden raz i nie dwa. Więc pop Iwan mówił mądrze. Trzeba wstać i iść.

Powstał tedy, ale mrucząc pod nosem, że nawet po śmierci nie dadzą mu zażyć spokoju.

Pop szedł przodem, a Makar tuż za nim. Tak postępowali obaj w kierunku ku wschodowi. Drzewa przepuszczaly ich swobodnie.

Makar po chwili zauważył z wielkiem zdziwieniem, że pop Iwan na świeżo spadłym śniegu nie pozostawiał żadnych śladów. Obejrzał się więc za siebie i sprawdził to samo, — śnieg po za nim był gładki jak obrus, śladów nóg wcale nie było.

Wówczas zrodziła się w jego głowie myśl, że byłoby mu teraz łatwo obejść i obejrzeć samolówki, zastawione przez innych ludzi na lisy, boby śladów jego nóg nikt nie dostrzegł; ale pop Iwan, który przenikał i wiedział najskrytsze jego myśli, odwrócił się i rzekł:

— Dajno sobie pokój z temi zachciankami; ani się domyślasz, coby cię za to spotkało.

— No, no — odparł Makar niezadowolony. Czy już nawet i myśleć nie wolno. Cóż to jegomość teraz taki stał się skrupulatny i surowy? Niech *popuszka* (księżulko) uspokoi się.

Pop Iwan poruszył głową i szedł dalej.

— Czy to jeszcze bardzo daleko? — pyta po jakim czasie Makar.

— Tak jest — odpowiedział pop niechętnie.

— Cóż my tam będziemy jedli? — zapytuje Makar.

— Zapomniałeś chyba — rzekł z gniewem pop, zwracając się do Makara, — że jesteś umarłym, i że ani jeść, ani pić nie potrzebujesz.

Makarowi wcale się to nie podobało.

Wprawdzie było to bardzo korzystnie nic nie jeść, ale w takim razie musiałyby tylko leżeć, jak mu się to raz wydarzyło za życia, że, nie mając nic w ustach, przeleżał dzień cały. Ale iść, iść daleko, Bóg wie dokąd, i niczem się nie posilić, przechodziło jego rozum i wydało się nadzwyczaj dziwnem, nie-stosownem. Mocno był tedy oburzony.

— Nie narzekaj — rzekł pop.

— Dobrze, dobrze już — odparł obrażony Makar, ale jednak szedł dalej, choć nieustannie myślał o tem, dusząc w sobie niechęć, a po cichu wyklinając na czem świat stoi, taki nieporządek.

— Każą człowiekowi iść — wybuchnął nareszcie, nie mogąc się powstrzymać — a nie dają jeść. Czy kto słyszał coś podobnego.

IV.

Makar postępował krok w krok za popem Iwanem, ciągle niekontent, niezadowolony.

Szli niezmiernie długo.

Wprawdzie Makar wśród mroku nie mógł widzieć przed sobą, gdzie idą, ale skoro mniej więcej objął myślą całą, przebytą już przestrzeń, przekonał się, że już prawie tydzień idą nieustannie, że już tyle przebyli wawozów, gór, minęli mnóstwo rzek, jezior, lasów i pól — aż mu się w głowie pomieszało. Kiedy zaś oglądał się za siebie, to wydało się mu, że las się cofa, a śniegiem pokryte wierzchołki gór niby topnieją i znikają gdzieś za horyzontem.

Szli coraz wyżej i wyżej.

Gwiazdy tak już do nich zbliżały się, że były całkowicie widzialne.

Po za wystającym wzgórzem, na które obecnie wstępowali, ukazał się nawet brzeżek zachodzącego

księżyc. Zdawał się coraz szybciej kryć w niższych warstwach atmosfery, im się bardziej ku niemu zbliżali Makar z popem. Potem wznosił się znowu na horyzoncie, gdy wstąpili na prostą, ale wąską drogę.

Teraz było jaśniej, daleko jaśniej niż z początkiem nocy. Recz to naturalna, gdyż znajdowali się blisko celu.

Gwiazdy, każda wielkości jabłka, świeciły, lśniły, gdy księżyc, jak ogromna beczułka złota, świecił niby słońce, i swe promienie rozsyłał po całej przestrzeni.

Na płaszczyźnie widzialnym był każdy płatek śniegu. Mnóstwo tu krzyżowało się dróg, ale oni zawsze szli w kierunku na wschód. Po tych drogach również snuło się mnóstwo ludzi, rozmaitych postaci i w rozmaitej odzieży.

Nagle Makar zeszedł z drogi, przypatrując się jakiemuś konnemu podróżnemu i nawet pobiegł za nim.

— Stój! stój! — wołał pop, ale Makar wcale go nie słuchał.

Poznał on jednego Tatara, który przed sześciu laty ukradł mu konia, a umarł lat temu pięć. Jechał właśnie na tym samym koniu, który nieustannie zrywał się i stawał dębem. Z pod kopyt jego sypały się kłęby śniegu, które w blasku gwiazd przybierały mieniające się barwy. Makar dziwił się niezmiernie tej szalonej jeździe Tatara, którego piechotą dogonić jednak potrafił.

Makar natarł ostro na niego.

— Chodź do wołostnego starszyny — wołał. To jest mój koń, ma prawe ucho przedziurawione. Wiedzicie go, tego mydłka. Jedzie sobie wygodnie na cudzym koniu, a jego właściciel i prawny posiadacz musi, jak ostatni żebrak, iść piechotą.

— Czeka — odpowiedział na to Tatar, dlaczego koniecznie mamy zaraz iść do starszyny? Powiadasz,

że to twój koń. Więc bardzo dobrze, bierz go sobie, to wściekle zwierzę. Pięć lat jeźdź na nim, a lada piechur, piechotą mnie wyprzedzi. Prawdziwy Tatar wstydić się musi, takiego posiadając konia. Już wyjął nogę ze strzemiesia, ażeby zsiść z konia, gdy nadbiegł zadyszany pop Iwan, przystąpił do Makara i chwycił go za rękę.

— Nieszczęśliwy! — zawołał — co czynisz? Czy nie widzisz, że cię Tatar chce oszukać.

— Naturalnie, że chce mnie oszukać — odpowiedział oburzony Makar. Koń był dobry. Było to zwierzę rzadkich przymiotów, dawano mu za niego czterdzieści rubli.

— Jeżeliś, mój przyjacielu, konia znarowił, to konia zabiję i sprzedam, a ty mi gotówką za niego zapłacisz. Ty sądzisz, że jak jesteś Tatarem, to nie ma na ciebie sprawiedliwości, no to ja ci pokażę, że jest, i pociągnę do sądu.

Makar straszliwie się rozniewał i tak okropnie krzyczał, że się mnóstwo ludzi nagromadziło koło niego. Gniew to był niezwykły u Makara, bo za życia bał się zawsze Tatarów.

— Cicho! cicho! Makar. Zapominasz, że jesteś umarłym... Na co ci potrzebny teraz koń? — mówił pop Iwan. — Czy nie widzisz zresztą, że piechotą daleko prędzej idziesz, niż Tatar na koniu. Czy chciałbyś tysiące lat wędrować.

Makar zrozumiał, dlaczego mu to pop mówił, i dlaczego żądał, aby zaniechał zupełnie konia.

— Chytry naród — pomyślał Makar, i zwróciwszy się do Tatara, rzekł:

— No, no, dobrze. Jedź sobie, a ja już później wniosę na ciebie skargę.

Tatar ze złością wcisnął czapkę na głowę i spał konia ostrogami.

Koń znowu stanął dębem, kłęby śniegu posypały się z pod jego kopyt, lecz dopóki Makar stał przy Tatarze, nie postąpił ani kroku dalej.

Tatar splunął z gniewem i zwrócił się do Makara:

— Posłuchaj przyjacielu, czy nie masz choćby szczypty tytoniu, chciałbym zakurzyć, ale mój tytoń wypaliłem już przed czterema laty.

— Niech pies, nie ja będzie ci przyjacielem — odparł zagniewany Makar. — Patrzcie go, naprzód ukradł mi konia, a teraz w dodatku jeszcze żąda odemnie tytoniu.

Po tych słowach ruszył dalej.

— To było niesprawiedliwie z twojej strony — rzekł pop Iwan — że nie dałeś mu szczypty tytoniu. Pan Bóg byłby ci za to na sądzie co najmniej sto grzechów przebaczył.

— Dlaczego mi tego pierwszej nie powiedziałeś? — dodał grubijańsko Makar.

— Teraz już zapóźno udzielać ci nauk. Te już dawniej, za swojego życia słyszałeś w kościele, podczas nabożeństwa.

Makar był zły na seryo. Dlaczego popi nie nauczyli go nic rozumnego. Brali od niego, co im się należało, a przecież nie objaśnili go, że jeżeli Tatarowi podaruje trochę tytoniu, to przez to uzyska sobie odpuszczenie wielu grzechów. Rzeczywiście byłoby to dla niego pożądane i wielce korzystne.

— Poczekaj nieco — rzekł — jeszcze ja mam tyle tytoniu, że mogę nim obdarować co najmniej czterech innych Tatarów; więc pozyskam przebaczenie czterystu co najmniej grzechów.

— Obejrzyj się za siebie — rzekł pop.

Makar obejrzał się i ujrzał po za sobą pustą, szeroką płaszczyznę. Tatar już był bardzo daleko, tak daleko, że wyglądał jak punkcik czarny. Makarowi

wydało się, że widzi, jak z pod kopyt końskich wypadają tumany śniegu, ale i ten punkcik wkrótce rozpuścił się w powietrzu.

— Ha! — pomyślał Makar — niech się obejdzie Tatar bez tytoniu. Konia mi ten niegodziwy chłop zupełnie znarowił.

— Nie — odpowiedział pop Iwan — on go nie znarowił, ale koń ten jest kradziony. Czy nie słyszałeś nigdy, jak mówią, że na kradzionym koniu nie daleko zajędzie.

Makar wprawdzie słyszał to bardzo często od starszych ludzi, wszakże widział sam na własne oczy, jak Tatarzy na skradzionych koniach pędzili galopem do miasta, więc też nie bardzo chciał wierzyć temu, co mu pop Iwan bąbał. Teraz jednak utwierdził się w przekonaniu, że starzy ludzie, a tem samem i pop Iwan po części mają słusność.

Mijali znowu mnóstwo jeźdźców po drodze. Wszyscy tak szybko jechali, jak oni szli piechotą, a może i prędzej. Konie prześcigały ptaki w locie, jeźdźcy byli złani potem, ledwie oddychać mogli w takim pędzie, a tymczasem i Makar i pop zawsze ich wyprzedzali.

Po większej części byli to Tatarzy, między nimi jednakże znalazło się i wielu mieszkańców, zrodzonych w Czalgan. Niektórzy jechali na skradzionych wołach i batami zmuszali je do szybkiego biegu.

Makar nieprzyjnym wzrokiem spoglądał na Tatarów i mruczał, że to dla nich wcale mała kara; jeździć muszą wieki, to prawda, ale zawsze co innego jechać na koniu, a co innego tak dreptać piechotą, jak on teraz.

Makar, gdy spotkał jakiego mieszkańca z Czalgan, zaraz przystawał i zaczynał pogawędkę, bo to byli rodacy. Między tymi rodakami znajdowali się też

i złodzieje; tym razem nie robił różnicy i cieszył się, że ze swoimi coś nie coś pogawędzi.

Czasami widząc, jak opornie idą woły, zamierzył się kijem, aby je pobudzić do biegu, nim jednak uderzył, już jeździec znikł, tylko po nim mała smuga pozostała.

Płaszczyna, na którą się teraz dostali, zdawała się ciągnąć w nieskończoność, bez granic, bez miary. Ludzie, konie i woły wydawały się na niej jak plamki. Można było tych podróźnych obliczać na tysiące, a może i na więcej.

V.

Pomiędzy tą całą gromadą, szczególniejsze wrażenie na Makarze uczynił jakiś starzec. Z pozoru należał on także do mieszkańców Czalgan, rozpoznać to było można z jego twarzy, z jego odzieży, jak niemniej po sposobie chodzenia. Makar nie przypominał sobie, czy go kiedykolwiek widział. Ubrany był w prosty, zwyczajny kożuch, w czapkę z klapami na uszy, równie jak kożuch zniszczoną i podartą, i w stare, przechodzone spodnie skórzane. Najzabawniejszem było to, że ten człowiek mimo późnego wieku, musiał dźwigać na swych barkach jakąś starą babę, której nogi wlekły się po ziemi. Starzec z trudnością oddychał i opierał się z całą siłą na grubym kij. Makar bardzo go żałował, a nawet na chwilę przystanął, starzec się także zatrzymał.

— No, jakże tam u was — pyta Makar.

— Co takiego?

— No, jakie nowości?

— Nic niema nowego.

— Nic nowego nie widziałeś?

— Nic.

Makar po tych lakonicznych odpowiedziach milczał czas niejaki, a następnie postanowił wypytać się starca, skąd idzie i dokąd dąży. Ale starzec rzekł, że od wielu już lat opuścił Czalgan i dążył do *Góry*, aby tam zabezpieczyć sobie zbawienie duszy. Tam bowiem niczem nikt nie zajmował się, nie pracował, tylko jadł i pił, nie orał, nie siał i nie płacił zgoła żadnych podatków. Skoro umarł, stanął na sądzie przed Panem. Ten pytał go, kto on jest i co za życia robił. Odpowiedział, że jedynie tylko starał się o zbawienie swej duszy. Dobrze — odpowiedział Pan — a gdzie podziałeś swoją żonę. Przyprowadź mi ją tutaj. — Tedy poszedł po nią, bo przed laty żebranią utrzymywała swoje życie, nie mając nikogo, ktoby o niej pamiętał; nie posiadała nic wcale, ani domu, ani żadnych ruchomości, ani wody, ani chleba. Biedaczka, zupełnie wycieńczona na siłach, nie mogła postąpić ani kroku. Niegodziwy tedy mąż, który pod pozorem zbawienia duszy, rzucił ją, a sam wybrał się w świat, teraz ją musiał od wielu lat dźwigać na własnych ramionach, a dotąd nie doszedł do celu, to jest nie mógł dojść do miejsca, gdzieby ją Panu mógł przedstawić.

Stary, to opowiadając, zaczął płakać, ale starucha, uderzywszy go nogą, jak wołu lub konia, skrzeczącym głosem zawołała:

— Nieś mnie, tylko prędko!

Makar litował się nad nieszczęsnym starcem, przypominając sobie własną staruchę, i niezmiernie się cieszył, że nie potrzebował tak, jak ten stary, wędrować do owej »Góry«. Jego żona była zdrowa, tego zbudowana, więc jeszcze trudniej byłoby mu unieść ją na plecach. A gdyby go przypadkiem także uderzyła nogą, to z pewnością byłby drugi raz umarł.

Z litości, a może i z zadowolenia po części, że to nie on niesie tak ciężką babę, pochwycił staruchę za nogi, aby staremu nieco ulżyć, lecz zaledwie się dotknął, już ta osobliwa para popędziła szybko naprzód i za chwilę zupełnie zniknęła.

Na dalszej swej drodze już Makar nie spotkał nic takiego, coby zasługiwało na szczególną uwagę.

Co najwięcej, w tych gromadach znajdowali się złodzieje, jakby zwykle zwierzęta, obciążone tymi przedmiotami, jakie pokradli. — postępowali szeregiem, jeden obok drugiego. Szli też i dobrze odżywieni, opasli mieszkańcy Czalganu, w wysokich czapkach, które sięgały aż w niebiosy, jechali niektórzy i na wysokich siodłach. Obok nich postępowali ubodzy i nędzarze, robotnicy i wszelka pracowita klasa ludzi, wybladli, chudzi, ale biegli tak szybko jak zające. Tam znowu kroczył powoli morderca, złany krwią swojej ofiary. wpatrując się w przechodzących dzikiem, krwią zabiegłem okiem. Nadaremnie starał się on i siłił omyć krew, szorując te miejsca śniegiem, ale im tarł silniej, tem wyraziściej odznaczały się owe krwawe plamy. Śnieg zabarwiał się na czerwono, mimo to plamy krwiste ani bladły, ani nie znikały. Na twarzy mordercy i innych jego towarzyszy tego samego rzemiosła można było czytać rozpacz i zwątpienie. Ci już nie biegli, nie pędzili, ale uciekali, aby uniknąć ludzkiego spojrzenia.

Pojawiały się też od chwili do chwili małe duszyczki dzieci, płynęły one powietrzem z szybkością lotu ptaka. Grupy ich olbrzymie ciągnęły tuż ponad głową Makara. Złe, grube, niezdrowe pokarmy, brud, niechlujstwo, nędza, choroby, opuszczenie i złe wychowanie rodziców, tysiącami przyprowadzały o śmierć nieszczęsne niemowlęta Czalganu.

Skoro spotykały się z mordercami, zbaczały zaraz z drogi i dość długo można było słyszeć w powietrzu szmery ich skrzydeł, krzyki, płacz i błaganie o ratunek.

Makar nareszcie zrobił spostrzeżenie, że tak on, jak pop Iwan najszybciej szli po drodze, i nikt dotąd nie mógł ich wyprzedzić.

— Słuchajno, ojczulku — rzekł do popa Iwana — jak ty sądzisz: wprawdzie za życia lubilem bardzo pociągnąć, wychylić to jedną, to drugą szklanę wódki, ale mimo to byłem dobrym człowiekiem. Czy to wielki grzech, czy mi go »Pan« wybaczy?

Spojrzał przytem uważnie na popa Iwana.

Spodziewał się, że coś z niego wydobędzie, że coś powie, bo i on także miał w tym czasie cokolwiek sumienie nieczyste. Pop wszakże wywinął się od odpowiedzi, mówiąc:

— Milcz lepiej, bo oto wkrótce staniemy na miejscu i wtenczas o wszystkim się dowiesz.

Makar w początku wcale nie zauważył, że na całej przestrzeni buchnęła jakaś niezwykajna jasność. Ze wszystkich stron dolatywały do ich uszów jakieś tony, jakby dźwięki olbrzymiej orkiestry, a na horyzoncie występowały coraz nowe światelka, które nie były ani gwiazdami, ani księżycami, ani słońcami. Wydawały one promienie, raz gasnące, to znowu zapalające się jaskrawem, promienistym światłem.

Promienie te szybko przesuwaly się po nieboskłonie, a na ich miejscu to występował księżyc, zniżając się ku zachodowi, to słońce, rozpalając się do czerwoności, jak to bywa z brzaskiem poczynającego się dnia.

Nagle wszystko pokryła jakaś misterna zasłona; to mgła stanęła niby straż, granicząc, jak przegroda, wstęp do przedniebia.

Znowu rozegrała się inna scena, inny obraz przedstawiła cała przestrzeń.

Na jednym miejscu, ku wschodowi, mgliste obłoki zrzędyły, rozjaśniły się, złotawymi przeświecając blaskami.

Poza nimi powoli wynurzało się słońce na czele gwiazd i księżyca. Teraz cała ta światłość nie była już ziemską, żaden ze śmiertelnych nie był w stanie znieść jej nadmiernego blasku.

Makarowi wydało się, że słyszy jakiś cudownie piękny śpiew, a tak wspaniały i uroczy, jakiego nie słyszał nigdy jeszcze za życia. Był to śpiew, a raczej hymn, jaki zwykle ziemia i całe stworzenie Boże od wieków śpiewa Panu swemu. Był to hymn życia i śmierci, radości i bólu, skargi i prośby, uciechy i nieszczęścia, smutku i pokory, podzięk i głos serca, westchnienie duszy i krzyk rozpacz. Był to hymn, wielbiący Pana nad Pany, nie słyszany przez ludzi, a śpiewany przez chóry aniołów i świętych pańskich.

Makar zatrzymał się, pragnął słuchać cudownej harmonii, ale pop Iwan dotknął jego ramienia.

— Niema czasu do stracenia — rzekł — chodź, musimy tam wejść, bo stanęliśmy już u celu naszej życiowej wędrówki.

Wówczas Makar przekonał się, że zatrzymali się przed wielką, olbrzymich rozmiarów bramą, którą przedtem mgła zasłaniała.

Nie chciał tam wejść, ale musiał.

* * *

Weszli wtedy do obszernej, wygodnej izby, i dopiero po rozejrzeniu się i po chwili Makar przekonał się, że na polu mróz był trzaskający, gdy tutaj panowało łagodne, orzeźwiające ciepło.

Na środku stał olbrzymi piec, wspaniałej roboty z litego srebra, a w nim żarzyły się szczapy z czystego złota, które wydawały takie miłe ciepło. Ogień tego wspaniałego, królewskiego pieca, nie drażnił oka, ale tylko rozgrzewał stopniowo ciało i oku nadawał żywość spojrzenia. Makar słusznie pragnął wiecznie przy nim stać i grzać się.

Pop Iwan także zbliżył się do pieca, aby rozgrzać zgrabiąle od zimna ręce.

Izba miała czworo drzwi, z których jedne prowadziły na zewnątrz, przez drugie wchodził i wychodził rzadkiej piękności młodzieńcy, w obszernych, białych jak śnieg szatach. Makar sądził, że to zapewne robotnicy dzienni tutejszego »Pana«.

Przypominał sobie, że ich gdzieś widywał, ale napróżno łamał nad tem głowę.

Dziwiło go też niezmiernie, że każdy z tych robotników miał wychodzące z ramion, białawe skrzydła, był więc pewnym, że oprócz tych robotników, »Pan« musiał mieć jeszcze innych, bo jakżeby tacy mogli przechodzić przez las, rąbać drzewo lub je stamtąd wywozić i dźwigać ciężary.

Jeden z tych robotników przystąpił właśnie do niego, a zwracając się do popa Iwana, rzekł:

— Opowiadaj!

— O czym?

— Co nowego słyszałeś na świecie?

— Nic nie słyszałem.

— Co widziałeś?

— Także nic.

Obaj tedy umilkli, a po chwili odezwał się pop:

— Przynoszę tylko jedną nowinę, oto umarł jeden z Czołganu i ten to jest, którego tu widzisz,

— Więc z Czołgan jesteś?

— Tak.

— Więc trzeba przygotować wielką wagę.

Wyszedł przede drzwi trzecie dla wydania polecenia, a Makar nadzwyczaj zdumiony, cicho zapytał popa Iwana:

— Co to za waga i do czego służy?

— Zobaczysz sam wkrótce — odparł pop. — Waga potrzebna do przeważania dobrego i złego, jakie czyni dobre lub złe spełniłeś przez ciąg swego życia na ziemi. Dla innych ludzi przygotowują drobną, małą wagę, bo też oni różnią się od twoich rodaków. Zrodzeni w Czołgan ludzie tyle złego robią, że ich sprawy i czyni tylko na wielkiej wadze przeważać się mogą, dlatego to »Pan« kazał zrobić dla nich osobną wielką wagę. Składa się zaś z dwóch szalek z talerzami; jedna szalka dźwiga ogromny z drzewa talerz, druga talerzyk maluchny ze szczerego złota.

Słyszając to Makar pomimo woli zadrżał. Zdjęła go wielka obawa.

Robotnicy przynieśli olbrzymią wagę i ustawili ją w izbie. Tak, jak Makarowi opowiedział pop Iwan, jedna jej szalka miała talerzyk mały z czystego złota, druga z drzewa, ale nadmiernej wielkości; pod nią otwierała się przepaść.

Makar przybliżył się i patrzył szeroko ze strachu otwartymi oczami, a właściwie, jako chytry chłop, chciał sprawdzić, czy waga nie jest fałszywa; była ona w istocie bardzo wierna i sprawiedliwa.

Długo wszakże kręcił głową i pukał w czoło, bo nie mógł zrozumieć budowy owej wagi.

— Bo i dlaczego — myślał w duchu — złota szalka mała przeważa taką ogromną, z silnych belek zbudowaną szalkę?

— »Pan« się zbliża! — rzekł nagle Iwan i uporządkował zaraz suknie i pogłaskał rozczochraną brodę.

VI.

Czwarte, środkowe podwoje otworzyły się na ściężaj, i wszedł siwy pan z długą, białą brodą, sięgającą mu aż do pasa. Ubrany był w kosztowne, Makarowi nieznane futro, pokryte materyą przetykaną złotem i srebrem, na nogach zaś miał ciepłe buty, obłożone na brzegu aksamitnym pluszem, jak to Makar widywał na obrazach.

Za pierwszym zaraz spojrzeniem na starego Pana, Makar poznał w nim »Boga Ojca,« tego samego, który do dziś wymalowany na wielkim obrazie w głównym ołtarzu kościołka w Czołgan. Nie było tylko przy nim Syna. Makar przypuszczał, że wyszedł pewno gdzie w »gości.« Natomiast pojawił się śnieżno-pióry gołąbek; krążył on jakiś czas nad głową »Pana,« bijąc w powietrzu skrzydełkami, a następnie usiadł mu na kolanie. Stary »Pan« gładził jego różnobarwną, lśniąca główkę, i wreszcie usiadł na przeznaczonym dla niego, olbrzymim, szczerozłotem krześle.

Oblicze »Starego Pana« jaśniało niewypowiedzianą dobrocią i łagodnością, co wyraźnie widział Makar, choć mu serce drżało z obawy. Dobroć »Pana« nieco przywróciła mu spokoju.

Niestety łudził się tylko, bo mu na sercu leżał straszny ciężar, gdy w tej chwili uprzytomnił sobie całe swoje ziemskie życie i przywiódł na pamięć wszystkie najdrobniejsze, najbłahsze wypadki i zdarzenia. Przed jego oczami ujawnił się każdy krok, każde cięcie siekierą, każde powalone drzewo w lesie, każdy podstęp użyty przez niego, każdy kieliszek wódki, jaki wypił.

Wstydział się nadzwyczajnie i na nowo serce uderzyło mu jak młotem, a w duszy uczuł ból. Znowu

podniósł oczy na siedzącego »Pana« i nadzieja osiadła w jego piersiach, serce umilkło, dusza nieco uspokoiła się, a do piersi powrócił oddech. Spodziewał się przytem, że może powiedzie się mu coś zamilczeć, coś ukryć.

Stary »Pan« spojrzał na niego — i zapytał, skąd przychodzi, kto jest, wiele ma lat i jak się nazywa.

Kiedy Makar odpowiedział stosownie, zapytał znowu Stary »Pan.«

— Co robiłeś przez całe życie?

— »Pan« wie o tem najlepiej, bo tam u ciebie Ojcie przedwieczny, zapisane wszystko jak na dłoni.

Makar chciał dowiedzieć się i wystawić na próbę »Starego Pana«, czy też pisarze wszystko zapisują i czy czasem czego nie opuścili w rejestrach niebieskich.

— »Pan« przewidział podstęp i wykręt chłopski — rzekł tedy:

— Mów sam!

Makar zaczął.

Wyliczył naprzód wszystkie swoje roboty, każde prawie cięcie siekierą, każdy pień zwalonego drzewa, każdą zdziałaną na polu bruzdę, każdy zagon zawleczony broną, każde poruszenie pługa, dodając do tego ilość wyniesionych kup zboża, snopków żyta i pszenicy i garści owsa, każdy korczyk kartofli, każdą ćwierć ogrodowizny; wiele pudów ziarna użył na swoje potrzeby, wiele sprzedał na targu, ile garści konopi zebrał z pola.

Skoro skończył, »Pan« rzekł do popa Iwana, nakazując mu:

— Przynieś mi księgę!

Teraz Makar zrobił wielkie oczy, bo domyślił się, że pop Iwan służył widocznie »Panu« za sekretarza i ogromnie się tem oburzył, że pop Iwan taki

był skryty i nic mu nie powiedział o tych obowiązkach, jakie pełnił w niebie.

Pop Iwan przyniósł wielką, okutą w żelazo księgę, i czytał głośno, co mu »Pan« kazał.

— Patrz dobrze — rzekł »Pan« — wiele było obrobionych belek w lesie.

Pop Iwan spojrział i rzekł zasmucony:

— Było trzy tysiące sztuk.

— Nieprawda — zawołał Makar z uporem.

— Milcz — odezwał się »Pan«. — Ten pop kłamać nie może, bo przecież był on dla ciebie duchowym przyjacielem, nigdy nie zdarł cię ani za odprawianie mszy, ani za chrzciny. Czy domagał się gwałtem zapłacenia należnej dziesięciny? He!

— Co nie, to nie — odparł Makar.

— Teraz — rzekł »Pan« już gniewny — przeczytaj cały szereg jego grzechów, bo to kłameca, wykręt i nic mu już nie wierzę.

Wnet też robotnicy złożyli już na wadze liczbę belek Makara, wszystkie upadłe pnie drzewa i wszystko to, o czem własnymi ustami opowiedział. Taka była tego mnogość, że szala z drzewa coraz zniżala się ku dołowi, a natomiast złota szala szła w górę, tak, że ją dopiero z pomocą robotników można było zatrzymać, by nie spadła w przepaść.

Następnie pop Iwan zaczął odczytywać dalszy szereg popełnionych oszukaństw — było ich ni mniej ni więcej, jak 29.993; dalej rachunek z wypitych butelek wódki i wypadło ich aż 500. Pop czytał jeszcze więcej innych przewinień, a Makar zauważył, że złota szala szła w górę, a drewnianej już mało co było widać.

Stąd wywnioskował, że jest z nim bardzo źle; zbliżył się tedy do wagi i chciał ją nogą zatrzymać, ale robotnicy narobili krzyku i odpędzili go.

— Co to się dzieje? — zapytał »Pan«.

— Chciał nogą zatrzymać wagę — odpowiedział jeden z pomiędzy robotników.

— Wówczas »Pan« zwrócił się do Makara i gniewnym rzekł głosem:

— Widzę, że jesteś kłameca, oszukaniec, próżniak i niepoprawny pijak.

Następnie rzekł do popa Iwana:

— Kto z Czalgan najwięcej dęczy konie i najwięcej nakłada na nie ciężarów?

— Zakrystyan, on także trzyma stację pocztową i dostarcza konie do wójtostwa.

Tedy rzekł »Pan«:

— Ten próżniak i pijak ma być wprowadzony do stajni zakrystyana, niech na nim jeżdżą i w wójtostwie, dopóki nie wyzionie ducha; a potem zobaczmy.

Zaledwie to »Pan« wypowiedział, otworzyły się drzwi i wszedł Syn »Starego Pana«, a usiadłszy po jego prawicy, rzekł:

— Słyszałem wyrok wydany na ciebie. Długo żyłem na ziemi i wiem, jak się to tam dzieje; ubogim zawsze ciężko, a ciężiej jeszcze być koniem u wójta. Ale, kiedy tak Ojciec mój postanowił, nie moja, lecz jego niech się spełni wola. Być może, że zdołasz wypowiedzieć co na swoją obronę.

Z Makarem w tej chwili stało się coś nadzwyczajnego.

Makar, ten Makar, który przez całe swoje życie nigdy nad dziesięć słów nie wypowiedział, któremu trudno było określić choćby jedno rozsądne zdanie, teraz nagle poczuł w sobie zdolność złotopłynnej wymowy. Zaczął tedy prawić, dziwiąc się sam sobie. Było teraz właściwie dwóch Makarów: jeden, który deklamował, drugi, który słuchał i podziwiał.

Nie wierzył prawie własnym uszom.

Wyrazy płynęły mu łatwo i z pewnem namiętnem zacięciem, grupowały się zdania i frazesy, pełne krasomówczej swady. Nie obawiał się niczego. Jeżeli czasami się zająknął, to natychmiast poczynął mówić z większą jeszcze siłą i zapałem.

Pop Iwan aż pobladł skutkiem tej nadmiernej zuchwałości swego ziomka, i pociągał go co chwila za kożuch. Makar wcale na to nie zważał i prawił swoje, z coraz większym zapałem.

Pop uspokoił się i przypatrywał mu się z uśmiechem, bo przekonał się, że jego krajan różnie prawdę aż miło i że się to »Panu« podoba.

Nawet młodzieńcy w długich, powiewnych, białych szatach i z białemi skrzydłami tręcali się łokciami, ukazując głową ku prawiącemu jak z książki Makarowi.

Zaczął on zaś swą przemowę w ten sposób, że nie pójdzie służyć do zakrystyana za konia, ale nie dlatego, ażeby się miał obawiać zbyt ciężkiej pracy, ale dlatego, że wyrok jest niesprawiedliwy, bo nie on, ale zakrystyan za karę ciemienia bydląt, powinien być zamieniony w konia. Dalej, że postanowienie jego jest niezłomne, że nie zgodzi się na nic, że się niczego nie obawia, że stoi przy swoim i stać będzie, choćby mu największe groziło niebezpieczeństwo, choćby go największe nieszczęścia spotkać miały. Wójtowi także służyć nie będzie, niech mu szatani służą, ale on nie, nie i tyle!

Zakrystyan katuje konie i bije, a jego już oddawna biła bieda i nędza, głód i chłód, upał i mróz, deszcz i susza. Wszystko to on przebył i przecierpiał.

Bydlę pędzi na oślep, gdy je okładają batem, nie wiedząc dokąd dąży, ale on ani bić się batem

nie da, ani nie pójdzie tam, gdzie go batem zechcią noby przymusić. Czy wam wiadomo panowie — rzekł w końcu — że mi najstarszego syna pochwyciono w rekruty, oddano w żołdacy i popędzono w zimne kraje, gdzie zmarł, ba! już nawet jego kości dawno spruchniały.

Powiadają, że zbyt wiele wódki piłem, że byłem trunkowy.

— Tak jest, i ja mówię, piłem, bo wódka łągodziła moją boleść, bo w sercu szczepiła nadzieję, bo uspakajała smutne myśli, bo upiwszy się, zapomniałem o wszystkim złem, jakiego doświadczyłem, zapomniałem o mej nędzy, o mej okropnej doli.

— Wiele też wypieś butelek? — zapytał »Pan.«

— Wypiłem ich czterysta, jak jedna — odparł.

Pop spojrział w książkę i potwierdził:

— Tak jest, prawda — rzekł.

— Właśnie nieprawda — krzyknął zaperzony Makar, bo wódka nie była »oczyszczona,« była fałszowana. W wódce było trzy części wody, a jedna tylko część spirytusu, zmieszanego z wyciągiem z tytoniu. Można więc zapisać mi nie czterysta, lecz dwieście butelek.

— Czy mówi on prawdę? — pyta »Stary Pan« popa Iwana — podłą wódkę wyrabiają tam na ziemi?

— Prawdę, zupełną prawdę — odpowiedział prędko pop Iwan.

Makar znowu zaczyna:

— Wyrobiłem trzy tysiące belek, a wywiozłem ich z lasu około sześć tysięcy. Czy to jeszcze mało. A wtenczas właśnie chorowała obłożnie moja żona, leżała sama, bez opieki, bez pomocy. Jemu krwawiło się serce z żalu, rad był choć chwilę zostać przy niej, choćby podać kroplę wody lub kwasu, a czy mógł, kiedy go praca i konieczny zarobek pędziły

do lasu. Nie będzie robił, to zginą wszyscy zgłodu. Płakał też rzewnie tnąc siekierą, a na oczach mu zamarzały łzy, i chłód przenikał do kości, bo o kromce chleba wyszedł z domu do pracy.

Nie dość tego — umarła mu żona, musiał ją przecie po chrześcijańsku złożyć w świętej ziemi, obrobić choć na surowo i zbić z tarcic trumnę. Znowu się tedy najał do rąbania drzewa... Kupiec wiedział, że go nędza gniecie, że cierpi głód, a dał mu tylko dziesięć kopiejek, połowę zwyczajnego wynagrodzenia za rąbanie.

W domu, w nieogrzejanej izbie, w prawdziwej norze z wybitymi szybami, z rozwalonym piecem, z niedostającami, rozeschłymi drzwiami leżał na kupie słomy trup jego żony, a on zalewając się łzami, musiał rąbać drzewo w lesie. Te pocięte kawały drzewa, co je łzy jego zlały, powinny mu się porachować nie we czworo, ale w dziewięcioro, i zapisać na rachunek.

W oczach »Starego Pana« zajaśniała, jakby jasna, przejrzysta jak brylant kropelka — łza, a Makar też zauważył, że szala złota cokolwiek przeważała drewnianą.

— Gdyby — mówił dalej — w jego księdze życia było zapisane wszystko sprawiedliwie, toby się przekonano, co on złego lub dobrego doznał, jakie miał za żywota radości, a jakie smutki i gorycze. Gdzież to jego dzieci? Poumierały, a serce ojcowskie przecież boleść straszną odczuć musiało, rozdarła go żalność jak szmatę. Gdy inne zaś dorosły, to także nowy smutek, bo odleciały z gniazda, szukając stawy i szczęśliwszego dla siebie losu. Starzał się powoli, słabł, siwiał i przekonywał się, że zbliża się wiek niemocy, niedołęstwa, że zostanie sam, jak palec, bez rodziny, bez pocziwej duszy, coby mu osłodziła starość, a po zgonie zamknęła powieki. Gdyby żona żyła, wspiera-

liby się wzajemnie, wzajemnie opędzając się nędzy, a tak czemże był: zeschłym pniem bez gałęzi, ptakiem, wyrzuconym z gniazda, zwierzem dzikiem na pustkowiu, co się światem zowie, sosną krzywą na piasku, krzakiem ostu na stepie życia — chodzącym trupem, którego nawet śmierć się lękała, pozostawiając go w walce nierównej z głodem, chłodem i opuszczeniem. Czy był przydatny dla kogo, a choćby dla siebie?

— Czy on mówi prawdę — zapytał po raz trzeci czy czwarty »Pan«, a pop Iwan odpowiedział:

— Najświętszą prawdę.

Znowu poruszyła się waga... Stary »Pan« zamyslił się.

— Co to się zatem dzieje? — rzekł. — Mam na ziemi prawdziwie sprawiedliwych... Ich oczy patrzą jasno, ich oblicza pogodne, a serca miękkie, czułe, tkliwe, jak urodzajna niwa — ich szaty bez plamy... Sieją ziarno zdrowe i pożyteczne... kłosa wyrastają wysoko, aż tu do mnie; ich woń cieszy mnie i raduje... Popatrz więc tylko na siebie...

Wszyscy zarazem spojrzeli na Makara, tak, że jego twarz okrył rumieniec wstydu. Czuł, że jego wzrok jest mgławawy, twarz pochmurna, jego broda i włosy rozczochrane, a odzież podarta. Wprawdzie przed swoją śmiercią miał szczerzy zamiar kupić buty, aby przyzwoicie stanąć na sądzie, jak przystoi uczniemu i porządnemu gospodarzowi, ale zawsze przepijał zgromadzony grosz i stał teraz przed »Panem« jak najuboższy, najnędzniejszy Jakuta, w podartych spodniach i butach. Radby był schować się pod ziemię ze wstydu.

— Twoja twarz ponura — rzekł »Pan« — oko mgliste i odzież podarta. Twoje serce skrwawione, ale i przesiąknięte trucizną, nienawiścią; twoja du-

sza nie odczuwa potrzeby skruchy, poprawy, modlitwy. Kocham sprawiedliwych na ziemi, a odwracam oblicze moje od bezbożnych...

Serce Makara ścisnął na nowo ból.

Wstydził się własnej swej postaci. Opuścił głowę na piersi, wnet ją jednak uniósł do góry, pytając:

— O jakich sprawiedliwych mówi »Pan.« Czy o tych, co zamieszkują błyszczące pałace? Ich oczy rzeczywiście jasno patrzą, bo nie przełaty nigdy łez niedoli, twarze ich łagodne i pogodne, bo boleść i zawód nie skrzywiły ich, nie pocięły w bruzdy, a szaty mają czyste, bez plamy, bo nie wypił ich jasnych kolorów ani deszcz, ani słońce, ani mróz, bo te szaty zdziałali inni i obce ręce utrzymywały ich czystość.

Makar znowu pochylił głowę na to tylko jedynie, by ją podnieść z większą jeszcze dumą i pewnością siebie.

Czyliż on, jak wszyscy ludzie na ziemi, nie był także bożem stworzeniem na podobieństwo Boga, czy nie miał także jasnego spojrzenia, w którym się niebo i ziemia przegląda, czy nie był młodym, czy nie posiadał serca, zdolnego odczuć radość i szczęście, czy i dla niego nie świeciło słońce, czy matka-ziemia przypadkiem szczególnym, fatalnym wyrzuciła go ze swego łona jak sierotę, przeznaczonego na ból i cierpienie?

Jeżeli teraz pragnie swoją wstrętną, ponurą postać ukryć, czyjaż w tem wina? On tego wcale nie wie. Ale nie to, tylko, że przebrała się miara cierpliwości.

Gdyby Makar mógł widzieć, jakie mowa jego, tak śmiała, a wypowiedziana ogniście, szczerze, bez ozdób retorycznych, wywarła wrażenie na »Panu,« toby się przekonał, że za każdym jego wyrazem złota szalka opadała jak ołowiana, i byłby się niezawodnie uspokoił.

Nie widział tego, i dlatego w jego sercu zapanowało straszliwe zwątpienie.

Jakim sposobem zdoła znieść ten ciężar? Zdołałby go znieść, gdyby choć w przybliżeniu uśmiechała się mu nadzieja, bo przecież żyje i spodziewa się, że los może się odmienić. Niestety, teraz stracił wszelką nadzieję — gwiazdeczka jego życia zagasła. W duszy zrodziła się próżnia, gniew go tylko szarpał. Zapomniał, gdzie się znajduje, w swej zapamiętałości.

Tymczasem »Stary Pan« rzekł:

— Czekaj nieszczęśny! Nie jesteś więcej na ziemi. Tu znajdziesz spokój, ukojenie, prawdę i sprawiedliwość.

Makar zadrżał.

Pojał sercem, że go żałują i zmiękł niespodziewanie, a kiedy wreszcie przed duszy wzrokiem rozpostarł się cały wątek jego życia ziemskiego, od pierwszego do ostatniego dnia, zaczął żałować, uczuł skruczę i... zapłakał.

Zapłakał równie i »Stary Pan«. Pop Iwan szlochał głośno, wylewali łzy i młodzi robotnicy Pana Boga, ocierając oczy rękawem.

Waga w tym czasie była w pełnym ruchu i po chwilowej walce między drewnianą i złotą szalą, ta ostatnia wzniosła się wysoko... coraz wyżej.

III.

STARY DZWONNIK.

(WIOSENNA IDYLLA).

Noc.

Noc wiosenna, ciepła. Na niebie jaskrawo świecą miryady gwiazd.

Nad brzegiem lekko szumiącej rzeczki leży maluchna wioseczka w cieniu jodłowego lasu. W powietrzu unosi się mgła, jakby oddech ziemi, zbudzonej niedawno z zimowego snu. Uwydatnia się wyraźniej masa ciemna lasu, a przestrzenie swobodne rzeczki lśnią matowo-srebrnym blaskiem. Cisza, tęskny jakiś spokój dokoła. Mieszkańcy wioski, ujęci snem, śpią... Tylko z trudnością rozpoznać można małe, ubogie chaty; tylko tu i tam, w oddaleniu, błyszczą, pełga bladawe światelko; słysząc trzask otwieranych drzwi i szczekanie psów, czuwających przy domach, za chwilę jednak ta sama błogosławiona cisza. Tu i owdzie z cienistej głębi lasu wynurzają się postacie samotnych wędrowców, ukazuje się jeździec lub przesuwa wóz chłopski na skrzypiących kołach. Wszystko to mieszkańcy wioski, spieszą oni do cerkwi, by godnie powitać dzień wielkiego, uroczystego święta.

W środku wioski, na samotnie wznoszącym się pagórku, widnieje uboga cerkiewka, jasno przeświecają okna, a szczyt kopuły, ginie gdzieś w chmurach.

Trzeszczą stare, nadpsute schody na dzwonnicy.

Stary dzwonnik stąpa po nich ociężale drżącym krokiem. Niezadługo nowa gwiazdka wysyła swe światło na ziemię — to latarka dzwonnika.

Z trudnością biedny starowina wdrapuje się coraz wyżej, wyżej po schodach. Stare nogi odmawiają

mu już posłuszeństwa, ciężar przebytego żywota ugniata jego ramiona, oczy mgławym wzrokiem słabo widzą... Czas już, czas dla starego spocząć nareszcie... ale śmierć nie nadchodzi.

Synowie i wnuki zeszli już z tego świata; — dzwonił na pogrzeb starym i młodym, o nim jednakże zapomniała *kostusia* (śmierć), choć to życie już dla niego nieznośnym ciężarem.

Tyle razy dzwonił w dniu Wielkiej Nocy, dziś nie wie jeszcze, kiedy ma dzwonić, i czeka cierpliwie na drewnianej dzwonnicy.

Ciężkimi, powolnymi krokami zbliża się stary dzwonnik do okienka, opiera na ramie i zaczyna rozpamiętywać przeszłość, snuć przedzę złych i dobrych dni, wątek przebytego życia.

Dokoła, w cieniu, osłaniającym tak kopułę dzwonnicy, jak i obok znajdujący się cmentarz, rozpoznaje a raczej odczuwa sercem, miejsca mogił drogich sobie osób.

Tu i owdzie poruszają się obnażone z liści brzozy, świecąc swym białym pniem.

Tu i owdzie, jak cienie rysują się w wiosennej nocy pomniki i sarkofagi, w znacznej liczbie znajdujące się w tem państwie umarłych, w tem ustroniu śmierci.

Z dołu płyną ciepłe powiewy odświeżonego wiosną powietrza, roztacza się zapach młodych łątek i latorośli — wszystko ożywia, raduje starca, który już stojąc nad grobem, jeszcze odczuwa rozkosz i przyjemności życia.

Cóż mu jednak przyniesie poczynający się rok? Czy znowu, jak dawniej, ma powitać tylko odgłosem dzwonów wielki dzień Zmartwychstania Pańskiego?

Czy może spocznie tam, na dole, u stóp tej ukochanej przez niego dzwonnicy, i w cichym zakątku

cmentarza spocznie na wieki, a nowy krzyż zaznaczy świeżą mogiłę, pod którą złożą ziemskie szczątki jednego ze smutnych bojowników z niedolą i zawistnym losem.

Ha! jak Bóg osądzi. On jest gotów. Wszakże należy mu z obowiązku zapowiedzieć dzień rozpoczynającego się święta.

Cześć Bogu i chwała, szepczą jego usta; spogląda w niebo, na którym błyszczą miliony gwiazd i krzyżem znaczy piersi...

* * *

— Mielkicz! — woła ktoś z dołu drżącym, trzęsącym się głosem. Stary zakrystyan (ponomar) spogląda w górę ku dzwonnicy, osłaniając ręką załamane z wytężenia oczy, a mimo to nie jest w stanie dojrzeć dzwonnika.

— Czego chcesz? Jestem tutaj! — odpowiada Mielkicz dzwonnik, i nachyla się nad brzegiem otaczającego kopułę wieży krużganka. Czy mnie nie widzisz?

— Nie.

— Czy już pora na dzwonenie. Jak sądzisz?

Obaj wpatrują się w gwiazdy. Tysiące tych niebieskich ciał jaśnieje na niebie. Tam dalej, w górze, świeci konstelacya Wóz...

Mielkicz zastanawia się.

— Nie, nie pora. Już wiem...

* * *

Wie dobrze... Nie potrzebuje wcale patrzeć na zegarek. Gwiazdy Boga mówią mu, kiedy nadejdzie właściwa pora.

Niebo i ziemia i białe chmury, powoli przesuwa-
jące się po nieboskłonie, i ciemne zarysy jodłowego lasu,
a nawet ciche pluskanie fal rzeki, odbijających się od
brzegu — wszystko to dawni znajomi, dobrzy, szczerzy
przyjaciele.

Całe życie składa się ze wspomnień.

Ujawnia się dawno zapomniane, ożywia, poru-
sza przed jego wzrokiem... Jak on to pierwszy raz
z ojcem wstąpił na tę dzwonnice... Dobry Boże, ileż to
od tej chwili upłynęło lat? Jednak zdaje się, jakby
to było przed kilku dopiero dniami... Widzi się
chłopcem, z pięknymi blond włosami w kędziorach,
z iskrzącym się wzrokiem. Wiatr — nie ten wiatr
co pędzi kurz w ulicach, lecz ten osobliwy, wiejący
w górnych przestworzach, porusza piękne jego kę-
dziory... Tam dalej, w głębi, stoją rzędem młodzi lu-
dzie i chaty wiejskie tak się wdzięcznie grupujące —
to jego miejsce rodzinne; nad tem w oddali ciemnie-
jący las i kolisty wolny plac, na którym stoi wieś...

— To tak niedawno — szepcze stary dzwon-
nik i ukazuje palcem na ciemniejącą w dole wioskę.

Takie to życie ludzkie!

W młodości wydaje się wszystko nieskończo-
nem: życie — to wieczność, rokosz — to cel, siła
woli — to środek zdobycia tego, co niedostępne — co
wielkie — niema przeszkód, ani zawad, gdy dłoń
krzepka, oko pełne ognia, serce pełne zapału, a du-
sza wiary — niema zawodu, ułud, rozczarowań —
życie różowym rąbkiem osłania ten świat piękny. —
Pamięta chwilę swego urodzenia, wszystko aż do
ostatniego dnia... gdy legnie na cmentarzu.

— Tak, tak — powtarza szeptem — dzięki Naj-
wyższemu, czas już spocząć. — Zacznie, sumiennie i ucz-
ciwie spędził dni swego żywota — ziemia była mu

matką, a nie macochą. Wkrótce, gdy taka będzie
wola Boża, spocznie na jej łonie.

* * *

Ale już czas!

Jeszcze raz Mielkicz spojrział ku gwiazdom, od-
krył głowę, przeżegnał się i pochwycił za sznury od
dzwonów.

W powietrzu rozlegał się imponujący dźwięk spi-
żowych olbrzymów.

Coraz potężniej brzmia dzwony, jeden za dru-
gim, a w uroczystej ciszy nocy płyną tony, raz urwane,
to znowu zlewające się w pełną harmonię.

Dzwony ucichły, rozpoczęło się nabożeństwo.

Na nowo jeszcze silniej, jeszcze potężniej po
chwilowej przerwie zabrzmiały i znowu ucichły.

W dawniejszych czasach Mielkicz po schodach
zstępował do wnętrza świątyni i, stanawszy tuż przy
drzwiach, w najciemniejszym zakątku cerkwi, słuchał
nabożeństwa i modlił się. Teraz pozostał na swoim
miejscu, ciężko staremu schodzić na dół. Dziś szczegól-
nie, wyjątkowo, odczuwał niezwykły ból we wszyst-
kich członkach.

Usiadł na ławce i, słuchając dolatujących aż do
niego śpiewów, oddał się głębokim a ponurym roz-
myślaniami.

O czym?

On sam nie byłby w możności na to odpo-
wiedzieć.

Kopuła dzwonnicy bardzo słabo była oświetlona,
ledwie pełgało światelko latarki. Niepodobna w tem
pół cieniu, pół świetle rozpoznać nawet dzwonów.
Z dołu, ze świątyni płyną stłumione tony, śpiew to
parafian, całej gminy, a wiatr lekko szeleści po sznu-

rach. Szmer ten, dobrze znany dzwonnikowi, dziś przejmując go niebywałą trwogą i drżeniem.

Starzec opuścił ze smutkiem głowę na piersi, wpatrując się okiem duszy w przesuwające się przed nim minione obrazy przeszłości, które się nieustannie zjawiają w jego myśli, tłoczą się, cisną, zmieniają kolejno, już to występując w jasnych, a nawet jaskrawych barwach, już jako spłowiełe ślady minionych niepowrotnie wspomnień.

Tam słychać pieśni... Starcowi wydaje się, jakby stał w świątyni, przy drzwiach, w swym najciemniejszym kącie, i brał udział w pobożnych śpiewach.

Przy ołtarzu śpiewają młodzieńcy, chór *diaków* w czarnych sukniach, przepasanych szarfami, przepłatanymi złotą nicią i frendzlami. Nad pięknie brzmiącymi, młodocianymi głosami przeważa potężny bas starego popa, ojca Nauma. Setki pobożnych uderza pokłon czołem po posadzce, przykłęka i żegna się.

Wszystko to znajome twarze, a przecież już dawno pomarli.

Obok siebie widzi on surowe oblicze ojca, przy nim stoi starszy brat, znaczący na piersiach znak krzyża świętego, modli się i wzdycha — gdy on tymczasem stoi w całej krasie swej młodości, zdrowia i siły fizycznej, pełen nadziei i pretensyi do szczęścia w przyszłości.

Gdzież jednak to szczęście?

Myśli starca to rozjaśniają się, to płaczą, — to płoną jak resztki ognia, buchającego ostatnim, najżywszym płomieniem, i oświetlają tajemne zakątki duszy i dni minionego życia. Niezmierny wysiłek zdobycia tego marzonego szczęścia, a potem cierpienie i troska, oto jego niedostępni towarzysze.

Gdzież więc to tak upragnione, oczekiwane szczęście?

Ciężki los, smutna dola zorały bruzdami troski jego oblicze, pochyliły, przygięły do ziemi jego smukłą niegdyś postać, nauczyły wzdychać tak, jak wzdycha jego brat, stojący obok.

A tam, po lewej stronie, między kobietami stoi jego małżonka z pokornie pochyloną głową, ze skrzyżowanymi pobożnie rękami na piersiach, szepcząc błagalną modlitwę do Pana zastępów.

Praca i trudy codzienne i ciężki los ubogiej kobiety, przyspieszyły jej starość. Jej, niegdyś błyszczące jasnym spojrzeniem oczy, utraciły dawny blask, a szerokie bruzdy i zmarszczki, i obawa okropnego i nieuniknionego losu wystąpiły na miejscu dawnej słodyczy, dumy i pewności młodzieńczej — uczyniły powabną, piękną kobietę — wstrętną staruchą!... Gdzież zatem jej szczęście? Pozostał tylko jeden syn, nadzieja i pociecha starości, ale i tego pokonała obłuda ludzka.

Tam, nieco dalej, stoi bogaty kapitalista i lichwiarz wioskowy, gnie on swój kark aż do ziemi, bije pokłony, całuje niejednokrotnie krzyż, daje liczne świece do ołtarza, aby tą życiową komedią wykłamać sobie przebaczenie za łzy odartej z majątku sieroty. Bogacz kłamie przed Bogiem, jak kłamał przed ludźmi.

Serce Mielkicza wzdyma gniew, żal, ból i pragnienie odwetu tej hyenie w ludzkiej postaci, płaczącej się na ziemi, by ssać krew z pod serca i rabować bezkarnie chudobę biedaków i nędzarzy!

Wszystko przesunęło się w jego myśli, rozraniło duszę, napoiło goryczą, smutkiem. Ach! on już tyle lat patrzy na nędzę ludzką i na kłamstwo, podstęp i zdradę. Nie jego mocą zaradzić złemu, osuszyć łzy, dopomódz, wesprzeć, pocieszyć, otoczyć opieką i dać szczęście. Uciekł od tego steku bezpraw. Jego świat cały — w tych czterech ścianach starej, zniszczonej,

grożącej ruiną wieżycze dzwonnicy. Starzec, oddany rozpamiętywaniom przeszłości, szepcze drżącym głosem:

— Bóg sądzić będzie, jego jest zemsta!

Łzy płyną po obliczu rozrzuconego dzwonnika, łzy żalu, rozpacz i skargi.

* * *

— Mielkicz! Słuchaj! Czy cię sen zmorzył? — woła znowu z dołu zakrystyan.

— Kto mnie woła? — pyta starzec i zrywa się z ławki, na której spoczywał. — Dobry Boże! — mówi; czy rzeczywiście sen mnie zmorzył. Podobnej hańby jeszcze nigdy nie doświadczyłem w mem życiu.

Szybko, wprawna dłonią chwyta sznury dzwonów, spoglądając na dół, gdzie już gromady pobożnych, jakby mrówki rojące się w gnieździe, wysypały się z cerkwi, przyjmując udział w procesyi.

Wspaniały orszak z krzyżem na czele, obchodzi, okrąża cerkiew dokoła a dzwony, poruszane ręką, Mielkicza, zdają się głosić całemu światu wieść radosną:

»Chrystus zmartwychwstał!«

Błogosławieństwem w sercach wszystkich odbija się ten wykrzyk, nawet świece jaśniejają uroczystszym, silniejszym światłem, prawdziwie weselnym blaskiem; dzwony dzwonią, chwytając wykrzyk jak echo, i spiżowym głosem niosą go dalej, grzmia nad ziemią, płyną w przestrzeń, na całą ludzkość, na cały świat:

»Chrystus zmartwychwstał!«

* * *

Nigdy jeszcze dzwony starego dzwonnika nie brzmiały tak radosną, cudowną nutą. Jego serce, prze-

pełnione szczęściem, zdaje się wlało życie w martwe, spiżowe serca dzwonów — był to prawdziwy hymn, składany niebu i Bogu w niebiosach, który budził w sercach ludzkich nadzieję, orzeźwiał, pocieszał, skrzepiał i wyciskał łzy radości z oczów parafian. Do nieba, tam, w nieznane przestrzenie, do tronu Boga biegł chór ludu, zmieszany z dźwiękami dzwonów, a w jego dźwiękach, w jego tonach brzmiała chwała Stwórcy wszech rzeczy — cześć i uwielbienie i błagalne prośby nędznych synów tej ziemi.

Głucho jęczał bas i potężnie akompaniowały mu dźwięki tenoru. Chrystus zmartwychwstał — wygłaszały dyszkanty — splatały się i zlewały w uroczą melodyę ¹⁾, a słysząc to starzy i młodzi, kobiety i dzieci powtarzały z uniesieniem:

»Chrystus zmartwychwstał!«

Nawet stara wieżycza dzwonnicy zdawała się dzielić radość wszelkiego na ziemi stworzenia, dziwny szmer poruszanych dzwonów i lekki powiew wiatru, towarzyszący tym ruchom spiżu, śpiewał głosem radości, głosem szczęścia:

»Chrystus zmartwychwstał!«

* * *

¹⁾ W Rosyi we wszystkich soborach, większych i mniejszych cerkwiach, na dzwonnicy zawieszają dzwony w tym porządku, aby dźwięki te scharmonizować i zlać w jedną melodyę. Dzwonnik musi się wprawiać do dzwonienia, i uczyć się z nut swego fachu. Dlatego widzimy na dzwonnicach w cerkwiach dzwon jeden wielki, drugi mniejszy i kilka innych małych. Poruszają je zaś nie tak, jak w kościołach katolickich ale przymocowują sznury do serca dzwonu. Dzwonnik dzwoniąc, musi mieć w ręku wszystkie sznury i stosownie nimi manipulować. (Przypisek tłumacza).

Na dole zgromadzeni parafianie rozpowiadali sobie wzajemnie, że jeszcze nigdy stary dzwonnik nie dzwonił tak pięknie, tak cudownie.

Nagle urwały się dźwięki, jakby gwałtownym ruchem powstrzymane zostały dzwony — głosy ich mieszały się w jakąś niestrojną, krzykliwą harmonię, — jęły jak ludzie, którym pęka serce z bólu. Zawarczał naprzód bas, tenor jakby zdławionym głosem zachuczał chrapliwie, dyszkanty pisnęły, brzękły; był to właśnie zgrzyt ścierającej się ze sobą stali, odgłos ostatni, ostatnie echo — jakby tej ręce, co śmiało, dzielnie poruszała spiżowe te serca, naraz brakło siły.

Powoli, nieznacznie cichło echo, odbijając się szeptem złowieszczym w przestrzeniach lasu, i zamarło wreszcie w grupach drzew i krzewów, okalających mogiły cmentarza.

Dzwonnik bezsilny spoczywał na ławce, łzy mu płynęły po obliczu, na które już bladość śmierci rzuciła cień złowiszczy — oddychał ciężko i tak jak echo zamierające dzwonów, upływało i jego życie, — konał powoli.

Ostatni raz tedy wydzwonił chwałę Bożą i uroczystą dla ludzkości wieść:

»Chrystus zmartwychwstał.«

IV.

LAS SZUMI.

I.

Zawsze w lesie dawało się słyszeć lekkie szumienie, jakby szmer czy szept tajemniczy, ale tak miarowy, tak poważny, tak uroczysty, jak brzmienie umiejętnie nastrojonej lutni czy też arfy eolskiej; tak cicho, łagodnie, tęskno i smutnie, jak pieśń bez słów, jak zdławione siłą, rozpaczliwe łkanie.

Brzmiał tak las świerkowy, nie tknięty dotąd ani siekierą, ani piłą rębacza. Wysokie, stuletnie świerki, jodły i modrzew, ze srebrnymi i różnobarwnymi pniami stały jak mur, tylko ich wierzchołki i korony zielone tworzyły rodzaj olbrzymiego sklepienia nad całą leśną przestrzenią.

Dołem panowała cisza powietrza, przesiąkniętego zapachem żywicy; na ziemi, to jest na samym gruncie, stanowiącym teren lasu, a usianym igłami drzew, rosły soczyste paprocie, wspaniale przedstawiające się swymi liśćmi w kształcie wielkich wachlarzy, dzierganych w misterne rysunki i wycięcia. Na miejscach błotnistych rosła bujna trawa. Biała koniczyzna zniżała swe łodygi, jakby znużone, ku ziemi. Górą zaś, samym szczytem lasu, płynęły tajemnicze szmery, jak tęskne westchnienia lasu, bo rzeczywiście z pewnego oddalenia wydawało się, jakby las szumiał smutnie, jękliwie, coraz boleśniej.

Jechałem drogą wśród lasu, a jakkolwiek nie mogłem dostrzedz lazuru nieba przez zbite gęstwiny,

domyslałem się, że ten szmer, ten jęk był skutkiem lekkiego podmuchu wiatru.

Już było dość późno.

Tu i owdzie przedzierały się jeszcze promienie zachodzącego słońca, ale krwawe odbicie się ich w gęstwinie, w liściach i w karłowatych krzakach, zapowiadało zbliżający się wieczór.

Na zachodzie grupa ciemnych, ołowianej barwy chmur, była niewątpliwą oznaką, że wkrótce, może wśród nocy, rozszaleje się burza z gwałtowną ulewą.

O polowaniu nie mogło być mowy, przeciwnie obawiałem się, czy spokojnie, nie narażając się na huragan, dotrę gdzieś, do opiekuńczego dachu.

Koń mój, co chwila ślizgając się po wystających na drodze korzeniach, parskał i strzygł uszami, nasłuchując głucho rozlegające się echo dalekiego grzmotu i sam dobrowolnie przyspieszał krok na znajomej mu drodze.

Nagle zaszczekał pies.

Miedzy drzewami, które tworzyły wyjście z polany, ukazał się mur.

Niebieskawe obłoczki dymu, wydobywające się z wysokiego komina, płynęły swobodnie w powietrze, aż pod szczyty wierzchołków drzew, wytwarzając niewielki obłoczek, jakby drogowskaz dla podróżnych, że oto w pobliżu czeka na nich zaciszny kątek.

Za chwilę spostrzegłem do połowy zniszczoną chatę, tak zwaną leśniczówkę, ze słomianą strzechą, w cieniu, padającym od gęstwiny leśnej.

Zdawała się wyrastać z podziemi, gdy tymczasem smukłe, wysokie jodły dumnie unosiły głowy, aż pod stropy nieba.

Pośrodku niewielkiej łąki, opodal nizek, słomianą strzechą pokrytej lepianki, stała grupka samotnych, smagłych dębów.

Tu właśnie mieszkał towarzysz moich wypraw myśliwskich, leśniczy Sachar i jego brat Maksym.

Teraz, zdaje się, nie było ich w chacie, bo na szczekanie psa, nikt nie wyszedł z izby. Po chwili przecież ukazał się starzec z zupełnie łysą głową i siwymi wąsami. Widocznie szczekanie psa przerwało mu ulubione zajęcie, gdyż zauważyłem w jego ręku łyko. Staruszek, jak mi to sam później wyjaśnił, dla skrócenia nudów, wypłatał obowie z łyka, znane w tych stronach pod nazwą: *postołów* ¹⁾.

— Witajcie miły staruszkule! — zawołałem, uchyłając kapelusza — czy niema nikogo w domu?

— Nikogo — odpowiedział starzec, poruszając głową; ani Sachara, ani Maksyma, ani Motryny, poszła bowiem do lasu, żeby odszukać krowę, która się gdzieś zabłąkała w gąszczach, nastraszył ją przechodzący niedźwiedź. Tak, tak, niema nikogo w chacie.

— Nic nie szkodzi. Zatrzymam się tutaj u was i poczekam.

— Dobrze, zaczekaj pan — dodał staruszek, i kiedy przywiązywałem konia do drzewa, usiłował przypatrzeć się mi bliżej swemi mętnymi oczami. O, był

¹⁾ Są to trzewiki tego rodzaju, jakie noszą nasi górale ale nie z gałganów, lecz plecione z łyka lipowego i przywiązywane do nogi, także łyczanymi sznurkami. Na całej Rusi, Litwie, a szczególnie na Polesiu, w gubernii podlaskiej, w Królestwie Polskim lud używa za obowie *postołów*. Nie wstydzi się ich i szlachta, tak zwana drażkowa. *Postoły* okrywają nogi i szlachty herbowej, prawdziwych karmazynów, ale ubogiej, nie wiele różniące się od chłopca. Na Podlasiu znajdują się całe wsie, w których mieszkańcy jedno noszą nazwisko. Ludowe przysłowie mówi, że szlachcic podlaski to taki potentat, że jak pies siądzie na jego posesyi, ogon wystaje mu na własność sąsiada.

już on bardzo stary, oczy wypowiedziały mu zupełne posłuszeństwo, i ręce trzęsły się.

— Kto pan jesteś? — zapytał, skoro usiadłem na ławce obok niego. Pytanie to powtarzał nieustannie. za każdą prawie moją wizytą. — Wiem już, wiem — dodał po jakimś czasie, zabierając się do przerwanej czynności. — Stara, jak przebite sito, jest moja pamięć i nic się w niej utrzymać nie może. Tylko tych przypominam sobie, którzy już dawno, bardzo dawno pomarli. Pamiętam ich dobrze, bardzo dobrze. Tych nowych, dzisiejszych spamiętać nie jestem w stanie. Jestem już bardzo stary.

— Czy dawno mieszkasz w tym lesie mój staruszk?

— O dawno, niezmiernie dawno. Mieszkalem tutaj już wówczas, jak to nasz kraj najechali Francuzi.

— Więc widziałeś bardzo dużo i mógłbyś mnóstwo ciekawych wypadków opowiedzieć.

Starzec spojrział na mnie z wyraźnem zdziwieniem.

— Widziałem, ale co takiego? Czy las? Widziałem las i słyszałem i słyszę tak we dnie, jak w nocy, w każdej porze, jak szumi tajemniczo, jak szemrze niby cichy strumień, lub wzdycha jak człowiek, dotknięty niedolą. I ja także, jak ten las żyłem długo, ale nic nie spostrzegłem, nic nie widziałem. Na mnie już czas, pora położyć się do mogiły, bo skoro się dobrze nad sobą i nad moją przeszłością zastanowię, to nie jestem pewny, czy żyłem i czy żyję jeszcze.... Być może, że ja wcale nie żyłem.

Brzezek ciemnawej chmury ukazał się nad wierzchołkami drzew i zwolna przesunął się w stronę leśnej łąki. Gałęzie drzew poruszyły się, jakby skutkiem przeciągu wiatru, i szmer leśny zachuczał jakimś głuchym akordem.

Starzec słuchał, podniósłszy głowę do góry.

— Nadciąga burza — rzekł po krótkim namyśle. — W nocy z pewnością będzie szalał huragan, łamiąc drzewa i wyrrywając je z korzeniami. Pan lasu zacznie swoje figielki i psoty.

— Skąd wiesz to wszystko, starcze?

— Wiem, bo las wyraźnie mówi... Boi się i trwoży. Patrz pan tylko, jak osina, to drżące drzewo, nieustannie porusza się z obawy, jakkolwiek dotąd niema najmniejszego wiatru. Sosny w lesie lekko szemrzą, skoro zaś zerwie się wiatr, wydają płaczliwe westchnienia i jęki. Ale to wszystko nic jeszcze. Posłuchaj pan. Wprawdzie mam bardzo słaby wzrok, ale słyszę doskonale. Dęby szumią, skoro zaś tam, na łące, poczynają jęczeć, zapowiada to niewątpliwą burzę.

Miał słuszość. Grupa owych młodych dębczków, stojących pośród leśnej łąki, zasłoniętych od wichrów przez wysoko podniesione i niby splecione konary, wydawała dziwny jakiś ton, odgłos, zupełnie różniący się od szumu sosen w głębi boru.

— Czy słyszysz pan — powtórzył starzec z dziecinnym prawie uśmiechem. — Wiem dobrze, że jak tylko młode dębczaki tak szumią, niezawodnie *pan lasu* zjawi się tej nocy w borze i pocznie łamać, wyrrywać drzewa. Ale nie zawsze mu się to wiedzie, szczególnie z dębami, to drzewa silne, na nich to właśnie słabnie jego potęga.

— O jakim to panu leśnym — mówisz starcze, wszak wspomniałeś przed chwilą, że niewątpliwie zbliża się burza.

Starzec poruszył głową, uśmiechając się chytrze.

— Któż może wiedzieć o tem, jeżeli nie ja. Dzisiejsze młodziki wcale nie wierzą w to, co opowiadają starsi. Ale ja widziałem go tak, jak pana teraz widzę,

nawet lepiej, wyraźniej, bo wówczas miałem jeszcze dobry wzrok, silny, młodzieńczy, nie taki jak teraz.

— Jakże się to stało? Opowiedz, jeżeli łaska.

— Była taka sama, jak obecnie pora dnia. Z początku zaczęły jodły i sosny lekko szumieć, dźwięczyć, jęczeć, i po chwili nastała zupełna cisza. Znowu potem zaszumiały jeszcze silniej, jeszcze wyraźniej wzdychały i jęczały. A dlaczego? Bo w nocy miał je *pan lasu* wyrwać z korzeniami i połamać. Wtedy to i dęby rozpoczęły szumy, poruszały gałęziami coraz częściej, coraz prędzej, w miarę, jak się przybliżał wieczór; nocą zaś i one równie wzdychały, jęczały, bo właśnie pojawił się był we własnej osobie ów *pan*. Biegł szybko przez las, śmiał się, płakał i kręcił w wirze wiatru, tańczył i chwycił ze śmiechem szyderczym za korony i wierzchołki dębów, aby je wyrwać z korzeniami. Jednego razu spojrzałem przypadkiem w takiej porze przez okienko, jemu to niepodobowało się. Przebiegł tuż około chaty i trzask... osypały mnie igły sosny. Całą twarz miałem pokaleczoną, niech go nie znam! Nie jestem teraz taki głupi i zawsze odchodzę od okna, niech sobie, kiedy chce, szaleje i złości się.

— Jakże wygląda?

— Jak gałąź wierzb z bagniska. Włosy jak jemioła, i taka sama broda; jego nos jak konar, twarz wykrzywiona, obrosła plecionką. To straszliwy potwór! Niech Bóg każdego chrześcijanina strzeże od takiego wyglądu.

Drugi raz widziałem go na bagnie, blisko, bardzo blisko. Jeżeli pan chcesz go także zobaczyć, to przyjedź tu w czasie zimy. Stań na górze i wejdź na najwyższe drzewo, na sam jego wierzchołek, stamtąd go widać jak najlepiej. Idzie, jak pień biały przez las, krąży i zstępuje z góry w dolinę, to z doliny w górę.

Potem biegnie, biegnie i wnet gdzieś przepada. Gdziekolwiek przebieży pozostawia ślady na śniegu. Jeżeli mnie pan nie wierzysz, łatwo ci będzie przekonać się o tem samemu. Starzec rozgadał się na dobre.

Ożywiony szelest drzew i grożąca burza zdawały się rozgrzewać mu krew. Poruszał głową, śmiał się i spoglądał wesoło to w tę, to ową stronę. Nagle jakiś cień smutku osiadł na jego twarzy. Tracił więc ręką i zaczął mówić tonem tajemniczym:

— Czy pan wiesz, o czem ja panu radbym opowiedzieć? Prawda, że *pan lasu* jest wstrętnem stworzeniem, ale nie jest niesprawiedliwym — nie czyni nikomu krzywdy. Lubi z ludźmi pożartować, ale złego nie robi nikomu.

— Przecież sam mówiłeś przed chwilą, że pokaleczył ci twarz igłami sosnowej gałęzi.

— Prawda, ale bo ja wyglądałem oknem, i to go rozgniewało. Kto wszakże nie wściubia nosa do jego figlów i psot, ten o sobie może być zupełnie spokojnym. Taki to jest *pan lasu*. Zechciej pan przytem wiedzieć, że w lesie są daleko od niego gorsi ludzie. Mówię rzetelną prawdę.

Pochylił siwą głowę na piersi i myślał, rozważał, nie mówiąc do mnie ani słowa. Skoro jednak potem spojrzał na mnie, jakieś ogniki jaśniały mu w źrenicach, niby promyki powracającej pamięci.

— Chciałbym panu opowiedzieć, co raz zdarzyło się w lesie... Tu, na tem samym miejscu. Przypominam to sobie, jakby we śnie. Gdy w lesie poczyna szumieć i moja pamięć się rozjaśnia, a wydarzenie to staje przed moim wzrokiem, jakby stało się dzisiaj. Czy chcesz mnie posłuchać?

— Owszem z największą przyjemnością.

— Więc słuchaj pan.

* * *

Ojciec i matka odumarli mię jeszcze w dzieciństwie, pozostawiając na świecie samego, zupełnie opuszczonego, bezdomnego sierotę. Wszyscy, a nawet właściciel wsi naradzali się, co począć ze mną, czy mnie gdzie pomieścić, czy też wysłać ze wsi. Wówczas nadszedł z lasu leśniczy Roman i rzekł do starszyny wiejskiej:

— Oddajcie mnie tego chłopca, ja go wychowam. Nie będzie mi tak przykro samemu w czterech ścianach chaty, a jedzenia i niczego nie zbraknie mu nigdy.

Starszyna po długim namyśle odpowiedział:

— Weź go.

Od tego czasu ciągle jestem tu, w lesie. Tu mnie też Roman przygarnął do siebie, przytulił i jak własnego chował syna. Był to straszliwy człowiek, Boże uchowaj każdego od takiego, jak on. Olbrzymiego wzrostu, z czarnym włosom i takimi samymi oczami, z których tryskały ponure błyski, jakby oznaki wrogiego względem innych ludzi usposobienia, bo też, co prawda, mógł całkiem zdziczeć, spędzając swój żywot w lesie. Dziki zwierz stał się dla niego towarzyszem, przyjacielem i bratem. Każdego znał i wcale się nie obawiał, ludziom zaś zchodził z drogi i starannie unikał ludzkiego widoku.

Takim był, przysięgam panu. Skoro spojrzał na mnie, czułem jak krew ścinała mi się lodem. Jednakże był to dobry człowiek, dawał mi obficie jeść — kaszę tatarską ze słoniną, czasem pieczoną kaczkę, skoro ją w lesie upolował. Mnie, powtarzam, zastępował ojca.

II.

Tak mieszkaliśmy i żyli obydwaj, Roman i ja. Gdy szedł do boru, zamykał mnie, aby jaki dziki

zwierz nie napadł. Później nieco dano mu Oksanę za żonę.

Dał mu ją posiadacz wsi. Ej! ej! był to podarek dotkliwy, prawdziwie pański; leśniczy odczuł łaskę pańską na swojej skórze. Dawnymi czasy panowie nie uznawali w biedakach — ludzi!

Razu jednego przywołano Romana do dworu. Pan rzekł:

— Słuchaj Romanie, ożeń się!

Na co Roman dał odpowiedź:

— Cóż mi do licha po kobiecie w lesie. Co ja robiłbym tam z żoną. Nie potrzebuję wcale pomocnika, bo go już posiadam, a wreszcie nie mam zamiaru zmienić kawalerskiego mego stanu.

Rzeczywiście Roman nie nawykł zgoła do towarzysztwa kobiet i na tem też polegała głównie jego odmowa.

Ba! ale pan życzył sobie tego koniecznie i był to człowiek chytry, a podstępny.

Kiedy sobie teraz przypominę tego pana, to mnie się zdaje, że nie łatwoby było odnaleźć takiego drugiego — bo typy takich panów, już dzięki Bogu, wymarły z kretelem. Pan także, jak to mówią, pochodzisz ze szlachetnego rodu, ze szlacheckiego gniazda, ale w panu niema ani buty, ani tej dumy zacieklej, ani tego żelaznego charakteru dawnych panów.

Tamten był panem z panów, starej daty szlachcic, buńczuczny, surowy, nieugięty, dawny karmazyn. Otóż chciałbym pana teraz zapytać, jakim to dzieje się przypadkiem, że na świecie tysiące ludzi boi się jednego, przed jednym drży! Zważ pan, że orzeł, kogut lęgnął się z jajka, a przecież pierwszy, jak król potężny na olbrzymich skrzydłach, śmiga po niebiosach, a drugi, jak nędzny robak chodzi po ziemi — tak samo szlachcic jest tym orłem, a chłop, biedak

tym nędznym kogutem. Orzeł jest szlachetnym ptakiem, a kogut zupełnie pospolitem stworzeniem.

Otóż przypominam sobie doskonale z czasów mojej młodości, jak raz trzydziestu chłopów ścinało drzewo w lesie, gdy nagle pan sam jeden, podkrecając bujnego wasa, najechał na koniu. Koń szedł prostą drogą; a pan tylko rozglądał się to na prawo, to na lewo. Zaledwie chłopci ujrzeli pana, ogarnęła ich śmiertelna trwoga; jedni poczęli uciekać, drudzy usuwać konie i wozy z drogi, inni spychać w śnieg z sani ułożone kłoc drewna i zdejmować pokornie czapki z głowy, a nawet bić pokłony, jakby przed obrazem cerkiewnym. Kosztowało ich to wiele pracy, bo pan spokojnie pojechał dalej, a oni musieli dźwigać kłoc i na nowo je wtaczać na sanie. Dość było zmarszczyć się panu, a chłopci już drżeli jak liście osiny — skoro zaś uśmiechnął się i oni śmiali się na całe gardło, z całego serca. Ze panu zatem nigdy nikt nie ośmielił się sprzeciwić, nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Roman, to co innego, ten urodził się i wychował w lesie, nie znał zgoła żadnych towarzyskich obrządków, ani też wyszukanego obchodzenia się z ludźmi, był po prostu, jak dzik. Odmowa Romana doprowadziła pana dziedzica do gniewu.

— Ja chcę i żądam, abys się ożenił — zawołał pan rozniewany, reszta do mnie należy. Oksana będzie twoją żoną.

— Nie ożenie się z żadną — odparł Roman, a tembardziej z Oksaną. Niech się dyabli żenia, nie ja.

Pan tedy kazał przynieść knut, rozciągnąć go na podłodze i zapytał:

— Ożenisz się?

— Nie.

— *Walaj*, krzyczy pan, co znaczy: bij!

Posypały się razy. Roman wprawdzie był silnie zbudowany i zawiedły, jak dąb, ale i dla niego było tego za wiele.

— Niech was dyabli biorą, krzyknął, puście mnie już. Wolę ją wziąć za żonę, jak cierpieć ból z jej powodu. Dawajcie ją, gotów jestem zabrać zaraz tę babę.

We dworze, w majątku pana dziedzica bawił rezydent, nazwiskiem Opanas. Był to ubogi człowiek, przyjęty jako gość stały przez pana. Właśnie wrócił z pola, gdy Romana ćwiczano i przymuszano do ożenienia się.

Skoro się o tem dowiedział, przybiegł do pana, a rzuciwszy się mu do nóg, zawołał:

— Dlaczego jasny panie daremnie dręczysz niewinnego człowieka i gwałtem zmuszasz do ożenienia, gdy ja sam uczynię to chętnie z całej duszy. Daj mi, jasny panie, Oksanę za żonę.

On sam tedy oświadczył się z chęcią poślubienia Oksany. Taki to był człowiek zacny... wierz mi pan.

Wtedy Romanowi ulżyło się nieco na sercu, weselej zrobiło się w duszy.

Powstał i rzekł:

— To dobrze Opanasie. Dlaczego jednak nie przyszedłeś wcześniej. Albo też i sam pan mógł zapytać się, czy kto nie pragnie wziąć ją za żonę. Tymczasem bez zapytania, *trzask, prask*, chwytając człowieka, okładać go batami, odbierać mu zdrowie i gwałtem przymuszać do ożenienia. Czy to po chrześcijańsku?

Byłby jeszcze tak dalej mówił i *rzynał* prawdę, ale z dziedzicem nie można było żartować. Tak jest, niebezpieczne były z nim żarty, bo jak pan co postanowił, tego żadne moce ludzkie i piekielne zmienić

nie były w stanie; — co chciał, to być musiało. Prócz tego, był człowiekiem skrytym, nurkiem zaciekłym, a co do Romana, już sobie taki plan ułożył. Kazał go więc po raz drugi rozciągnąć i na nowo sypać baty.

— Ja ci ośle — wołał — daję szczęście w rękę, a ty je dobrowolnie odrzucasz. Teraz siedzisz sam w lesie jak borsuk i ludzi nie widzisz, unikasz z nimi spotkania. Bijcie tego upartego kozła, tę baranią głowę dopóty, aż sam zawoła: dosyć! Ty zaś, Opanasie, wynoś się do dyabła. Nie wpraszaś się nigdy tam, gdzie cię nie proszą i idź swoją drogą, jeżeli nie chcesz doznać tego samego, co tak smakuje Romanowi.

Roman mimo bólu, wpadł w pasyę.

Było się czego gniewać i złościć, bo służba łupiała mu skórę nielada; byli to ludzie przywykli do basarunku, do młócenia ludzkiej skóry, wprawni, jak rzadko, w swoim fachu.

Roman leżał spokojnie, nie myśląc wcale rzec »dosyć!«

Nareszcie splunął.

— Niedoczekanie wasze — wołał — żebym się was prosił. To hańba — porządnemu, uczciwemu człowiekowi sypać baty z powodu jakiejś tam kobiety, bodaj ją paraliż naruszył. Bodaj wam ręce pousychały, wy psy, nie ludzie. Dosyć do milion dyabłów, wrzeszczał. Ożenię się, bodaj przepadła.

Pan uśmiechnął się.

— Tak, to co innego. Tak, to lubię — rzekł — i jeżeli na swoim weselisku nie będziesz mógł siedzieć, zawsze jeszcze nie przeszkodzi ci to do tańca.

Wesoły sobie był pan dziedzic, doprawdy bardzo wesoły i jowialny. Tylko później źle z nim było... Boże uchowaj każdego chrześcijanina od takiego losu. Doprawdy, nie życzę tego nikomu, choćby największemu wrogowi, choćby żydowi.

Ot i Roman ożenił się.

Sprowadził do chaty swoją młodą, a narzuconą mu przemocą małżonkę. W początku wymyślał jej i ciągle czynił wyrzuty, jakby ona również nie była ofiarą gwałtu. Wyrzuty te tyczyły się smutnej operacji knutowej. Za co mnie bili? za co mnie bili? krzyczał nieraz, nieposiadając się z gniewu.

— Nie jesteś tego warta — dodawał — aby dla twoich pięknych oczów sieczono mnie jak zbrodnia-rza. Nie dość tego, kiedy wracał z lasu, zawsze ją wypędzał z chaty na podwórze.

— Precz! Nie potrzebuję w izbie żadnej kobiety. Żeby mi tu nawet ślad po tobie nie został. Nie cierpię, żeby mi w izbie spała kobieta.

Z czasem to wszystko ustało, bo się powoli przyzwyczaił. Nie miał, co prawda, słuszności, bo Oksana cicha, gospodarna kobieta, utrzymywała izbę w nadzwyczajnej czystości i porządku, a statki i naczynia aż się świeciły. Roman przekonywał się z każdym dniem, że Oksana dobra kobieta, i nawykł do jej towarzystwa. Nietylko nawykł, ale nawet stała się mu miłą. Każdy wie przecie, że żona gospodarna a po-tulna, to błogosławieństwo domu i rodziny. Tak było z Romanem, z tym dzikim, co jak borsuk, wedle wyrażenia samego dziedzica, siadywał w lesie, dotrzymując towarzystwa wilkom i niedźwiedzom.

Później sam oświadczył, że poczuwa się do wdzięczności dla swego pana, bo on nauczył go cenić ludzi i życie mu gładsze i weselsze uczynił. Był głupi, wzdrygając się i odmawiając.

— Trzeba nie mieć rozumu i dać się katować za to, że się nie chciało przyjąć co dobre, co miłe, co człowiekowi jakoś powoli wpada do serca i cie-szy duszę.

W podobny sposób minał miesiąc i drugi, minęło kilka miesięcy, choć naprawdę, wiele upłynęło tych miesięcy, dziś powiedzieć nie umiem.

Naraz Oksana jakoś zaczęła mizernieć, skarżyć się, aż na dobre zachorowała, położyła się do łóżka i jęczała okropnie. Wieczorem jakoś zachorowała, a kiedy obudziłem się nazajutrz, to usłyszałem, jak coś kwiliło ciekim głosem.

— Aha — pomyślałem — więc to jakieś małeństwo przyszło na świat. I tak rzeczywiście było.

Nie długo jednak, żyło bo tylko od ranka do wieczora. Oksana płakała, a Roman ją pocieszał, mówiąc:

— Dziecko umarło, nie jest więc już u nas, a ponieważ nie jest u nas, to i nie potrzeba popa. Pochowamy go sami w lesie.

Tak mówił Roman, i nie tylko tak mówił, ale i tak zrobił, jak mówił; wykopał grób w lesie i tam małeństwo pochował. Stoi właśnie w tem miejscu zrab drzewa, w które niegdyś piorun uderzył — tu spoczywa dzieciątko...

— A teraz posłuchaj pan, co powiem...

Aż do dzisiaj, gdy słońce zajdzie, i gdy nad lasem zaświecą gwiazdy, lata mała ptaszyna około tego drzewa i śpiewa tak smutnie, tak smutnie, tak się skarży rzewnie, tak błaga pokornie, że aż za serce chwyta. To duszyczka tego dzieciątka zmarłego bez chrztu, dopraszająca się o krzyż na mogile. Powiadają, że kto umie czytać na książce, łatwo odnalazłby sposób na to, aby maluchna ptaszyna więcej nie krążyła około drzewa i nie kwiliła tak boleśnie. My żyjąc w lesie, wcale tego sposobu nie znamy. Lata, lata, a my możemy jej tylko powiedzieć:

— Lataj, lataj biedna duszyczko, my nic nie jesteśmy w stanie uczynić dla ciebie.

Biedactwo zapłakało i odleciało, po jakimś czasie przecież powróciło i znowu lata, a tak kwili, tak płacze. Ach, jak mnie serce bolało, na wspomnienie tej nieszczęsnej duszy.

Jak Oksana była w domu, to codziennie chodziła na grób. Siadłszy tam, płakała i często tak głośno zawodziła, że ten jej płacz rozlegał się po całym lesie.

Roman tego znieść nie mógł, łzy przecież przynosiły jakąś ulgę Oksanie. Roman niekiedy, powróciwszy z lasu, stawał przed Oksaną i mówił:

— Raz przecież zaprzestań tego płaczu, co umarło, już nie odżyje, głupia kobieto. Dziecka niema, co prawda, ale Bóg łaskaw, ześle nam inne, a może nawet i lepsze i piękniejsze. Ono właściwie nie było chyba moim dzieckiem, choć tego stanowczo powiedzieć nie mogę. To, co przyjdzie, będzie niezawodnie moje.

Tych wyrazów niechętnie słuchała Oksana. Zwykle przestawała płakać, a natomiast wymyślała Romanowi, choć go to wcale nie gniewało.

— Cóż ty mi tak wymyślasz? — mówił — całując ją. Wszak nie powiedziałem nic złego, tylko to, że ja nie wiem, czy to moje. Nie mogę tego żadną miarą wiedzieć, nie mieszkałaś u mnie, tylko tam we dworze, pomiędzy rozmaitymi ludźmi. Więc skądże mam wiedzieć. Teraz mieszkasz w lesie, więc dobrze. Powiedziała mi wczoraj jedna stara kobieta, Teodozia:

— Co to się stało Romanie, że tak wcześniej urodziło się wam dziecko. — A ja skąd mogę wiedzieć, czy to było wcześniej, czy późno..., odpowiedziałem. Otóż tedy, przestań wymyślać, bo się rozgniewam, i jeszcze cię obije.

Oksana, mimo tak łagodnego obejścia się, bała się Romana, jak ognia. Czasami obejmowała go za

szyję, ścisnęła, całowała, wtenczas i Roman łagodniał, uspakajał się. Bo trzeba panu wiedzieć, a pan tego z pewnością nie wiesz, choć i ja także żonatym nigdy nie byłem, tylko mnie życie tego nauczyło, że nawet największego gwałtownika i impetyka słodki całus kobiety może zamienić na baranka. O tak, ja dobrze o tem wiem, jakie to są kobiety.

Oksana przytem była piękna, powabna kobieta, jakiej trudno napotkać. Bo i kobiety dzisiejsze nie są takie, jak bywały dawniejsze.

III.

Razu jednego rozległo się w lesie trąbienie: tra ta! tra ta! tra ta! ta! Pobudka płynęła swobodnie po przestrzeni leśnej dalekim, bardzo dalekim echem! Byłem jeszcze małym chłopcem i nie wiedziałem, co to znaczy.

Widzę, że ptaki zrywają się z gałęzi i odlatują ze swoich gniazd, że krzyczą przeraźliwie; tu i ówdzie przemyka się wystraszony zajęć i przeskakuje, jak szalony przez drogę. Pomyślałem sobie tedy, że musi to być coś bardzo pięknego, co takie tony wydaje. Nie był to żaden zwierz, ale właściciel wioski na koniu, który trąbił, jadąc lasem. Poza nim jego czeladź z psami na smyczy, dalej piękny Opanas w niebieskiej kurtce, w czapce ze złotym galonem, — koń pod nim sady lansady, kurtka lśni z daleka, i przy boku na wstędze wisi mu lutnia.

Pan lubił Opanasa, ponieważ grał cudownie na lutni i śpiewał różne śliczne piosenki. A powiadam panu, był on piękny, bardzo piękny ten Opanas. Gdzie się tam równać z nim dziedzicowi, który już dobrze osiwił, łysy, z czerwonym nosem i zaczerwienionymi oczami; wprawdzie spoglądały one we-

soło, ale nie były takie, jak Opanasa. Gdy Opanas czasem na mnie spojrzał, na mnie, małego chłopaka, to śmiało się moje serce, jakby on był dziewczyną. Mówili, że ojciec i przodkowie Opanasa byli wolnymi kozakami, a wszyscy oni są młojcy przystojni i urodziwi. Ja się też sam zastanawiam, że jechać na pięknym koniu, z ostrą lancą i uganiać się po polach albo lasach, to zupełnie co innego, jak ścinać drzewo lub rąbać.

Wybiegłem z izby i zobaczyłem pana, pędzącego na koniu, jak się zatrzymał. Orszak jego także przystanął. Roman właśnie wyszedł z chaty, i podtrzymał mu strzemię. Pan zsiadł z konia, a Roman uklonił się mu aż do ziemi.

— Witaj! zdrów jesteś? — zapytał Romana.

— Dziękuję jaśnie panu; jestem zdrów, bo cóż mi może brakować. Jakże zdrowie jaśnie pana?

— Bogu dzięki, że jesteś zadowolony. Cóż porabia twoja żonka? Gdzie ona jest?

— Gdzież ma być? Jest naturalnie w chacie.

— Możemy zatem wejść do środka — odparł pan. — Wyciągnijcie i rozłóżcie dywan, rzekł pan, odwracając się do służby. Przygotujcie co potrzeba, abyśmy mogli wypić zdrowie państwa młodych.

Weszli do chaty. Naprzód pan, a za nim Opanas i Roman, z czapką w rękę, a wcisnął się też i Bogdan, najstarszy ze służby, wierny sługa dziedzica.

I takich też sług, jak Bogdan, niema już na świecie. Był to stary człowiek, surowy dla czeladzi, posłuszny swemu panu, jak pies. Nie miał nikogo na świecie, oprócz pana. Opowiadano o nim, że kiedy jego ojciec umarł i matka, prosił on starego pana, aby pozwolił się mu ożenić, ale pan stary odmówił, tylko przeznaczył go do usług młodemu, dzisiejszemu dziedzicowi.

— Ten — rzekł stary pan — niech będzie ci ojcem, matką i twoją żoną.

Bogdan tedy go wychował i wypiastrował, nauczył jeździć konno i strzelać. Skoro zaś już młody pan doszedł do pełnoletności i objął zarząd dóbr na siebie, zawsze przy jego boku stał Bogdan, jak pies. Ale powiem panu prawdę...

— Wielu ludzi tego Bogdana przeklinało, wiele też łez przelanych, ugniatało jego sumienie, a wszystko dlatego, że wiernym był towarzyszem swego pana. Jedno słowo dostateczne, aby na rozkaz dziedzica natychmiast zgładził ze świata pierwszego lepszego — nawet własnego ojca.

Poszedłem za nim do izby, bo naturalnie byłem bardzo ciekawy. Gdzie zwrócił się pan, tam i ja też.

Zobaczyłem go, jak stał na środku izby i, gładząc brodę, uśmiechał się. Roman był tu także z czapką w rękę, gdy tymczasem Opanas opierał się o ścianę; pochylony, jak dąb zgięty wichrem, wyglądał ponuro i wcale się nie odzywał.

Zwrócili się tedy wszyscy trzej do Oksany. Tylko stary Bogdan usiadł na ławce, oczekując na dalsze rozkazy pana. Oksana zbliżyła się do pieca, mając wzrok spuszczonego ku ziemi, z rumieńcem, co się rozlewał po jej twarzy, jakby przeczuwała, że ta wizyta pana sprowadzi niechybne nieszczęście.

A muszę to panu powiedzieć, że gdy trzej mężczyźni patrzą razem na kobietę, to z tego nic dobrego nie wynika, — wiem to, bo już takie rzeczy widziałem.

— No, Romanie, cóż? Obdarzyłem cię dobrą kobietą? — zapytał pan — uśmiechając się.

— Kobieta, jak każda — odpowiedział.

Opanas na tę odpowiedź wzruszył ramionami, spojrzał na Oksanę i dodał:

— Kobieta, jak łania, ale nie dla ciebie niedołego.

— Dla czegoż to? — zapytał Roman.

Tak mu odpowiedział, a pan wtedy uderzył ze złością nogą w podłogę.

— Dlatego — rzekł znowu Opanas — że nie umiesz pilnować swej kobiety.

Pan aż się zatrzęsł z wściekłości, Bogdan zaś poruszył głową.

Roman zamyślił się na chwilę, później bardzo surowym, prawie mściwym wzrokiem zmierzył pana i odparł z podniesioną dumnie głową:

— Oprócz dzikiego zwierza w lesie, żaden tu szatan nawet krokiem stąpić nie może na mój próg, tylko niekiedy bywa sam jaśnie pan. Przed kim zatem mam ukrywać i strzedz mojej kobiety? Radzę ci kozaku, nie obrażać mnie, bo to ci może wyjść na złe.

— Milczeć dyabelski synu! — zaryczał jaśnie pan. — Nie przyszedliśmy tutaj, byśmy byli świadkami, jak będziecie się za łby wodzili. Za zdrowie państwa młodych pragniemy wychylić puhar, a potem wieczorem zapolować. No chodźcie!

Odwrócił się i wyszedł z chaty; za nim, jak zwykle Bogdan. Roman i Opanas, zatrzymawszy się na podwórzu, coś ze sobą mówili; zewnątrz, na polu, służba przygotowywała poczęstunek.

— Nie gniewaj się bracie — mówił Opanas, przystępując do Romana — posłuchaj tylko, co ci powie Opanas. Czy widziałeś, jak rzuciwszy się do nóg pana, prosiłem go, aby mi Oksanę dał za żonę. Lecz, niech Bóg będzie z tobą, ty ją poślubiłeś, bo takie widać było przeznaczenie. Ale ja nie chcę i nie mogę dłużej tego ścierpieć, żeby ten podły satrapa, ciebie i ją uważał za głupców i odgrywał z wami niktę-

mną komedję. Nigdy! Nigdy! Prędzej wolałbym, żeby ciebie i ją mogiła pokryła na wieki...

Roman spojrział ze zdumieniem na kozaka i rzekł:

— Powiedz mi kozaku, czy nie przemawia przez ciebie szaleństwo?

Nie wiem, co Opanas na to odpowiedział, bo mu szeptał coś na ucho, ale widziałem, jak poklepał go Roman po ramieniu.

— Jakże nikczemni i podli są ludzie na tym świecie, a ja ślepy, wcale o tem nie wiedziałem, siedząc tu w lesie, jak dzik w kotlinie. O panie! panie! ściągnąłeś na swoją głowę przekleństwo i nieszczęście.

— Idź teraz — dodał Opanas — nie zdradzając się wzrokiem, co masz na sercu, szczególnie niech tego nie spostrzeże Bogdan. Nie jesteś bowiem ani dość chytrym, ani ostrożnym, dlatego szcwanego słuźalca. Słuchaj, rzekł znowu — nie pij zbyt wiele, a gdy cię pan do Moore wyszle, i zechce sam pozostać, odprowadź cały orszak aż do starego dębu, ukaz im dalszą drogę, a sam wróc tu, jak najprędzej.

— Dobrze — rzekł Roman, — pójdę na polowanie i nabiję moją strzelbę nie szrutem na ptaki, lecz kulą, jak na niedźwiedzia.

Wyszli z podwórza.

Już pan siedział na murawie i kazał podawać butelki. Sam nalał puhar i podał go Romanowi. Piękne były butelki pańskie i kielichy, ale jeszcze piękniejszym, wyborniejszym sam trunek. Pełna szklanka radowała serce, dwie otwierały dusze i usta, po trzeciej, kto niezwyčajny trunku, nie mógł już ustać na nogach i musiał paść pod stół, jeżeli go własna żona nie położyła do łóżka.

O chytrym, podstępny był jaśnie pan, pan dziedzic wioski. Pragnął upoić Romana trunkiem

ognistym, ale dla Romana nie było jeszcze takiego napoju, coby go z nóg zwalić potrafił.

Wypił kieliszek jeden i drugi i trzeci, i tylko mu oczy zaiskrzyły się, jak u tygrysa, jak u wilka, a jego czarne wąsy drżały nad ustami. Pan nie posiadał się ze złości.

— Patrzcie, jak ten dyabelski syn pije, nawet oka nie zmruży. Innemu jużby dawno łzy płynęły po twarzy, a on tymczasem stoi i śmieje się.

— Dlaczegoż mam płakać? — odparł hardo Roman; byłoby to bardzo dziecinnie z mojej strony. Do mnie, do mojej chaty, zawitał jasny pan z pozdrowieniem i życzeniem, a ja mam płakać, jak baba? Nie mam dzięki Bogu powodu i przyczyny do łez, niech moi wrogowie zalewają się łzami...

— Więc, jesteś kontent?

— Dlaczegoż miałbym być nie kontent?

— Czy też przypominasz sobie, jak cię batami zmuszano do ożenienia?

— Dlaczegożby nie? Sam to wypowiem teraz, że byłem głupcem, nie umiejącym odróżnić złego od dobrego i nie znającym, co może stać się dla człowieka słodyczą. Gorzki, bolesny jest bat, zato też tem silniej kocham moją kobietę. Panu to zawdzięczam. Pan mię nauczył smakować w rozkoszach małżeńskich.

— Już dobrze! Już dobrze — odpowiedział pan — Zechciej mi też wzajemną uczynić przysługę i poprowadź moich ludzi na Moore, i upoluj kilka ptaków, ale oszczędzaj głuszcę.

— Kiedy życzy sobie pan, abyśmy poszli do Moore?

— Idź zaraz z Bogiem, my w tym czasie będziemy pili z Opanasem, i zaśpiewa on nam co pięknego, z towarzyszeniem lutni.

Roman, spojrzawszy w niebo, odpowiedział:

— Wcale ku temu nieodpowiednia pora. Już dość późno, Moore stąd leży daleko, przytem wicher się zerwał i wstrząsa całym lasem. Jakże w takiej porze można polować na bardzo ostrożne ptaki?

Pan odurzony już winem, rozgniewał się. A kiedy i otoczenie jego potwierdziło słusność uwag Romana — krzyknął: Milczeć! uderzył w stół kielichem tak, aż się rozprysł. Wszyscy milczeli z trwogi, tylko Opanas nie obawiał się wcale i oświadczył gotowość zaśpiewania kilku piosnek. Wreszcie rzekł:

— Niech się pan zastanowi. Gdzież to widziano, żeby w tak późną porę i do tego podczas wichru wysyłać ludzi na polowanie, na ptaki.

O! Opanas był bardzo śmiały! Inni poddani pana trwożyli się, drżeli przed gniewem jego, on zaś był człowiekiem wolnym, bo jako młodego chłopaka przyprowadził tu stary kozak, lutnista. W jego ojczyźnie ludzie gwałtowni i niespokojnego ducha, staremu kozakowi wyłupili oczy, uszy i nos obcieli i zmusili do pójścia na żebraninę. Włókł się tedy po świecie ze swoim młodym przewodnikiem, dzisiejszym Opanasem, aż przywędrował na dwór dawnego, starego pana. Stary pan przyjął go serdecznie, bo pięknie śpiewał pieśni. Młody pan także go polubił, i nieraz uchodziły mu takie wyrazy, za jakie inni brali baty.

To samo było teraz.

Pan tak się rozwściekł, że zdawało się, iż będzie bił kozaka, jednakże, uspokoiwszy się, rzekł po chwili:

— Opanasie, i ty czasami coś niemądrego powiesz, jednak powinieneś wiedzieć, że ani palca, ani nosa między drzwi wtykać nie można.

IV.

Pan tak mówił, kozak też go zrozumiał i odpowiedział mu piosnką.

Zwykłą zaś mową dodał:

— Stokrotne dzięki składam panu, i dodam jeszcze jedną piosenkę.

Uderzył w strunę lutni, spojrzął w niebo, gdzie orzeł krążył i wicher przepędzał chmury w tę, to w ową stronę, jakby tam zaczerpywał natchnienie. Słuchał długo szmeru, jaki wydawały sosny, i po raz drugi uderzył w struny...

— O panie, tyś nigdy nie słyszał jeszcze takiej gry Opanasa. Gra na lutni jest wprawdzie nie łatwą sztuką, ale jakże cudownie brzmi lutnia, poruszana dłonią umiejętnego mistrza. Gdy puści palce po dźwięcznych strunach, wszystko się znajdzie w jego grze: i szum odwiecznych sosen i świst wiatru po wysokich trawach stepu i szept murawy, porastającej na wysokiej mogile kozaka — wszystko, wszystko.

Prawdziwej, mistrzowskiej, cudnej gry, ty panie nigdy nie usłyszysz. Rozmaici grajkowie płaczą się dokoła, pełno ich wszędzie, lecz nie są takimi, jak nasi lutniarze-mistrze. Mówią, że lutniści wymarli.

U mnie w chacie wisi jeszcze na ścianie stara lutnia, na której stary Opanas sam mnie grać nauczył, ale ja nikogo nauczyć nie mogę, i tym sposobem ta wysoka sztuka razem ze mną zejdzie do grobu. I to wkrótce. Skoro zaś zstąpię do ciemnej mogiły, to na szerokim świecie, już się więcej lutnia nie odezwie ..

Mówił tak Opanas natchnionym jakimś głosem, a obecni słuchali z ogromną trwogą, bo w tych słowach Opanasa, brzmiała groźba, czy przestroga.

Po przemowie Opanas śpiewał cicho, melodyjnie; jak szmer strumyka, jak pluskanie fali lub jęk duszy ludzkiej, odzywały się w tych harmonijnych tonach. Nie miał zbyt silnego organu głosu, pamiętne przecież i smutne były jego pieśni, które potęgą nieznanego żaru wpijały się w serce.

Pieśń, jaką teraz kozak śpiewał, była zapewne naumyślnie skomopnowana dla pana, nigdy później już jej nie słyszałem i chociaż często prosiłem Opanasa, aby mi ją powtórzył — nie uczynił tego, mówiąc:

— Ten, dla którego tę pieśń śpiewałem, już nie znajduje się na ziemi.

W tej to prostej, ale nadzwyczaj udatnej i wdzięcznej pieśni, wypowiedział Opanas panu całkowitą prawdę, mianowicie: co mu było sądzone, i pan zapłakał. Łzy płynęły po jego policzkach, a przecież mimo to nie rozumiał treści pieśni.

— Nie mogę powtórzyć wszystkich wyrazów, gdyż tylko niektóre zachowałem w pamięci. Śpiewał on panu o *panie Iwanie!*

O panie, panie Iwanie
Jesteś mądrym, nikt cię nie oszuka;
Ale nie wiesz, że zbyt śmieje,
Buja sokół i zabija kruka.

O panie, panie Iwanie
Nie wiesz, ach nie wiesz co się stanie,
A przecież często dzieje się to w świecie,
Że w swem gnieździe kruka sokoła zgniecie!

Tak mi się żywo te wyrazy przypominają i ludzie ówcześni, i pan, i inni, i pieśni Opanasa, jakby działo się to wczoraj. Widzę oczami mej duszy ot tam stojącego z lutnią kozaka, a tu na dywanie, z głową opartą na dłoni, siedzi pan i płacze, zaś po za nim orszak, zgrupowany, porozumiewa się wzro-

kiem i trąca łokciami, a stary Bogdan zamyślony potrząsa tylko głową.

A tam, w polu szumi las, jak dzisiaj, cicho brzmi lutnia i kozak śpiewa proroczym głosem, jak żona oplakuje pana Iwana:

I płacze żonka płacze
A nad głową pana Iwana
Kruk złowieszczę kracze.

Pan pieśni wcale nie zrozumiał, czy zrozumieć nie chciał, otarł bowiem łzy i rzecze:

— No Romanie, czas na ciebie, siadaj na konia i zbieraj się w drogę. I ty Opanasie jedź z nim razem — dosyć tych twoich, głupich pieśni. Piękna z pozoru była ostatnia piosnka, ale nie prawdziwa, bo się to jeszcze coś podobnego nie zdarzało na świecie.

Na te słowa pana, serce kozaka zmiało i oko posmutniało.

— O panie, panie — mówi znowu, u nas mówią starzy ludzie, że w pieśni, w podaniu spoczywa prawda, jak w okrucieństwie kamienia — perła, jak w gródce żuzla miedzianego — szczere srebro. Tylko podanie i klechda twarda, jako żelazo, jako stal, bo od wieków z ręki do ręki wędrowała — w pieśni zaś ta prawda, ta perła, to szczere srebro — płynne, jako roztopione złoto. Tak mówili i mówią starzy ludzie.

Pan zniechęcony poruszył ręką.

— Być może, że tak u was bywało i bywa, u nas inaczej się dzieje. Idź, idź Opanasie, bo mnie już zaczynasz nudzić.

Wtedy kozak stał czas jakiś niepewny, nie zdecydowany i nagle rzucił się mu do nóg.

— Posłuchaj, panie mój! — rzecze. Siadaj na swojego konia i śpiesz napowrót do domu, do swo-

jej małżonki. Zbliża się coś złego, przeczuwa to serce moje.

Pan tak się tem rozniewał, że kopnięciem nogi, jak psa, odrzucił kozaka.

— Precz odemnie — krzyknął. — Jesteś stara baba, puszczyk hukający złowieszczo w dziupli spruchniałego drzewa. A wy, czego się gapicie, czego stoisz jeden z drugim, jak strach w polu na wróble. Czy już przestałem być panem nad wami. Ja wam pokażę coś, czego jeszcze wasi ojcowie nigdy nie widzieli.

Opanas powstał z ziemi, tak smutny, tak ponury, jak chmura grożąca wichrem i huraganem, i dzikim wzrokiem obrzucił Romana. Ten stał chłodny na boku, obojętny, jakby to wszystko wcale go nie obchodziło.

A kozak zaśpiewał:

Ona płacze, ta nieszczęsna żonka,
Oczy wypatrzyła, czekając małżonka,
Leje gorzkie łzy i żałośnie płacze,
Nad głową pana kruk złowieszczo kracze!

i skończywszy, rozbił lutnię o drzewo, aż się rozprysła, jak szkło.

— Niech szatani uczą ludzi grać na lutni, niech przepadną ci, co pragną śpiewem, pieśnią ostrzegać i udzielać przestrogi — ty panie, już nie potrzebujesz wcale wiernego i zaufanego sługi.

Zanim pan zdumiony zdobyć się mógł na odpowiedź, już Opanas wskoczył na konia i znikł w gęstwinie lasu. Za nim i strzelcy pośpieszyli, dosiadłszy koni, gdy tymczasem Roman, zarzucając fuzję na ramię, odezwał się do Oksany:

— Połóż malca do łóżka. Powinien już oddawna spoczywać, i dla jasnego pana też przygotuj posłanie.

Wkrótce cały orszak znikł na drodze, prowadzącej do Moore, a pan wszedł do chaty — jego koń był przywiązany do drzewa. Już zaczęło się dobrze ściemniać, tylko las szumiał i rześisty deszcz pluśkał po liściach i gałęziach, bębnił po szybie okna — zupełnie tak, jak teraz. Oksana ułożyła mnie w łóżku na siano i przeżegnała na dobranoc krzyżem świętym.

Wtedy słyszałem, jak rzewnie płakała. Nic a nic, ja, głupi chłopak nie rozumiałem i nie domyślałem się, co się wokoło mnie działo. Skuliwszy się, leżałem na łóżku i wsłuchiwałem się w świst wichru i w straszne jakieś trzaski po lesie, aż w końcu usnąłem.

Nagle zbudziły mnie zbliżające się czyjeś kroki. Ktoś najwyraźniej zbliżył się do drzewa, przy którym stał koń pana i odwiązał go — koń zarżał, dał się słyszeć tentent, który coraz się zmniejszał i ucichł zupełnie, to koń pogalopował po drodze do lasu.

Niezałdugo znowu odezwał się ten sam głos, jaki wydaje kłus konia, ktoś podjechał pod chatę, zeskoczył z siodła i zbliżył się do okna.

— Panie! panie! — wołał Bogdan, bo doskonale poznałem go po głosie. Panie, otwórz pan prędko! Kozak ma coś złego na myśli — odwiązał twego konia i popędził go w las.

Zaledwie stary wypowiedział te wyrazy, ktoś go nagle chwycił. Dreszcze mnie przeszły, gdy słyszałem głuche szamotanie się...

Pan nareszcie otworzył drzwi i wyszedł uzbrojony w broń, gdy oto Roman rzucił się na niego i obalił...

Wtedy pan przekonał się, że mu coś złego zagraża, bo rzekł:

— Puść mnie Romanie. — Czy nie pamiętasz tego dobrego, jakiegoś doznał odemnie?

Roman jednak odparł:

— O tak, pamiętam to dobrze, jakie okazałeś i wyświadczyłeś mnie i mojej żonie — i chcę ci się właśnie wywzajemnić.

Pan mówił znowu:

— Dopomóż mi Opanasie, mój wierny sługo. Kochałem cię zawsze, jak mojego własnego syna.

— I tego wiernego sługę, jak psa kopałeś nogami. Kochałeś mnie tak, jak bat psa i teraz kochasz mnie, jak pies kocha bat. Ja także leżałem u twoich nóg, błagając, prosząc...

Wówczas pan zwrócił się z prośbą i do Oksany:

— Oksano, moja uczciwa Oksano, wstaw się ty za mną, twoje serce czułe i szlachetne.

Oksana, załamując ręce z bólu i żalu, odpowiedziała na pół z płaczem:

— I ja leżałam u twoich nóg, panie, i błagałam, rwąc włosy i załamując ręce: pozostaw mi moją niewinność i wierność dla męża, nie hańb mnie; o panie, panie, miej litość nadę mną. A ty nie wysłuchałeś mej prośby, w twojej piersi nie było serca, a w duszy sumienia — teraz sam wyciągasz do mnie błagalne ręce — o jakże jestem biedna, nieszczęśliwa.

— Puszczaj, krzyknął nareszcie pan, bo powiadam wam, że wszyscy pomarniejecie w kopalniach Sybiru.

— Nie troszcz się o nas — odezwał się Opanas — nam się nic nie stanie. Co do mnie zaś, jestem sam na świecie i nikt mnie żałować nie będzie. Siadę na konia, dubeltówkę przewieszę przez ramię i dalej w las. W lesie znajdą się i towarzysze i przyjaciele. W lesie nasz dom i przytułek. Tylko nocą będziemy ukazywać się na drogach, a skoro dojedziemy do wsi, zajmujemy się naprzód pańską chudobą, pańskimi stodołami i dworem. No, Romanie, pomóż mi wyprowadzić stąd jasnego pana.

On się bronił i krzyczał, ale Roman mruczał coś złowieszczo, a kozak uśmiechał zdradziecko. Tak wyszli we trzech z izby.

W lesie zaś szalał wicher, sosny piszczały, dziwny trzask napełniał powietrze, straszliwe echo rozlegało się dokoła, bo huczały grzmoty i uderzał piorun po piorunie.

Wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem do Oksany, która też wzięła mnie na kolana, biedaczka cicho płakała. Tak siedzieliśmy przytuleni jedno do drugiego i wsłuchując się w szalejącą burzę.

Nagle w lesie rozległ się, jakby cichy jęk, był to głos czyjś, a taki pokorny, żałosny, jakby u swych katów wypraszał sobie życie — mnie ten jęk przebódl serce, jakby ostrym nożem i zawsze to się powtarza, jak tylko sobie wspomnę o tej okropnej nocy. Minęło już tyle lat, a ból pozostał na wieki i dotąd, jak kolec bodzie moje serce.

— Oksano, mój gołąbeczku, pytam, a co to tak boleśnie jęczy w lesie?

Pochwyciła mnie gorączkowo za ramię, i szepnęła, tuląc do piersi.

— Śpij, śpij dziecko. To nic. To tak jęczą drzewa w lesie.

I rzeczywiście szumiało i stękało, i jęczało, jakby nadchodził ostatni dzień Bożego sądu na ziemi.

Znowu siedzimy cicho czas niejaki, nagle usłyszałem, jakby echo strzału, gdzieś niedaleko, bo odbiło się ono niby długotrwały huk grzmotu.

— Oksano — pytam, a kto to teraz strzela z fuzji w lesie?

Ona jednak zaczęła mnie hustać na kolanach i tulić coraz silniej do serca, które biło tak silnie, że je słyszałem, jak własne.

— Cicho! cicho! — mówiła. To grzmot Boga w niebie.

I płakać poczęła, i płakała, jak nigdy jeszcze nie płakała — po chwili uspokoiwszy się nieco, znowu przytuliła, szepcząc.

— To las tak szumi i jęczy, moje dziecko, tylko las tak szumi, tak szumi...

Uspokoilem się i usnąłem.

Nazajutrz, skoro się przebudziłem, zastałem tylko samą w chacie Oksanę, biedaczka spała, ale w ubraniu. Teraz dopiero wszystkie wypadki dnia wczorajszego wystąpiły, jak obraz rzeczywisty.

Nie był to zatem sen, nie senne widzenie, lecz gorzka, bolesna prawda. Wybiegłem z chaty i udałem się do lasu, tu wesoło ćwierkały ptaszęta, rosa lśniała, perliła się na liściach, odbijając różnobarwnie, w rozmaitych kolorach.

Przebiegłem drogę, wcisnąłem się wesoło w wilgotne gąszcze, przebóg! Leżał tu pan i jego sługa, pan spokojny i blady, sługa ponury, jak był za życia. Bo nie byli to śpiący, ale trupy. Na piersiach jednego i drugiego widziałem szerokie plamy krwiste.

— Cóż się jednak stało z resztą osób? — zapytałem, gdy starzec umilkł i smutnie opuścił głowę na piersi.

— Tak się stało — rzekł — jak Opanas przepowiedział. On sam długo, bardzo długo jeszcze przebywał w lesie i tylko nocą ukazywał się na publicznej drodze lub w pańskich wielkich dworach. Taki rodzaj życia oddawna widać był mu przeznaczony. Często też bywał i u nas, ale zwykle wtenczas, kiedy Roman nie znajdował się w chacie. Przychodził, siadywał, grał i śpiewał pieśni. Kiedy zaś przybywał z towarzyszami, przyjmowali go i Roman i Oksana.

Prawdę powiedziawszy, miał on też grzechy na sumieniu.

Wkrótce z lasu powróci Sachar i Maksym, to przypatrz się im dobrze — nigdy jeszcze nie opowiadałem im o tem, co panu teraz mówię; kto zaś znał dobrze Romana i Oksanę, ten zaraz powie, do którego z nich są oni podobni, choć to nie synowie, ale już są wnuki tych ludzi.

Takie to rzeczy działy się w lesie za moich czasów.

W lesie znowu szumi, burza niezawodna.

* * *

Ostatnie wyrazy wypowiedział starzec głosem zmęczonym. Jego dawniejsze ożywienie minęło, a oparowało go wycieńczenie z sił — język odmówił mu posłuszeństwa, głowa trzęsła się i oczy zachodziły łzami.

Już wieczór zapadł, w lesie ściemniało się, na drodze roiło się, jakby fale na morzu.

Wesołe oczekiwanie psów zapowiadało powrót panów z polowania.

Obaj leśniczowie wnet ukazali się na progu chaty, a tuż za nimi i zadyszana Motria, która zabłąkana, a teraz odszukaną krowę przypędziła. Nasze towarzystwo było dość liczne.

Po kilku minutach siedzieliśmy wszyscy w chacie; w piecu gorzał jasny ogień i Motria krzątała się, przyrządzając kolację.

Chociaż już poprzednio kilkakrotnie widywałem i Sachara i Maksyma, nigdy przecie nie przypatrywałem się im z większą ciekawością. Oblicze Sachara miało wyraz jakiś smutny; niskie czoło, a tuż nad oczami zarysowywały się grube, obłoczyste brwi, oczy

patrzyły ponuro, chociaż w całej postawie młodzieńca przebiegało się życie i siła, pewność i pewna łagodność, jakto bywa zwykle u bardzo krzepkich ludzi.

Maksym miał łagodne i śmiejące się spojrzenie, oczy szarej barwy, często podrzucał głową, rozgarniając bujne włosy, a jego wesoły śmiech udzielał się każdemu.

— Cóż tam opowiadał panu nasz stary, pewnie legendę o naszym dziadku — zapytał Maksym.

— On już zupełnie dzieciinniały, dodała Motria, nalewając na talerz zupę.

Starzec nie domyślał się wcale, co o nim mówiono; zupełnie był osłabiony, nikiedy uśmiechał się, poruszał głową, tylko wówczas, kiedy wiatr głośniej zawył, zdawał się nasłuchiwać i wyraźny przestrach malował się na jego twarzy.

Wkrótce w leśnej chatce ucichło. Słabo paliła się lampa, i świerszcze świerkały w ścianie...

W lesie zdawało się tysiące potężnych głosów rozmawiać ze sobą — niektóre szeptały głucho, inne ryczały z całą wściekłością, huczały, świstały, piszczwały lub wyły, jakaś straszliwa siła poruszała olbrzymie drzew konary, w gęstwinach ten ruch zdawał się być walką, bojem zaciętym, szamotaniem się, zapasami śmiertelnymi. Od czasu do czasu tajemnicze, złowieszcze szepty i szmery, stawały się to cichsze, to potężniejsze — drzwi chaty trzęsły się, drżały, jakby je ktoś zewnątrz starał się wysadzić z zawias, a w kominie grała piekielna muzyka, przejmująca dreszczem i jakąś przesadną trwogą. To znowu raptem wszystko cichło, zamierało na chwilę, po tej złowrogiej a takiej strasznej niemocy natury, zrywał się wicher, huragan szalał coraz silniej, coraz potężniej...

Nieco usnąłem, ale sen mój, sądzę, nie trwał zbyt długo. Wicher, jak pierwej, szalał w lesie, lampa świe-

ciła blado, co chwila pełgając, gdy wiatr wstrząsał chatą. Starzec na swem łożu czegoś jakby szukał obok siebie, macając ręką tu i ówdzie kołdrę. Na jego twarzy odbijało się przerażenie, na ustach błakał się uśmiech dzieciinniały.

— Oksano, mój gołąbku — szeptał cicho, lekliwie, kto to jęczy tak w lesie?

Potem znowu cicho leżał i znowu poruszył się, poprawiając kołdrę, czy też szukając czegoś koło siebie.

— He! he! — mówił. Nikt nie jęczy. Wicher świszczy w lesie... Nic więcej... Las szumi... Las szumi...

Jeszcze upłynęło kilka godzin. Nareszcie w matuchnem okienku chaty zajaśniał, ukazał się jakby skrawek, jakby smuga błękitna przebiegającej po niebie błyskawicy i oświetliła jaskrawem światłem drzewa i całą głębię lasu, w której natychmiast ono zagasło. Po pierwszej błyskawicy zajaśniała druga i trzecia i oto piorun runął, wstrząsając posadami chaty, a w lesie stokrotnem echem powtórzył się grom za gromem.

Starzec na nowo poruszył się na swem łożu.

— Oksano, mój gołąbku — szepnął, kto to strzela tak w lesie?

— Śpij, śpij stary — odezwał się spokojny i łagodny głos Motryi. Zawsze jedno i to samo. Podczas burzy zawsze woła i powtarza imię Oksany. Czy już zapomniał, że dawno umarła.

Ziewnęła, zmówiła pacierz i usnęła.

Zapanowała głucha, grobowa cisza, tylko las szumiał i stary szeptał, budząc się co chwila:

Las szumi! Las szumi!

v.

W noc Wielkiejnocy.

Było to w Niedzielę, w pierwszy dzień Wielkiej-nocy w roku 188...

Już wieczór rozciągnął ciemną oponę nad milczącą, uśpioną ziemią. Przez dzień cały świeciło i ogrzewało miasto wiosenne słońce, choć rankami i wieczorami bywały mrozy i przymrozki, w promieniach słońca cała natura zdawała się lekko, swobodnie oddychać.

Małe miasteczko gubernialne, ukryte w nieprzeniknionej mgle, spoczywało spokojnie, wyczekując chwili, w której z wieży odezwie się pierwszy odgłos dzwonu. Nie była to jednak cisza zwykłej martwoty nocnej, lecz przeciwnie, przesuwali się ludzie po uliczkach — gdzieniegdzie śpieszyli się i robotnicy, ukończywszy pracę, byle zdążyć na zbliżającą się uroczystość.

Z ulic życie przeniosło się do domów, do bogatych pałaców i do ubogich lepierek — nad całym miastem, nad całą ziemią, unosiła się radosna wieść Zmartwychwstania Pańskiego!

Jeszcze księżyc nie zeszedł na niebo, miasto leżało w cieniu rzuconem od wielkiej góry, na której ciemniała olbrzymia, niesympatyczna budowla. Regularne wymiary murów wznosiły się wysoko i sterczały na nieboskłonie, starożytna brama ukryta w cieniu murów, odbijała się słabo od czterech baszt, które niby straszidła rysowały się czarną, nieprzejemną masą.

Nagle z wieżycy katedry zabrzmiał dzwon, a tony uroczyste spiżu rozbrzmiały w powietrzu — coraz bardziej zlewały się one ze sobą i wytwarzały potężną harmonię. Równie też nieadługo z owej nieprzyjemnej, ponurej budowli zadźwięczał lekki odgłos dzwonka, starając się współzawodniczyć z potężnymi swymi braćmi, i on równie brzmiał tą samą radością i miłością i łaską dla całej ludzkości — niestety brzmienie dzwonka ucichło, tylko echo jeszcze jakiś czas drżało w wzruszonym powietrzu.

Dzwony ucichły.

Już oddawna przebrzmiały odgłosy olbrzymich dzwonów, a jednak atmosferę przepelniał jakiś ruch, jakiś odgłos, szmer czy szept tajemniczy, obudzający w sercach i duszach ludzi uczucie nadziei i błogiego szczęścia.

W domach pogasły światła, natomiast okna świątyni zajaśniały światłem, jasnością niezwykłą. Ziemia po raz 188... przygotowywała się do usłyszenia słów pokoju, miłości i braterstwa...

Ciemna brama starożytnej budowli otworzyła się na ścieżaj. Oddział żołnierzy wymaszerował ze szcęką broni, dla zmiany i zajęcia zwykłego posterunku; z jej środka wyszedł człowiek miarowym krokiem. Cała grupa luzując wartę, wnet też zniknęła w murach, pozostały tylko żołnierz zaczął przechadzać się około murów na swym stanowisku. Był to rekrut, któremu przypadła kolej stania na straży, na wschodniej stronie starożytnej budowli.

W jego ruchach niezgrabnych można było dostrzedz zwykłe kroki niewprawnego do marszu żołnierza, na młodej twarzy rekruta odbijało się wrażenie nowości, widocznie czuł on, że pierwszy raz dopiero w życiu zajął niebezpieczne i pełne odpowiedzialności stanowisko. Skoro przybyli jego towarzy-

sze, mający go złuzować, zrobił dwa kroki i pół obrotu, zbliżając się do tego, którego miał zastąpić. Wymieniono ze sobą polecenia i rozkazy, jakie przepisuje w takich razach regulamin wojskowy.

— Chodzić miarowym krokiem, nie odstępować z pozycji i nie spać, ani drzemać, — brzmiała urywana komenda. Rekrut słuchał, a z jego błękitnych oczów wyzierała cicha tęsknota i smutek.

— Rozumiesz? — pyta podoficer.

— Wedle rozkazu — odpowiedział rekrut.

— A więc pamiętaj — wypowiedział głosem surowym. Potem dodał życzliwym tonem:

— Czy nie boisz się strachów?

— Nie — odpowiedział rekrut, tylko mi tak jakoś ciężko na sercu.

Na to niewinne, dziecinne oświadczenie, reszta żołnierzy wybuchnęła śmiechem.

— Rozpieszczony synek matuli — rzekł podoficer. — Na ramię broń! marsz!

Zmieniający się posterunek pomaszerował i znikł w załomie murów, a rekrut założywszy karabin na ramię, rozpoczął swoją godzinną wędrówkę tam i napowrót.

* * *

Wewnątrz gmachu więziennego ostatnie uderzenia dzwonów zbudziły niezwykajny ruch i życie. Jak gdyby rzeczywiście z odgłosem dzwonów na całej ziemi zapanowała swoboda, otworzyły się od razu wszystkie cele, a ich mieszkańcy, w szarych samodziłach, z wyszytym na plecach czworokątnym czarnym znakiem, w kształcie kwadrata, czy też asa w kartach, wystąpili szeregiem w długim kurytarzu, gotując się do wymarszu do kościoła, na odbywające się nabożeństwo. Zeszli się oni z różnych stron, z lewej

i z prawej, z góry i z dołu; towarzyszyły im straszliwe odgłosy, brzęk złowieszczy łańcuchów i kajdan.

Przy wejściu do kościoła cały ten tłum bladych ludzi umieścił się w zwykłym, kratami oddzielnym przedziale kościoła i umilkł — w kościele także w oknach były kraty i żelazne okiennice.

Wieżienie puste. Tylko na krańcowej baszcie, gdzie znajdują się pojedyncze, odosobnione cele aresztantów, słychać tych nieszczęśliwych; stają oni chwilami przy drzwiach, łowią uchem oddalone dźwięki muzyki i pieśni, śpiewanych przez pobożnych w świątyni pańskiej.

Tam też jest jeszcze jedna cela, w której na łożu spoczywa chory więzień.

Nadzorca, otrzymawszy wiadomość o zachorowaniu aresztanta, przystąpił do niego, gdy towarzysze jego wyszli z innymi więźniami do kościoła, i nachylając się nad chorym, spojrzał mu bystro w oczy; więzień miał wzrok jaśniejący, rozplamiony gorączką i patrzył jakby przed siebie, gdzieś w odległą, oczami duszy widzialną przestrzeń.

— Iwanow! He! Iwanow — wołał dozorca, ale ten nie poruszył się wcale, tylko wydawał jakieś niezrozumiałe, mrukliwe westchnienia. Jego głos był chrapliwy, spalone gorączką usta, poruszały się z trudnością.

— Jutro, przeprowadzić go do lazaretu — rzekł nadzorca, do jednego ze stróżów, stojących przy drzwiach celi.

Po odejściu nadzorcy, stróż zaciekawiony, także tam wszedł i zaczął uważnie przypatrywać się leżącemu aresztantowi, wnet jednak poruszył głową, jakby wątpił o jego wyzdrowieniu.

— Ej włóczęgo, podobno już dosyć nawałęsałeś się po świecie.

Przekonany, że nie potrzebuje go już wcale dozorować, poszedł także za innymi do kościoła, aby tam złożyć pokłony Bogu i ucałować świętą ziemię, jak to zwyczajem jest u Rosyan.

Ciszę w celi od czasu do czasu przerywało albo westchnienie chorego, albo niezrozumiałe wyrazy; więzień widocznie fantazował i majaczył.

Był to mężczyzna jeszcze młody, w sile wieku, tego zbudowany.

Fantazował, rozpamiętując upłynioną przeszłość, a twarz blada, rozogniona, odbijała niby zwierciadło duszy, tysiące bolesnych wrażeń, czy też smutnych przeżyć życiowych nieznanego włóczęgi.

Los okrutnie obszedł się z nim, nakładając na jego barki ciężar życia, przygniatający go niby kamień młyński. Przebył on tysiące wiorst w swej ziemskiej pielgrzymce, przewędrował setki gór i lasów, nieustannie cierpiąc głód i pragnienie, deszcz, wiatr i chłód, a wszystko to zniósł, ulegając niepokonanej tęsknocie ujrzenia nareszcie po latach oddalenia i odosobnienia, swej rodzinnej wioski, swego ojczystego kraju. Dla niego byłoby to szczęściem niewymownem, niewypowiedzianem, gdyby Bóg pozwolił mu przebyć ze swojemi, z tymi, których kochał, choćby tylko miesiąc, parę tygodni, tydzień, a nawet choćby tylko kilka dni, choćby jeden dzień, choćby parę godzin. Potem niech się stanie co chce; nie chce wiedzieć, jaki go los późniejszy czeka, czy lepszy, czy gorszy, czy okrutny, jak teraz, czy go zamkną w cztery ściany kazańmaty, czy wysłżą na Sybir, czy zepchną w podziemne lochy, do zabójczych kopalni. Niestety zaledwie zdołał wymknąć się, zaledwie przebył sto wiorst, został pochwycony i wrzucony do tego tu więzienia.

Nagle zmieniły się rysy twarzy chorego, oczy jego rozwarły się szeroko, pierś odetchnęła swobo-

niej, wolniej, wesołe myśli i obrazy poczęły mu rysować rozgorączkowane zmysły. Zdawało się mu oto, że znowu znajduje się poza ponurymi murami fortecy..., że las szumi.

Pojmował on doskonale ten szum, tę rozmowę drzew i liści; ten szum szeptał mu dawniejszą swobodę, nucił pieśń wolności.

Przypominał sobie wszystko — widział w marzeniu olbrzymie dęby, poruszające z lekka potężne rozłożyste konary — sosny strojne w swe zielone, jak nadzieja, sukienki; w igły, spadające od chwili do chwili niby deszcz łusk czy też drobnych, nasienych łatek; słyszał jak jodły, strzelające swymi szczytami aż w obłoki, mruczały wesoło, jak świerki wydawały ponure, tęskne jęczenia; jak osina, wstrząsana dreszczem, drżała.

W powietrzu, pod sklepieniami gąszczów, pod namiotem rozpostartym z koron olbrzymów leśnych, swobodnie świerkały ptaszyny; strumyk, wypływający z głuszy leśnej, toczył powoli swe nurty i śpiewał wdzięczną piosenkę, kołysząc kwiaty, rosnące nad jego brzegami; a tam po tych szerokich łąkach, po nad strumieniem szemrzącym, w głuszy tej leśnej przez krzaki i gąszcza przedzierał się ostrożnie wółczęga, śpieszący do ojczystej wioski, spragniony pieśni ptasząt, szumu lip, rosnących przed jego chatą, łowiący uchem odgłosy wichru, jakby one miały mu przynieść dźwięk ojczystej mowy.

Jakby powiew ciepły wiosennego powietrza ochłodził czoło chorego i zbudził na nowo w nim życie, bo poruszył się i dzwignął z twardego legowiska. Rozejrzał się uważnie, bacznie dokoła — naraz spojrzenie jego zajaśniało radością i niespodziewanem szczęściem. — On, ten *brodiaga*, ścigany jak jeleni przez sfory psów i myśliwych — ten człowiek nie-

znający ani jednej chwili spokoju, ukrywający się nieustannie po uroczysskach bagien, w zaułkach najtajniejszych gąszczy leśnych, ujrzał naraz, o nieba... drzwi otwarte od swej celi.

Niepokonany niczem powab i pragnienie wolności zmogło chorobę, więzień otrząsł się z dotychczasowej gorączki i martwoty. Symptomy niebezpiecznej gorączki znikły, jakby pod wrażeniem czarodziejskiem — wszystkie jego majaczenia i marzenia stały się rzeczywistością, gdy ujrzał drzwi otwarte. Zerwał się i stanął na równe nogi.

Ktoś wychodząc z kościoła, nie zamknął drzwi świątyni, i tony oddalonych, a tem więcej działających na wrażliwość nerwów więźnia, pieśni, śpiewanych przez pobożnych, dobiegły do jego ucha, aby tam pozostać, niby z nieba zesłana pociecha i zachęta.

Więzień odczuł błogość w sercu, łzy szczęścia zrosiły jego rozognioną twarz i wnet też rozsnuł się przed nim obraz wymarzony w gorączkowym majaczeniu: cichej, gwiaździstej nocy; — słyszał wyraźnie szum leśny, widział wyniosłe, pod niebo sięgające modrzewie, otulające dach ojczystego domku, otaczające szczyty znanego dobrze w dzieciństwie wiejskiego kościółka, i ognisko, przy którym wraz z braćmi siedywał, nawet płynęła pieśń, nucona przez matkę... śpieszy więc co żywo, aby napawać się tym obrazem szczęścia — biegnie, aby urzeczywistnić swoje pragnienia — uściskać swoich, odetchnąć ojczystym powietrzem.

* * *

Młody rekrut z bronią na ramieniu, powoli, wymierzonymi krokami przechadza się na swym posterunku, przed nim rozściela się puste, szerokie pole,

pokryte całkowicie grubą warstwą spadłego świeżo śniegu.

Lekki wiaterek porusza wysoką trawą stepową i napędza do serca rekruta tęskne, smutne uczucia i myśli.

Zatrzymał się, postawił karabin, oparł się na jego lufie i oddał się rozpamiętywaniom. Jeszcze dotąd nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego on tu stoi, w tej uroczystej świątecznej nocy, z bronią w ręku, naprzeciw tego pustego pola... Jest on tylko przecież wiejskim dzieckiem, rolnikiem, nie pojmuje wcale obowiązków żołnierza, i nie też dziwnego, że kamraci i towarzysze wyśmiewają go, jako niezgrabnego, wiejskiego niezgrabiasza.

Jeszcze niedawno był sobie sam panem, posiadaczem gruntu i uprawiał grzędę własną. A teraz? Młodą jego duszę przejmuje obawa i trwoga, której wytłómaczyć sobie nie może, a która towarzyszy mu na każdym kroku; a swobodna natura chłopska wzdyga się na samo wspomnienie zależności, oburza na przymus obleczenia go w sieraczkowy samodziół i narzucenie mu posłuszeństwa jakimś tam przepisom i paragrafom wojskowego regulaminu.

Od czasu do czasu zdaje się oprzytomniać, otrząsa się z tych marzeń na pół sennych i wówczas w jego błękitnej barwy oczach odbija się pytanie:

— Co to wszystko znaczy? To pole, ten karabin i te mury? Dlaczego mnie tu postawiono? Wnet też opanowują go rzeczywistość, ale znowu powiew wiatru skłania go do rojeń i wytwarzania obrazów sennych, mających w jego umyśle o rodzinie, wiosce; wnet znowu na pół drzemie rekrut, opierając się na lufie karabina.

Nieopodal miejsca, na którym stoi rekrut, ukazuje się na szczycie muru ciemna jakaś postać, wi-

dnieję głowa ludzka, głowa włóczęgi. Spoziera on w daleko ciągnące się pola, na których ostatecznym krańcu widnieje, w zaledwie dojrzanym zarysie, skrawek lasu — jego pierś się rozszerza, wciąga chciwie powietrze i woń, płynąca od pól. Wznosi się na rękach, i cicho, ostrożnie przesadza mur i po nim zsuwa się na ziemię.

* * *

Radość zapowiadające światu dzwony, na nowo brzmia wielkim, donośnym chórem, w nocnej ciszy.

Znowu rozwarły się olbrzymie drzwi więzienia a na dziedziniec wkracza długi szereg, niosąc chorągwie i krzyże. Rozlega się śpiew, procesya obchodzi dokąła dziedziniec, z kościoła tymczasem, jak przedtem, rozlegają się pobożne śpiewy.

Żołnierze odkrywają głowy.

Włóczęga dostawszy się na ziemię, usiłuje szybkim krokiem jak najprędzej ukryć się w wysokich trawach stepu.

— Stój! zatrzymaj się. Ja cię proszę zatrzymaj się — woła żołnierz, podnosząc ze strachu karabin do góry.

Wszystko, co kiedykolwiek napełniało go strachem, wszystkie wymarzone obawy i obrazy, odrazu urzeczywistniły się w tym cieniu człowieka, zsuwającego się po murze więzienia, biegnącego szalonym pędem po polu, ku porośłym wysokim trawom.

Widok uciekającego i wspomnienie o odpowiedzialności, jaka go czeka, przebiega głowę przerażonego rekruta, dzwięczy mu w uszach, szybko więc zmierza się z karabinu i nie celując... strzela.

Na nowo nad światem brzmia dzwony w wspa-
niałych majestatycznych akordach i na nowo odzywa

się słaby dźwięk dzwonka z kaplicy więziennej, usiłując dorównać swym olbrzymim braciom, a dźwięk jego tymczasem zagłuszony, ginie i zlewa się w ogólną harmonię, zapowiadającą całemu światu, ziemi, całej ludzkości, radosną nowinę:

Chrystus zmartwychwstał!

Gdy oto nagle, po drugiej stronie muru, daje się słyszeć strzał, a słaby jakiś ton, czy echo zdaje się mu odpowiadać...

Wszystko od razu ucichło. Tylko donośne echo strzału odbiły wielokrotnie pola, lasy i cała okolica...

VI.

Zbiegi z Sachalinu.

I.

Mój towarzysz odjechał, pozostałem więc sam w mojej *jurcie* ¹⁾.

Pracować wcale mi się nie chciało, ale leżąc na łóżku w półcieniu, ponieważ nie zapaliłem w piecu, mimowoli oddałem się, prawie bezwłasnowolnie smutnym wrażeniom, wywołanym zapewne ciemnością i grobową ciszą, dzień bowiem, jak zwykle na północy, już się kończył. Ostatnie bladawe promienie słońca znikły już przez zamrożone szyby okna; dziwna, przerażająca ciemność wзираła z każdego zakątka i osnuwała pochyłe ściany namiotu, które ściślej łączyły się ze sobą nad moją głową. Zaledwie tylko chwilę rozpoznać zdołałem olbrzymie kształty pieca, tego penata Jakutów, znajdującego się w środku namiotu. Zdawało się, że oto wyciąga ku mnie swe ramiona i zciemniał; aż wreszcie znikł zupełnie.

Ciemność otoczyła mnie dokoła.

Tylko jeszcze w oknie błąkały się jakieś fosforyczne światełka, ale i te znikły, mróz bowiem coraz grubszy warstwami szronu pokrywał szyby okna.

Mijały minuty i godziny i wcale się nie spostrzegłem, jak dziwne uczucia smutku i tęsknoty owładnęły moją duszą, jak obczyzna owiewała mnie niby wróg chłodem nienawiści; jak w podrażnionej wyobraźni wynurzały się, rosły, dalekie przestrzenie,

¹⁾ Namiot ze skóry.

góry, lasy, nieobjęte okiem stepy, oddzielające mnie od wszystkiego co kochałem, co było mi drogim...

W tej straszliwej próżni, jak blade, nieznaczne światelko, poczęła kielkować słaba, niepewna nadzieja — lecz ból, przygniatający moje serce, coraz się wzmacniał, podnosił hardo w górę swoją głowę i zdawał się szeptać fatalne wyrazy: »Na zawsze, na wieki pogrzebionym jesteś w tym grobie!«

Ciche skomlenie, które dochodziło do mnie z płaskiego dachu, przywróciło mi przytomność.

To mój rozumny przyjaciel, wierny pies Cerber, drżący z chłodu na swoim posterunku, posyłał mi zapytanie, dlaczego dotychczas nie napaliłem w piecu.

Otrząsnąłem się jakby z przykrego snu, bo czułem, że w tej walce z ciemnotą i grobowym milczeniem niewątpliwie ulegnę, i postanowiłem chwycić się jedyne go środka, używanego powszechnie na Syberyi. Tym błogosławionym środkiem jest jasny ogień w piecu.

Jakuci przez całą zimę bez przerwy palą w piecu i dlatego też u nich niema przyrządu, zamykającego otwór pieca. Myśmy go zbudowali, ale chcąc palić trzeba było aż wchodzić na dach jurty.

Wszedłem tedy na dach, po schodach wyrobionych w śniegu, który olbrzymią masą pokrywał całą jurtę od góry do dołu, i odemknąłem komin.

Nasza jurta stała na samym krańcu osady, którą z dachu można było widzieć jak na dłoni. Leżała ona w dolinie, otoczona dokoła wysoko spiętrzonemi górami, można też było spostrzedz w pewnej oddali i pełzające słabe światelka w chatach, w których mieszkali rosyjscy osiedleńcy i zesłani na karę Tatarzy.

Dziś wszystko tonęło, nikło w nieprzejrzaney mgłę, ciężącej nad ziemią — objęła ona wszystko chłonąc w siebie i doliny i chaty i góry.

Dokoła śmiertelna, grobowa cisza...

Górzysty brzeg rzeki, ubogie chatki i lepianki osady, maluchna cerkiewka, gładki, jak olbrzymi obrus, obszar śniegu — wszystko to tonęło w głębi szarej mgły. Dach mojego namiotu, na którym stałem, z kominem urobionym prymitywnie ze zwykłej, surowej gliny — przy moich nogach pies — wydawał się jakby samotną wysepką na niezmierzonym okiem, niekończącym się oceanie. Dokoła żadnego ruchu, żadnego głosu, wszędzie śnieg, chłód i jakieś tajemnicze a złowieszcze pustkowię.

Noc czarną oponą objęła ziemię, zwiększając jeszcze przykre i bolesne wrażenie bezgranicznej samotni.

Cerber cicho skomlał.

Biedne zwierzę czuło chłód i mimowoli tuliło się do mnie, spoglądając przenikliwie, czujnie, na wszystkie strony. Nagle podniósł do góry uszy i zawarczał.

To obudziło moją uwagę.

Z początku nie słyszałem nic, panowała głęboka cisza jak pierwaj, później dopiero rozległ się jakiś dziwny ton, dźwięk, niby echo dalekie — po pierwszym powtórzył się drugi, trzeci i tak dalej. W zmrozonem powietrzu odbijał się lekkim tonem zwykły bieg konia, chociaż było to jeszcze bardzo daleko.

Myśląc z pewnem wzruszeniem o nieznanym jeźdźcu, który jeszcze co najmniej dwie wiorsty był oddalony od osady, zeszedłem napowrót do wnętrza. Gdybym choć chwilę dłużej pozostał z nieosłoniętą twarzą, groziło mi odmrożenie policzków lub nosa.

Cerber mi towarzyszył, czekając w tym kierunku, w którym rozlegał się tentent konia.

Zapaliłem suty ogień w piecu, nałożywszy spory stos wiór. Wkrótce też zmienił się zupełnie wygląd mojego mieszkania.

Milczącą izdebkę nappełnił teraz trzask i pukanie, huk, jęczenie; setki języczków płomienistych obwijało, przesuwało się, obejmowało, jakby pożerało łupki drzewa, iskrząc się, strzelając i trzaskając. Coś żywego zdawało się hulać po moim cichym zakątku, przeglądało ono najtajniejsze zaułki, wdzierało się wszędzie, oświecając najciemniejsze kąty izby. Od chwili do chwili ogień to ciemniał, to przygasał, to znowu z większą stokroć siłą wydobywał się z pod nadpalonych polan, świecąc jaskrawo. Słyszałem wyraźnie szelest ulatujących kominem iskier i ginących w chłodnej na zewnątrz atmosferze.

Znowu po jakimś czasie wzmógł się silniej ogień, już nie płomykiem, ale buchał płomienistą falą. a dawny trzask, zamienił się w huk, jakby ktoś strzelał z pistoletów.

Dzięki temu już nie czułem się tak osamotniony. Wszystko wokoło mnie zdawało się ożywiać, poruszać, skakać i tańczyć. Okno całe i szyby, które mróz pokrył całymi warstwami szronu, teraz błyszczało różnokolorowymi iskierkami, odbijając na sobie odblask ognia.

Jakiś dziwny stan duszy, jakaś nieznana radość przejęła mnie na myśl, że oto siedzę w zaciszu, odczuwam ciepło i nie potrzebuję błąkać się po śniegim zasypanych drogach — cieszył mnie ten jasny ogień, który jak wulkan wyrzucał ze swego wnętrza snopy szerokich płomieni i iskier.

Cerber położył się przy piecu i patrzył wyężonym wzrokiem, jak białe jakieś widmo, w ognisko pieca, wypełnione czerwonym, krwawym zarzewiem, tylko niekiedy zwracał się ku mnie, a w jego rozumem spojrzeniu czytałem wierność i wdzięczność.

Dały się nagle słyszeć czyjeś ciężkie kroki, Cerber jednak pozostał spokojnym — wiedział on bo-

wiem, że to były nasze konie, które stały pod dachem, drząc zapewne z zimna, ze spuszczonej do dołu głowami, a teraz zbliżały się do ściany już ogrzanej.

Po chwili pies poruszył się jakby niezadowolony i zaczął warczeć, a następnie zerwał się i szybko poskoczył ku drzwiom. Wypuściłem go, a kiedy czekał stojąc na swoim stanowisku, ja ciekawie patrzyłem na podwórze. Domyślałem się, że ów podróżny przybywający zdaleka, zapewne zbliża się, przywabiony iskrami ognia, wydobywającymi się z komina.

— To pewno będzie jeden z tutejszych osiedleńców — pomyślałem.

Rzeczywiście, otworzył furtkę i wprowadził konia ciężko obładowanego.

Nie spodziewałem się nikogo ze znajomych. Jakuta nie byłby w tak ciemną noc wybierał się w podróż i w każdym razie, gdyby to uczynił, zajeżdżałby niewątpliwie do swojego przyjaciela.

W innym czasie odwiedziny te nie byłyby dla mnie wielce pożądane, dziś gość, żyjący człowiek, sprawiał mi niewymowną przyjemność. Wiedziałem, że wesoły, jasny płomień ogniska wkrótce zgaśnie, że pozostanie zaledwie kupa żarzących się węgli, że jednym słowem ciemność wypełni izbę i ja na nowo pozostanę sam, sam jeden — otoczony nieprzeniknącą nocą i grobową ciszą.

Myśl zaś, że spędzę noc może z jakim indywiduum, które zmaczało się krwią, wcale mnie teraz nie przerażała. Syberia nauczyła nas, że i mordercę można uważać za człowieka i jeżeli się zawrze bliższą znajomość z podobnym człowiekiem, niepodobna oczywiście idealizować jego zbrodni, ale raczej uważać to jedynie za nieszczęście, że go okoliczności dziwne nieraz a często fatalne, nieuniknione, przymusiły do

wyłamania zamku, ukradzenia konia lub roztrzaskania czaszki bliźniemu swemu. Nauczyliśmy się, czego i kiedy od człowieka żądać można.

Morderca przecież nie zawsze dopuszcza się mordu, i on żyje także i odczuwa to wszystko, co inni odczuwają — a oprócz tego doznaje niewątpliwie uczucia wdzięczności dla tych, którzy go w ciemną, chłodną noc, w czasie trzaskającego mrozu przyjmą do chaty i pozwolą ogrzać się przy własnym piecu.

Jeżelibym zatem z tym nowym przybyszem poznał się i przyjął jego konia obładowanego pakami i paczkami, to w takim razie wyrodziłoby się pytanie, kto jest ów posiadacz konia, czy jest prawnym właścicielem owych licznych paczek i czy na koniec nabytek ich nastąpił na drodze legalnej, uczciwej?

Nareszcie ciężkie, obite końską skórą drzwi izby otworzyły się, na podwórzu z konia buchała para — wszedł nieznajomy do izby i od razu przybliżył się do pieca. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, barczystej i wspaniałej postawy.

Na pierwszy rzut oka można było poznać, że to nie jest Jakuta, choć ubrany był tak, jak ubierają się Jakuci. Na nogach miał buty z białej skóry końskiej. Szeroka, wierzchnia opończa z podniesionym do góry kapturem, dochodziła mu aż do uszów; głowę i szyję okrywał ciepły szal, którego końce związane były tak, że opasywały biodra. Szal, jego odzież i wysoka czapka oblepione były szronem.

II.

Obcy przybliżył się do pieca i zaczął zgrabiać z mrozu rękami rozwiązywać węzły szala, a na-

stępnie odpinać rzemienie, którymi przytwierdzona była na głowie czapka. Kiedy to wszystko zdjął ze siebie, ukazała się młoda, pełna świeżości, ale mocno zaczerwieniona z zimna twarz — mógł mieć około lat trzydziestu. Grube, ale charakterystyczne rysy, zdradzały w nieznajomym typ właściwy wszystkim tym ludziom, którzy pełnią obowiązki dozorców aresztantów. Zdarzało mi się to nieraz spostrzegać i mój też nieznajomy gość należał zdawało się do tych, którzy umieją nakazać sobie poważanie i szacunek, jak niemniej posłuszeństwo i obawę. Jego czarne, wyraziste oczy, rzucały krótkie ale przenikliwe spojrzenia. Dolna część twarzy nieznajomego była nieco podniesiona w górę, co zapowiadało namiętną naturę, ale mój *brodiaga* (włóczęga) bo był nim rzeczywiście, poznałem to po kilku dość wydatnych, znaczących oznakach, umiał się hamować, trzymać na wodzy namiętne porywy, czy gniewu, czy też pomsty. Tylko lekkie drżenie dolnej wargi i nerwowa gra muskułów zdradzała od czasu do czasu wewnętrzny niepokój i toczącą się w nim walkę.

Znużenie, chłód nocy a raczej siarczasty mróz, a być może i uczucie tęsknoty, jakie zwykle samotny jeździec odczuwa podczas nocy i nieprzeniknionej mgły, złagodziły nieco zbyt ostre zarysy jego twarzy i nadały jej wyraz cierpienia, co z mojem dzisiejszem usposobieniem i cierpieniem niezmiernie harmonizowało i wzbudzało sympatyę do tajemniczego, nieznajomego mi przybysza. On tymczasem, nie zdejmując wierzchniego ubrania, oparł się ramionami o piec i zaczął z kieszeni wydobywać fajkę.

— Dobry wieczór panu — rzekł nakładając fajkę i mierzając mię bystrem spojrzeniem.

— Dobry wieczór — odpowiedziałem, również przypatrując się uważnie nieznajomemu.

— Pan zechcesz mnie usprawiedliwić, że ja tak wdarłem się tu, do pańskiego mieszkania, nieproszony. Pragnąlbym się nieco ogrzać i wypalić fajkę — potem pojedę dalej. Mam stąd o dwie mile znajomych, którzy mnie przyjmą u siebie.

W jego głosie brzmiała jakby pewna obawa, że może stał się zbyt natarczywym i wcale niepożądanym gościem. Mówiąc ze mną, nieustannie szybkim spojrzeniem badał mnie co chwila, jakby pragnął jak najprędzej usłyszeć moją odpowiedź i wedle tejże zastosować dalsze swoje postępowanie.

— Jak ty ze mną postąpisz, tak i ja się z tobą obejdę, mówiły jego chłodne, przenikliwe spojrzenia. Jednak zachowanie się nieznajomego było zupełnie odmiennem i różniło się od postępowania tutejszych jakuckich osiedleńców, chociaż to dobrze zrozumiałem, że gdyby nie chciał u mnie przenocować, to byłby konia pozostawił przed furtką i nie wprowadzał go na podwórze.

— Kto pan jesteś? Jak się pan nazywasz? — zapytałem.

— Ja? Ja nazywam się Bagilai — tak przynajmniej mnie tu nazywają — moje istotne nazwisko jest Wasili. Być może słyszałeś je kiedy. Z powiatu Bajagatajskiego.

— Urodzony na Uralu? *Brodiaga*? — dodałem.

Po twarzy obcego przebiegł nieznacznym uśmiech zadowolenia.

— Tak jest, ten sam. Więc już pan słyszałeś coś o mnie?

— Tak, od N. N., pan mieszkaś u niego, stąd niedaleko.

— Tak jest. Pan N. zna mnie dobrze.

— Niezmiernie mnie to cieszy. Zanocuj pan u mnie, rozgość się swobodnie — przytem jestem

sam. Rozbierz się pan, a ja tymczasem zajmę się przyrządzeniem herbaty.

Włóczęga chętnie poszedł za moją radą.

— Dziękuję panu. Skoro pan tak szczerze zapraszasz, będę korzystał z jego grzeczności. Muszę jednak zdjąć z konia mantelzaki — i niektóre przynieść tu do izby. Lud tutejszy jest bardzo chytry, a szczególnie Tatarzy.

Wyszedł i wkrótce powrócił z dwoma mantelzakami, rozpiął rzemienie i wydobył zapasy: kawał zmarzniętego masła, zamrożone mleko i około tuzina jaj. Część położył na półce, inne zaś zachował jako dalszy zapas w tłomoczkach. Potem zdjął kaftan i kożuch i pozostał tylko w czerwonej koszuli i w spodniach; poczem zasiadł przy piecu naprzeciwko mnie.

— Tak panie — rzekł uśmiechając się, muszę panu powiedzieć prawdę, że przejeżdżając tędy około pańskiego namiotu, zapytałem się w duszy sam siebie, czy też mnie pan przyjmie na noc? Wiem to doskonale, że pomiędzy naszymi bywają tacy, co niezbyt chętnie udzielają takim jak ja schronienia. Pan sam oświadczyłeś, że słyszałeś już coś o mnie.

— Tak jest, słyszałem.

— Otóż łaskawy panie, mogę, nie chwaląc się powiedzieć, że żyję uczciwie i sprawiedliwie; mam krowę, wołu w stajni i konia — uprawiam moją rolę, mój grunt...

Mówił o tem wszystkiem jakimś szczególnym tonem, widocznie był zamyślony i patrzył ciągle w jedną stronę — przy ostatnich jego wyrazach wydało się mi, jakby niby sam rozmawiał ze sobą, powtarzając: rzeczywiście tak jest, jak mówią.

— Tak jest — mówił w dalszym ciągu — pracuję tak, jak to Bóg przykazał. Sądzę, że daleko lepiej nie kraść, nie rozbijać i nie mordować. Oto

przykład. Przejeżdżam koło pańskiej chaty, widząc ogień, wchodzę tu i pan mnie przyjmujesz z całą serdecznością; tego nigdy się nie zapomina i ocenia jak należy.

— Zapewne — odpowiedziałem, chociaż rzeczywiście włóczęga mówił właściwie tylko ze sobą samym, aby tym sposobem spowiadać się z dzisiejszego trybu życia.

O Wasilim istotnie wiele opowiadał mi mój znajomy; był on jednym z włóczęgów, którzy się nareszcie stale osiedlili, mieszkają od dwóch lat w swoich małych chatkach, w lesie nad jeziorem, w wielkiej jakuckiej gminie. Pomędzy wielu chętnymi do pracy i osiedlonymi kolonistami, którzy z kradzieży i mordu żyją, był on jednym z najpierwszych i począł prowadzić porządne życie; zresztą utrzymanie w tych okolicach jest dość tanie i łatwe. Jakuci są pokoleniem i warstwą ludu nadzwyczaj gościnną i życzliwą, i w niektórych gminach jest zwyczaj dopomagania nowo osiedlającym się przybyszom. Bo zresztą człowiek, którego los fatalny rzuci w te strony, umarłby niezawodnie z głodu i chłodu, lub też byłby zmuszony żyć z rabunku. Pomocy takiej udzielają również i tym, którzy dalej wędrują, aby coś rozpocząć i czemś się zająć — głównie jednak wspierają takich, którzy stale zapragną się osiedlić i żyć jak należy, uczciwie i sprawiedliwie.

Wasili otrzymał od gminy chatę, wołu, i w pierwszym roku sześć miar żyta do zasiewu. Zbiór był nadzwyczaj pomyślny, przytem Wasili objął chatę w posiadanie w bardzo dogodnych warunkach, najmował się do koszenia siana, handlował tytuniem i po upływie dwóch lat miał już wcale pokaźne gospodarstwo. Jakuci bardzo go poważali i nazywali go zawsze Wasili Iwanowicz i tylko w jego nieobecno-

ści wyrażali się krótko: »Wasika.« Popi powracający po odbytem nabożeństwie, chętnie wstępował do jego chaty, a nawet sadzali go do stołu, gdy do nich zaszedł w gościnę. Łączył się on też z nami, z inteligencją, których los opłakany zagnał aż w te strony. Dlaczegoż więc życie jego nie miałooby być wesołem, dlaczego nie miało sprawiać mu zadowolenia? Gdyby wreszcie zdecydował się ożenić! Tu przecież piętrzyły się trudne do pokonania przeszkody, bo prawo nie dozwala włóczęgom dawać ślubów, ale w tej zapadłej, odciętej prawie od świata stronie, mogłoby się wszystko jakoś szczęśliwie ułożyć przy pomocy życzliwych lub datkiem pieniężnym.

Pomimo tego wszystkiego, co o nim wiedziałem, na tem energiczem obliczu młodego włóczęgi dostrzegłem rzadki rys. W skutek tego daleko mniej podobiała mi się teraz ta twarz, nie tak jak w początku, chociaż nie powiem, aby sprawiała pewną odrazę lub wzbudzała wstręt. Jego ciemne oczy patrzyły nieraz zamyślane i pełne rozumu, jego rysy twarzy wyrażały energię, jego zachowanie się nacechowane było otwartością, a z swobodnego tonu mowy wnioskować należało, że odczuwa pewną dumę, że się chlubi z tej niezależności, jaką sobie pozyskał.

Tylko od czasu do czasu dolna część jego twarzy i jego oczy wyrażały smutek. Pozornie był on swobodnym i pewnym siebie, jednakże mimo nadzwyczajnego panowania nad sobą nie mógł utrzymać się i zdradzał, że coś go dręczy, że gorycz, smutek i tęsknota przejmują jego duszę.

Z początku nie chciał mi powiedzieć jaka jest tego przyczyna, teraz jednak już wiem: Oto włóczęga, osiedlając się na stałe, wprowadził w błąd sam siebie, starał się przemódz i przekonać, że ta cicha bez troski egzystencja zupełnie go zadowoli; że posiadając

krowę, wołu i konia w stajni, uzyska tym sposobem ogólny szacunek. Tymczasem w głębi duszy tkwiło mu uczucie, że to życie, do którego nie przywykł, nie da mu szczęścia. Z głębi jego serca wypływało pragnienie, niczem niepokonane żądanie, rzucenia się w lasy; codzienne życie trudziło go, jakiś fatalizm wabił go, ciągnął w przestrzeń, na pola i stepy. Tak mi właśnie objaśnił, gdym sam doskonale widział, że coś truje tego człowieka.

Kiedy byłem zajęty przyrządzaniem herbaty, Wasili zamyślony, wpatrywał się w ognisko pieca.

— Dziękuję, dziękuję panu — rzekł, gdym go wezwał do herbaty, serdecznie dziękuję za to gościnne przyjęcie. Ach, panie — rzekł jakimś namiętnym głosem — wierz mi pan lub nie wierz, ale kiedy ujrzałem ogień w pańskiej chacie, uderzyło mi radośnie serce w piersiach. Wiedziałem, że tam mieszka Rosyanin. Przejechałem znaczną przestrzeń wśród mgły, ciemności i mrozu. Niekiedy przesuwalem się około innych namiotów, koń przystawał, a tymczasem mnie serce ciągnęło tutaj. Co to znaczy? Przecież mogłem się wszędzie ogrzać i być poczęstowanym wódką. A przecież zrzekłem się tego dobrowolnie. Skoro jednak spostrzegłem pański ogień, postanowiłem udać się do pana, jeżeli mnie rzecz prosta zechcesz przyjąć. Dziękuję serdecznie panu!

Gdybyś pan kiedykolwiek przyjechał do naszej gminy, nie zapomnij pan o mnie, a zostaniesz przyjęty i ugoszczony całem sercem.

III.

Wypiwszy herbaty, znowu usiadł przy piecu; nie chciał się jednak położyć spać, bo czekał aż mu koń nieco ochłodnie, żeby mu dać siana. Jakucki koń nie

należy do zbyt wytrwałych zwierząt, ale przytem karmi się wszystkim, co mu podadzą, nie przebieając. Jakuta wozi na koniu masło i inne prowianty do piwnic lub do lasu do Tungusów, w okolicę nad rzeką Utszur, wpadającą do Leny — setki wiorst przebywa na koniu, a na całej tej drodze nigdzie niema ani szczypty siana.

W nocy obozuje w lesie, zapala wielkie ognisko i spętawszy konia, puszcza także w las, gdzie sam sobie szuka pożywienia, mianowicie trawy pod śniegiem — a rankiem gotów jest znowu do dalekiej, nużącej podróży. Odnacza się zaś szczególniejszym przymiotem, to jest nie potrzebuje w czasie podróży karmy i można tym sposobem pozostawić go bez pokarmu przez cały boży dzień.

Wasili musiał czekać aż trzy godziny. Ja także nie położyłem się, siedzieliśmy więc obadwaj, wymieniając zaledwie niekiedy po kilka wyrazów. Wasili, a właściwie jak ja lubiłem go tytułować »Bagilai,« coraz dokładał drzewa do pieca. Było to przyzwyczajenie, jakie nabył, siedząc sam nieraz podczas długich jakuckich nocy.

— Daleko! — rzekł nagle po bardzo długim milczeniu, jakby odpowiadał sam sobie, pogrążony w myślach.

— Co? — pytam.

— Zbyt daleko leży od nas Rosya. Tu wszystko odmienne, nawet konie. Tam u nas, w domu, najpierwszą potrzebą jest podanie koniowi pokarmu, jeżelibyśmy go zaś tu, po długiej podróży tym sposobem karmili — zdechnie. Tak samo też i ludzie. Zyją po lasach, jedzą końskie mięso, na surowo — nawet już zepsute — niech ich Bóg ma w swojej opiece! Jeżeli zaś w ich obecności wyciągniesz kapciuch z tuniem, zaraz wszyscy wyciągają ręce.

— Taki zwyczaj — nic dziwnego. Sam pan to czynisz. Oni przecie dopomogli panu do urządzenia gospodarstwa.

— To prawda.

— Czy jesteś pan zadowolony z dzisiejszego trybu życia? — zapytałem — wpatrując się w niego uważnie.

Uśmiechnął się.

— Tak — odparł — dokładając znowu polano do ogniska. Płomień oświetlił jego oblicze, ale spojrzenie było jakieś mgliste.

— Ach panie — rzekł — gdybym panu opowiedział... Nic dobrego nie widziałem w mojem życiu i obecnie też nie widzę. Może tylko do ośmnastego roku uwodziłem się marzeniami i uważałem je za szczęście! Spędziłem dni wesołe, słuchając rad moich rodziców, skoro zaś przestałem ich słuchać, skończyło się dla mnie owe radosne życie. Od tego czasu uważam się jako zupełnie umarły.

Po tych wyrazach ponury smutek pokrył całą jego twarz, a dolna warga drżała jak u dziecka — tak zupełnie, jakby on był jeszcze dzieckiem i stawszy się nieposłusznym rodzicom, miał chęć rozpłakać się na dobre.

Spostrzegłszy, że mu się uważnie przypatruję, opamiętał się i tylko pokiwał głową.

— Cóż? — rzekł. — Nie chciałbyś pan posłuchać, w jaki sposób uciekłem z Sachalinu?

Oświadczyłem najzupełniejszą gotowość i słuchałem go aż do brzasku dnia.

* * *

Pewnej letniej nocy 187... płynął parowy statek »Niżnij Nowgorod« po rzece Japońskiej, pozostawiając za sobą długie smugi dymu.

Z lewej strony ciągnął się górzysty brzeg, z prawej wznosił się pagórek, a dalej cały obszar nieobjętej okiem wody. Statek parowy płynął do wyspy Sachalin, której górzyste a nawet skaliste brzegi jeszcze dotąd były ukryte przed naszym wzrokiem.

Na pokładzie panowała cisza.

Tylko tuż przy sterze widniały dwie postacie: sternika i dyżurnego oficera.

Przez otwory okienka wpadały do wnętrza blade promienie światła, wytwarzając grę kolorów przy zetknięciu z falami spokojnego oceanu.

»Niżnij Nowgorod« miał dowieźć aresztantów do miejsca ich przeznaczenia. Prawo marynarskie jest bardzo surowe, na statku takim jak nasz, jeszcze surowość jego bywa podwojona.

We dnie aresztanci obowiązani są pozostawać na pokładzie otoczeni łańcuchem posterunków wojskowych. Resztę zaś czasu spędzają w kajutach pod pokładem.

Była to olbrzymia izba, nad którą unosił się zniżający pokład. We dnie oświetlona była przez otwory, podobne do okienek, które coraz zmniejszały się tak, że ku przodowi statku zupełnie ich nie było. Środkiem ciągnął się kurytarz, przedzielony od kajut aresztantów żelazną, silną baryerą. Tu stały straże oparte na swych karabinach. Wieczorem jaśniało tu bardzo słabe światło.

Całe życie aresztantów w tej przestrzeni ujawniało się wobec straży, stojącej po za kratami.

Dla tych ludzi pozostających w zamknięciu, obojętną było rzeczą, czy szalał wicher, czy fale wzburzone morza odbijały się jak huragan o boki statku, czy paliło południowe słońce, czy wicher łomotał po żaglach, czy okręt przechylał się, jęczał, lub zagrożony był niebezpieczeństwem; dla nich nic nie istniało,

wiedzieli bowiem tylko to, jaki los ich czeka i że ten los jest nieunikniony.

Aresztantów bywało zawsze daleko więcej niż wojskowej straży, pomimo to nie obawiano się rozruchu, buntu, sprzysiężenia, bo każde prawie poruszenie, każdy krok niewłaściwy, był natychmiast surowo karany.

Zresztą wszystko tu, nawet niepodobieństwo było możliwem — nawet wówczas, kiedy te wściekle, zwątpiałe zwierzęta podnosiły głowy, a nie pomagały strzały karabinów skierowane ku kajutom i taki zwierz prze-rwał, wyłamał żelazną kratę, to i wtenczas komendant statku był panem sytuacji, dość mu było zakomenderować:

— Otworzyć wentyl!

— Wedle rozkazu! I oto w oka mgnieniu cele aresztantów zapełniała gorąca para, buchająca z kółka statku. To był jedyny a najradzykalniejszy środek przywrócenia spokoju i karności.

Mimo to wszystko, mimo żelaznej karności, pod pokładem wrzało życie. Tejże samej nocy, kiedy statek parowy, buchając parą i tryskając iskrami i dymem, przecinał szybko fale morza, kiedy żołnierze oparci na karabinach drzemali, kiedy kurytarz oddzielający pokład od cel aresztantów słabo był oświetlony i panował przycień — w tej nocy spełnił się straszliwy dramat.

Towarzystwo skute w kajdany ukarało surowo odstępcę.

Nazajutrz, przy codziennym apelu, trzech aresztantów nie odezwało się. Leżeli oni w swych kajutach, nie słuchając wywoływania komendanta. Kiedy nareszcie udano się po za kraty i podniesiono płaszcze, którymi nieobecni byli przykryci, przekonano się, że ci trzej już nigdy nie zgłoszą się do apelu.

Aresztanci mają w każdej twierdzy, w każdym więzieniu, nawet w kopalni gminy wybornie zorganizowane, a centrum, t. j. zwierzchniczy komitet, rządzi bez apelacyi. Często też podczas nocy dzieją się niespodzianki, rozgrywa się jakiś fakt, dramat, tragedia, nieprzewidziana regulaminem. Stało się to cicho — okręt płynął, zdawało się, że nic nie zaszło, i że mord taki nie pociągnie za sobą żadnych następstw.

Jednakże pomiędzy aresztantami poczęły się szept i domysł, że wypadek ten nie pozostanie bez skutków. Władza nie myślała wcale wypadku zamordowania trzech ludzi przypisywać nagłej śmierci, ani też chorobie, najwyraźniejsze ślady bowiem przekonowały, że w tym razie spełniono gwałt.

Rozpoczęło się śledztwo.

Odpowiedzi aresztantów były prawie jednoznaczne.

W innym czasie byłaby zapewne władza chwyciła się zwykłych środków, mianowicie groźbą czy też przyrzeczeniem ulgi, wydobyła zeznanie od jakiego zdrajcy, teraz przecież wszystkie języki były związane — nie tylko przez uczucie koleżeństwa. Bo jakkolwiek potęga władzy była znaną, nie mniej też i surowość »gminy« miała swoje znaczenie. W tej nocy, wobec czuwającej straży, na ławce, spełniono wyrok, niewątpliwie zatem »gmina« również posiadała potęgę, stokroć większą niż legalna władza.

Prawdopodobnie wielu tej nocy nie spało i słyszeć mogło jęk lub szelest toczącej się walki, wszakże nikt nie ośmielił się wydać sprawców. Władza zatem postanowiła pociągnąć do odpowiedzialności: »starszego i jego pomocnika« ¹⁾. Jeszcze tego samego dnia okuci zostali w kajdany.

¹⁾ Charakterystycznym jest mianowanie nie tylko na okrętach płynących do Sachalinu, ale i w zwykłych więzieniach,

IV.

Pomocnikiem Starszego był opowiadający, Wasili, który wówczas nosił zupełnie inne nazwisko.

Zaledwie upłynęło dwa dni, a już aresztanci obmyśliли plan zatarcia nastąpnego faktu. Przedewszystkiem na wszystkie pytania, aresztanci odpowiadali: »myśmy spali!«

Przy bliższem rozpatrzeniu całego faktu, Wasili powinien był być odpowiedzialnym, tak mówił kodeks więzienny ¹⁾.

Jakoż jednego dnia przystąpił do Wasilego stary, posiwiaty już włóczęga, i rzekł: gdy przybędziemy na Sachalin, przygotuj się do ucieczki, bo twoja sprawa bardzo źle stoi.

— Jakto?

— Mówię ci prawdę. Czy pierwszy raz, czy drugi jesteś pod sądem?

— Drugi raz.

— Otóż to właśnie. Czy wiesz przeciwko komu występował zmarły Fedika? Przeciwno tobie. Z jego to powodu nosiłeś kilka dni kajdany na rękach. Czy nie tak?

Starszego, który ma obowiązek doglądać porządku, śledzić więźniów, czem się zajmują, co mówią i co zamierzają. Skoro przecież Starszy nie da znać o jakimś wypadku, jest karany lochem, głodem lub nawet różgami.

(*Przypisek tłumacza*).

¹⁾ W kazamatach, gdzie siedzi więcej więźniów, Starszy ma obowiązek, gdyby chciał się przespać lub gdy powołany do sądu, wyznaczyć zastępcę. Ten zastępca, chcąc nie chcąc, musi spełniać naznaczone funkcje i najczęściej karają go głodem, bo znowu koleżeństwo i uczciwość nie pozwala mu na delację.

— Tak.

— No i cóż mu naówczas powiedziałeś? Sołdaty to wyraźnie słyszeli. Czy sądzisz — że to nie była groźba?

Wasili i inni aresztanci uznali tę przestrożę za bardzo słuszną.

— Otóż dobrze zastanów się i bądź przygotowany na śmierć przez rozstrzelanie.

Miedzy zebranymi odezwało się mruczenie.

— Cicho Buranie! — zawołano.

— Niepotrzebna gadanina.

— Dzieciństwo! Wielkie rzeczy, rozstrzelanie! Stary widocznie już zgłupiał.

— Wcale nie — odpowiedział stary włóczęga ze złością. Nic nie rozumiecie bydlęta! Sądzicie tak, jak się w Rosyi dzieje. Ja dobrze znam tutejsze obyczaje i zwyczaje i powtarzam: »jeżeli Wasili, twoją sprawę przedstawia gubernatorowi amurskiemu, najniezawodniej skaże cię na rozstrzelanie. Być może w drodze łaski skazany zostaniesz *na koźle* ¹⁾, ale to będzie gorzej, bo już z tego koziółka więcej nie zsiądziesz. Pamiętaj sobie synku, że jesteśmy na okręcie, a tutaj prawo jest dwa razy tak surowe jak zwykle na wolności. Zresztą jest mi to wszystko obojętne i jeżeli uprzesz się i pozostaniesz na miejscu, to niech cię tam i dyabli biorą.

Zagaspie oczy starego, którego życie upłynęło w zbyt smutnych okolicznościach i którego los ciężko przygniatał swoim ciężarem, patrzyły ponuro i z lodowatą obojętnością. Odszedł zagniewany i usiadł spokojnie na boku.

¹⁾ Tak się nazywa ławka, na której rzemieniami przywiązują aresztanta i siekają go prętami leszczynowymi, zwykłej długości, to jest przeszło dwa metry i więcej.

Pomiędzy aresztantami natrafiają się bardzo często znawcy prawa i kiedy ci zajmą się czyją sprawą i gruntownie ją zbadają, niejednokrotnie taki następuje wyrok, jaki oni po swych dociekaniach wydali. W obecnym wypadku wszyscy prawie aresztanci podzielali zdanie Burana i dlatego postanowiono dopomagać Wasilemu do ucieczki.

Ponieważ zaś skutkiem solidaryzowania się z gminą aresztańską popadł w to nieszczęście, przeto i gmina miała obowiązek przyłożyć rękę do owego przedsięwzięcia. Jakoż zaczęto zbierać suchary, jakie pozostawały z oszczędności i gromadzić je dla Wasilego, a on tymczasem znowu jednał sobie kolegów, którzy mieli podzielić z nim los, to jest przyjąć udział w ucieczce.

Stary Buran już dwukrotnie uciekał z Sachalinu, dlatego wybór padł na niego. Stary przyjął to niechętnie i wcale się nie śpieszył.

— Mnie, wiem dobrze — mówił — los przeznaczył śmierć w lesie. Co będzie podobno daleko lepiej. Wreszcie pójdę z wami, ale rozważcie, że nie jestem już tak silny jak dawniej...

Stary włóczęga spoważniał.

Następnie rzekł:

— Więc trzeba werbować kilku. We dwóch lub trzech niema celu uciekać. Ucieczka jest bardzo trudna. Jeżeli Wasili zdoła namówić dziesięciu ludzi, wszystko nam się uda. Pójdę tak daleko, jak daleko mnie nogi poniosą; ale pragnę umrzeć gdzieindziej, nie tutaj.

Buran coraz bardziej smutniał i często po twarzy jego, zoranej bruzdami starości, płynęły łzy.

— Stary już zdziecinniał, osłabł zupełnie — pomyślał Wasili i zajął się podmawianiem innych.

Okręt zaczął nareszcie zbliżać się do portu.

Aresztanci stali zgrupowani przy okienkach i patrzyli wzruszeni i ciekawi na skaliste brzegi wyspy, które pomimo zapadającego mroku wyraźnie rysowały się przed ich wzrokiem.

Późną nocą okręt wpłynął do portu.

Brzegi wyspy przedstawiały się jak czarne, puste olbrzymie skaliste masy. Okręt zatrzymał się nareszcie, żołnierze stanęli w porządku, zaczęto aresztantów wysadzać na ląd.

Tu i owdzie na poczerńiałych brzegach portu przeblyskiwały bladawe światelka, morze obijało się o pokłady piasku, na niebie zaległy czarne jak ołów chmury, w duszy trudne do określenia przecucia i myśli.

— Ten port — odezwał się cichym głosem stary Buran, nazywa się: *Dile* ¹⁾. Tutaj na początek zamieszkamy.

Po ogłoszonym szeregu nazwisk z listy w obecności miejscowej władzy, wysadzono pewną ilość aresztantów na brzeg. Po miesięcznym pobycie na okręcie, aresztanci pierwszy raz dopiero stanęli na stałym gruncie. Okręt, na którym tak długo płynęli, kołysał się lekko na falach i wyrzucał ze swego wnętrza kłęby pary i dymu, jaskrawo odbijającego się wśród ciemności.

Zajaśniały nagle światła i posłyszano głosy:

— Czy to transport aresztantów?

— Tak.

— Tędy — do siódmych koszar.

Aresztanci zbliżyli się do światła.

Wychodzili nie szeregami, jak to zwykle bywało, ale cisnąc się jeden przed drugim, nadzwyczaj

¹⁾ Port na wschodnim brzegu wyspy.

zdumieni, że żaden z nich nie otrzymał uderzenia kolbą.

— Bracia — mówili niektórzy — przy nas nie ma żadnej straży!

— Cicho bądź — odezwał się zgryźliwie Buran. Do czego potrzebna tutaj straż? Nawet bez jej opieki nie ujdiesz stąd. Wyspa jest wielka i dzika. Wszędzie tu można umrzeć z głodu. Wokoło wyspy morze — czy słyszysz?

I rzeczywiście. Wiaterek lekki powiał, latarni światło wachało się i przygasało, a głucho szmery płynące od morza, wydawały się jak mruczenie olbrzymiego jakiegoś zwierzęcia.

— Czy słyszysz jak wyje? — rzekł Buran, zbliżając się do Wasilego. To nieszczęście i nędza — woda otacza nas dokoła. Musimy przepłynąć przez morze — ale do portu trzeba się zbliżyć daleką drogą — od strony łąk i lasu i po za kordonem wojskowym. Ciężko mi bardzo na sercu; nieszczęście zapowiada zawsze morze. Nie ujdę już z Sachalinu... Jestem stary. Dwa razy uciekałem; raz złapano mnie w Błagowieszczeńsku, drugi raz w Rosji — i znowu jestem tutaj — los przeznaczył mi, abym tutaj wyzionął nareszcie ducha.

— A może i nie — rzekł Wasili, dodając mu odwagi.

— Ty jeszcze jesteś młody — ja już stary i słaby. Słuchaj tylko, jak straszliwie, jak złowieszco huczy morze!

V.

Z siódmych koszar przeprowadzono aresztantów dawnych, nowoprzybyli zaś weszli i zajęli swoje miejsca, gdzie kto mógł. Aresztanci przywykli do straży,

do kajdan, wnet rozbiegli się po wyspie w różne strony, jak owce wypuszczone z owczarni.

Ci, którzy już dłużej przebywali na wyspie, nie przyłączyli się do nich; i nowi też elewi wyspy po bliższym sprawdzeniu miejscowych warunków przekonali się, że ucieczka z wyspy byłaby zuchwałym wybrykiem i nierozsądnym przedsięwzięciem, grożącym niechybną śmiercią; więc w ucieczce postanowili wziąć udział tylko ludzie żelaznego charakteru i woli. Zamknięcie tutaj jest zupełnie zniesione, a nowicyusze korzystają z tego i uciekają gromadami z koszar i potem pochwyceni, cierpią straszliwe kary.

— No, Buranie, teraz radź, rzekł Wasili, zwracając się do starego, na trzeci dzień po przybyciu do Sachalinu. Jesteś pomiędzy nami najstarszym, musisz zatem przodować nam i wydawać rozkazy. Postaramy się naprzód o konieczne zapasy na drogę.

— Co tu radzić, odpowiedział Buran głosem zgnębionym. Trudno — mój wiek jest temu na przeszkodzie. Rozważ tylko sam, za dwa dni partjami wyszłą nas na robotę, więc i tak zdarza się nam wszelka swoboda opuszczenia koszar; tylko pamiętaj sobie, że nas z workami nie wypuszczą. Zastanów się i rozmyśl, co w takim razie czynić wypada.

— Ty Buranie daleko lepiej tę rzecz obmyślić potrafisz.

Ale Buran nic się nie odezwał. Z nikim wcale nie wdawał się w rozmowę, tylko zamyślił się, a na jego twarzy zarysował się ból. Z każdym dniem stary włóczęga zdawał się coraz więcej upadać na siłach.

Jednakże Wasili podmówił do ucieczki dziesięciu silnych i młodych aresztantów, i starał się wszelkimi sposobami dodać Buranowi odwagi, ożywić go i nakłonić do przyjęcia udziału w tej niebezpiecznej

wyprawie. Być może, że uda się im doskonale, ale stary ciągle zaśłania się tem, że już jest niedoświadczony i że ma niewątpliwe a bardzo smutne przeczucia.

— Ja już nie ujdę z tej wyspy, powtarzał nieustannie. Czasami ożywiał się nieco i wtenczas opowiadał o dawnych dziejach leżąc na posłaniu, gdyż zwykle Wasili wieczorem badał starego co do środków i drogi, jaką mają się udać, aby nareszcie powiodła się ucieczka.

Port Dué leży na wschodniej stronie wyspy, zwrócony ku azyatyckiemu brzegowi. Odnoga ma blisko dwieście wiorst szerokości, tędy niepodobna przepłynąć zwykłą łódką, dlatego też zbiegi udają się w inną stronę wyspy. Wreszcie sama ucieczka z wyspy nie jest utrudniona.

— Można iść, gdzie się komu podoba, mówił Buran, jeżeli kto chce umrzeć; wyspa jest bardzo wielka, składa się ona z pola i lasu. Nawet tutaj urodzony, nie jest w stanie wszędzie mieszkać. Jeżeli pójdziemy na prawo, to możemy zabłąkać się między górami, w lesie za to łatwo bardzo stać się zdobyczą dzikich zwierząt, więc trzeba zatem trzymać się krańca wyspy, to jest strony morza. Na okręt także bardzo łatwo się dostać. Nam zaś pozostaje jedyna droga, to jest strona północna i do tego ciągle wzdłuż brzegu; morze będzie naszym przewodnikiem. Przejsć trzeba około trzystu wiorst, aby dotrzeć do samej zatoki, która w tamtem miejscu jest daleko węższą, i można się wówczas puścić łódką.

— Ale podam wam i to, mówił Buran w dalszym ciągu, że i tam jest trudno obejść kordon, gdyż znajduje się znaczna liczba żołnierzy na posterunku. Pierwszy kordon, nazywa się: »Warki«, przedostatni zaś »Pangi«, a ostatni »Pagiba« (po rosyjsku »za-trata, zaguba«), dlatego właśnie tak nazywana, bo

rzeczywiście naszym braciom tutaj grozi nieszczęście, stanowcza zguba. A bardzo chytrze urządzone są te kordony. Tam, gdzie droga załamuje się pod kątem, stoi posterunek tak ukryty umiejętnie, że niewie się prawie, jak się pada w objęcia żołnierza z bagnetem. Oby Bóg ustrzegł nas od czegoś podobnego.

— Wszak dwukrotnie tamtędy przechodziłeś i nie ci się nie stało, więc wiesz, jakie są środki uniknięcia podobnej zasadzki.

— Tak, to prawda, przechodziłem tamtędy, a w oczach Burana zabłyśł ogień młodzieńczy. Słuchajcie zatem, co wam powiem, i zastosujcie się do tego jaknajściślej. Wkrótce wyślą naszych ludzi do budowy młyna. Wtenczas można zaopatrzyć się także i w provizję, starajcie się zatem o jaknajwiększe zapasy. We młynie jest niejaki Pietrusza, jeden z dzielnych naszych ludzi, stamtąd dopiero ruszymy. W ciągu trzech dni wcale nie będą nas poszukiwać, bo już tutaj taki porządek że do trzech dni aresztant może nie stawić się do czytania listy, do apelu. Doktor zwalnia od kary, bo tutejsze szpitale są w najgorszym stanie. Jeżeli zaś kto zachoruje z przyczyny wysilenia się ze zbytnej pracy i nie może się ruszyć, to nie do szpitala, ale go wynoszą do lasu, aby się tam świeżem powietrzem sam wyleczył. Skoro po trzech dniach aresztant się nie zgłosi, jest uważany za zbiega. Gdyby zaś przypadkiem później powrócił, sadzają go na kozła.

— Co nam tam po kozle, my dzięki Bogu po trzech dniach już tu więcej nie pokażemy się, odparł Wasili.

— Jeżeli tu nie powrócisz po trzech dniach, odezwał się zgryźliwy Buran, to cię w lesie dzikie bestye rozszarpia na kawałki, albo zastrzelą żołnierze z kordonu. Oni sobie wcale nic nie robią z życia

ludzkiego — nie pozwolą nam nawet stu wiorst przejść swobodnie i rozprawia się z nami krótko: kulą lub bagnietem.

— Nie kracz złowrogo, nieszczęsny kruku. Jutro idziemy. Powiedz no Bobrów, czego nam potrzeba. »gmina« powinna nas zaopatrzyć.

Stary mruknął coś pod nosem i odszedł, a Wasili zapowiedział towarzyszom aby byli gotowi do drogi. Urząd pomocnika Starszego, złożył już oddawna i kto inny wybrany został na jego miejsce.

Zbiegi złożyli razem swoje pakunki, ubrali się w jaknajlepszą odzież i zameldowali się wszyscy jako robotnicy przy budowie młyna. Następnego zaś dnia minęli szybko młyn i weszli do lasu, tylko brakowało Burana.

Towarzysze dobrali się doskonale. Z Wasilim szedł jego przyjaciel, włóczęga imieniem Wołodia, który prowadził cały oddział. Makarów prawdziwy olbrzym, śmiały i zręczny, który już z kopalni dwukrotnie uciekał, szedł bokiem; dwóch czerkiesów, na wszystko zdecydowanych i wiernie trzymających się tej małej gromadki — kilku tatarów z natury nadzwyczaj ostrożnych i zdradzieckich, ale szczególnie zdolnych do podobnych wypraw, oto główny sztab — wreszcie kilku innych włóczęgów, którzy już całą Syberyę wzdłuż i wszerz przewędrowali.

Cały dzień zatrzymano się w lesie, a nawet przenocowano do rana, ale Buran wcale się nie pojawił. Wysłano tatara do koszar. Ostrożnie wsunął się do wnętrza i kazał przywołać Bobrowa, jednego z przyjaciół Wasilego. Używał on wielkiego wpływu i był powszechnie bardzo szanowany. Następnego dnia przyszedł sam do zebranych w lesie ¹⁾.

¹⁾ Ta swoboda aresztantów była łapką, zastawioną przez władzę na niedoświadczonych. (Przyp. tłum.).

— No, przyjaciele, w czym wam mogę być użyteczny, zapytał.

— Wyślij koniecznie do nas Burana. Bez niego nie możemy ruszyć ani kroku. Gdyby zaś potrzebował jakiego zapasu, wydziel mu tyle, ile możesz. Czekamy tu na niego.

Bobrów powrócił i przekonał się, że Buran wcale nie zrobił żadnych przygotowań. Chodził wokoło i mruczał jak niedźwiedź osadzony w legowisku.

— Dla czego się ociągasz Buranie? zawołał Bobrow.

— Co?

— Jak to, dla czego nie jesteś gotów?

— Wstąpić do grobu, jestem gotów każdej chwili. Bobrów rozgniewał się.

— Cóż to znowu? Już czwarty dzień ludzie siedzą w lesie i czekają na ciebie. Z twojej przyczyny spotkają ich niezawodnie knuty. Przecież jesteś takim starym, doświadczonym włóczęgą.

Stary zapłakał.

— O tak, tak już mój czas przeszedł... Ja już nie ujdę z tej wyspy. Jestem stary, za stary do dalszego życia.

— Czy jesteś stary, czy też za stary, to już twoja rzecz. Choćbyś pod koniec ucieczki lub w czasie drogi umarł, nikt ci nie uczyni żadnego wyrzutu; ale że jedenastu ludzi oddajesz, a nawet już jakbyś oddał ich pod ciosy knuta, to się nie przebacza. Dostę mi będzie o tem zawiadomić »Gminę« a pewno wiesz co cię za to czeka.

— Wiem, odpowiedział Buran, i zasługuję na to. Więc trudno, cokolwiek się stanie, muszę tam pójść do nich, tylko nic a nic jeszcze nie przysposobiłem.

— Otrzymasz wszystko, co ci potrzeba, natychmiast. Co ci potrzeba?

— Naprzód przynies dwanaście nowych kitłów.

— Przecież ludzie je mają.

— Słuchaj tego, co ci mówię, rzekł surowo Buran. Wiem, że każdy z nich ma kitel, ale też każdy potrzebuje takich kitłów dwa. Jeden dla siebie a drugi na konieczny podarunek dla krajowców, którzy w zamian dostarczą łodzi. Nakoniec potrzeba mi dwanaście dobrych noży, dwa topory i jeden kocioł.

Bobrow przywołał członków gminy i oświadczył im o co idzie.

Kto miał zbywający kitel, oddał dla uciekających. Solidarność aresztowanych nadzwyczajna — każdy z nich instynktowo objawia sympatię dla współtowarzyszy, a każde ryzykowne przedsięwzięcie znajduje w ich sercu radosne odbicie, bo przecież ci ludzie pragną przemocą wydobyć się na wolność. Co do kotła i nożów, te łatwo otrzymali od osiedleńców już to w podarunku, już to za drobną kwotę pieniędzy.

VI.

Od czasu przybycia na wyspę upłynęło już trzynaście dni.

Nazajutrz Bobrow poprowadził Burana do lasu i przyniósł ze sobą żądane przedmioty. Zbiegi zmówili zbiorowo modlitwę, pożegnali się z Bobrowem i ruszyli w drogę.

* * *

— I cóż zapytałem mojego gościa, czy ta chwila zbliżająca was do upragnionej swobody, przyjemnie oddziaływała na pana?

— Nie tylko oddziaływała, ale zbudziła we mnie gwałtowne pragnienie wydostania się z wyspy jak-

najprędzej. Skoro wydobyliśmy się z niskich krzaków i dostaliśmy się do lasu, szum drzew wywołał radość powszechną, zdawało się żeśmy dopiero na świat się narodzili. Wszyscy byli ucieszeni jak małe dzieci, tylko Buran szedł z pochyloną głową, coś tam mrużąc do siebie niezrozumiale. Jego serce przeczuwało, że niezbyt daleko stąd odejdzie.

Wnet też spostrzegliśmy, że nasz przewodnik, nie posiadał w pewnym względzie tych warunków, jakich po nim spodziewaliśmy się. Był to wprawdzie doświadczony *bradiaga* i dwa razy już z tej wyspy uciekał, znał doskonale drogę, a jednakże ja i mój przyjaciel Wołodia poczęliśmy wątpić, czy rzeczywiście jest on stanowczym i dzielnym kierownikiem.

— Uważaj tylko, rzekł Wołodia, żeby nas przypadkiem z powodu tego Burana jakie nieszczęście nie spotkało; mnie się zdaje, że z nim i z jego głową jakoś niedobrze.

— Jak to?

— Zdaje się nie być przy zdrowych zmysłach — mówi ciągle sam do siebie, potrząsa i kiwa głową, a wcale żadnych nie wydaje rozkazów. Już oddawna powinniśmy odpocząć, a on tymczasem ciągle prowadzi dalej. Nie, nie, temu człowiekowi zdaje się, ani rozum ani dobra chęć nie dopisuje.

I mnie też tak samo się zdawało. Przystąpiliśmy tedy do Burana i zapytali:

— Ojczulku, jakże ty myślisz, czy nie pora byłaby odpocząć nieco?

Odrzucił się, popatrzył na nas chwilę i znowu rzekł dalej.

— Poczekaście, rzekł w końcu, cóż wam tak pilno do odpoczynku. U *Warki* lub *Pagiba* czekają na was kule karabinu. Wtedy będziecie mogli odpocząć.

— Bodaj go!... Nie chcieliśmy się jednak z nim sprzeczać i przekonaliśmy się wreszcie, że nie mieliśmy najmniejszej słuszości — pierwszego dnia trzeba było koniecznie spieszyć, iść o ile siły starczą i nie myśleć zgoła o spoczynku.

Przeszliśmy znowu dość daleką przestrzeń, kiedy znowu Wołodia trącił mnie łokciem.

— Słuchaj Wasili — wcale nie tak jest, jak on mówi.

— Dlaczego?

— Do Warki, mówią, jest tegich dwadzieścia wiorst. Myśmy niewątpliwie już uszli co najmniej ośmnaście. Żebyśmy tedy przypadkiem nie dostali się w ręce kordonu.

— Buran! Buran! zawołaliśmy obadwa.

— Cóż tam nowego?

— Do *Warki*, zdaje się już niedaleko.

— Owszem jeszcze dość daleko, odpowiedział i szedł dalej.

Tutaj o mały włos nieszczęście nas nie spotkało; jedynym ratunkiem było to, że ujrzelśmy łódkę na wodzie przy brzegu. Ujrzawszy ją wszyscy raptem zatrzymaliśmy się. Makarów siłą zatrzymał Burana.

— Jeżeli jest tam łódka, to i ludzie być muszą, pomyśleliśmy w duchu. Cicho, bracia, co żywo ukrywamy się w gęstwinie lasu.

Weszliśmy w głąb, gdyż dotąd szliśmy ciągle nad brzegiem. Po obu stronach rzeki ciągnął się las. Podczas wiosny całą wyspę osłania mgła i w tym też dniu pokrywała całą przestrzeń.

Kiedyśmy się nareszcie wdrapali na górę i doszli aż do jej szczytu, zerwał się w dolinie wiatr i zaczął przepędzać mgłę ku morzu. Wtedy ujrzelśmy wyraźnie cały kordon, obozujący od nas na długość zaledwie kilku sążni; żołnierze przechadzali się

po podwórzu zabudowania, psy węszyły... ale warta spała... Wszyscy na ten widok odetchnęliśmy swobodniej, nie wiele bowiem brakowało, a byłibyśmy sami, dobrowolnie, wpadli w paszczę wilka.

— Cóż ty na to Buranie? Przecież to kordon.

— Tak jest — to są »*Warki*«.

— Więc, kochany Buranie, nie gniewaj się, jesteś pomiędzy nami najstarszy, ale mimo to będziemy musieli teraz sami o sobie pamiętać. Z tobą, Bóg wie dokąd doszlibyśmy i może nawet gdzie popadli.

— Bracia — rzekł — przebacście mi, jestem stary. Od czterdziestu lat ciągle się błąkam; nie mogę już tak działać jak dawniej. Niekiedy zupełnie mi opuszcza pamięć, nie jedno już zupełnie zapomniałem. Przebacście mi! Teraz musimy stąd jaknajprędzej oddalić się, inaczej natkniemy się tu na kogo z kordonu albo też pies zwącha naszą tu obecność a wtedy... wtedy... Boże uchowaj nas!

Poszliśmy dalej. W drodze uradziliśmy mieć na oku Burana. Mnie też ludzie wybrali na przewodnika.

Oznaczyłem zaraz miejsce naszego odpoczynku i rozdzieliłem rozkazy — Buran zaś żądał abyśmy szli dalej bo znał doskonale drogę. Włóczęgi mają silne i zdrowe nogi, całe ciało może umrzeć, ale nogi nie tracą nigdy swej sprężystości. Aż do końca swego życia Buran wybornym był piechurem.

Po większej części przesuwaliśmy się ścieżkami w górach, wprawdzie droga była trudna, mozolna, ale dająca więcej bezpieczeństwa niż w dolinie, — na górach szumiał tylko las, szemrały przyjemnie górskie potoki i pędziły w podskokach po złomach kamienistych. Osiedleńcy i krajowcy mieszkają w dolinach, na brzegu rzek i morza, gdzie po największej części żyją z połowu ryb, których olbrzymią ilość znajdują

przy brzegu morskim. My sami łowiliśmy ją rękami, taka tam tego mnogość.

Tym sposobem szliśmy coraz dalej, a zawsze tuż nad brzegiem morza.

Gdzie nie groziło niebezpieczeństwo, schodziliśmy aż na sam brzeg i szli dalej, skoro tylko jednak wydało się nam, że tu nie bardzo bezpiecznie, powracaliśmy znowu na ścieżki górskie. Kordon omijaliśmy z wielką bacznością i ostrożnością — było ich mnóstwo, oddalonych jeden od drugiego co dwadzieścia lub pięćdziesiąt wiorst. Nic zgoła ich obecności nie zdradzało. Tylko Bóg strzegł nas od pochwycenia, bo byłibyśmy zginęli do ostatniego...

* * *

Opowiadający zatrzymał się. Po niejakej chwili powstał.

— Cóż się dalej stało? — zapytałem.

— Muszę wyrzec, co się dzieje z moim koniem. Trzeba go już rozkiełzać.

Wyszliśmy obadwaj na podwórze. Mróz nieco zelał, spadła tylko mgła. Włóczęga spojrział w niebo.

— Gwiazdy stoją wysoko — już północ minęła.

Teraz można było doskonale rozpoznać inne namioty, ponieważ mgła na dalszą odległość wcale nie tamowała widoku. Wszystko spało. Białawe obłoczki dymu płynęły powoli w powietrzu, czasami zaś z kominu wydobywała się rozrzucona iskra, i pryskając gasła.

Jakuci palą w piecu całą noc, ale ciepło nie trwa długo i dla tego pierwszy, który się ze snu zbudzi, dokłada zaraz polana świeże do pieca.

Włóczęga stał pewien czas w milczeniu, rozpatrując się w całej osadzie, potem westchnął.

— Oto jest osada, sadyba. Już dawno takiej nie widziałem. Jakuci nie mieszkają grupami, ale pojedynczo. Czy nie wypadłoby tu się przenieść. Tu może na nowo odżyłbym i przyzwyczaił się.

— Alboż tam u siebie nie przywykłeś pan jeszcze do miejsca? Wszak posiadasz własne gospodarstwo. A przytem słyszałem z ust pana, że jesteś zadowolony ze swego losu.

Nie odpowiedział zaraz.

— Nie mogę! Bodajbym był tej okolicy nigdy nie widział.

Przystąpił do konia, obejrzał go, poklepał. Rozumne zwierzę spojrzało na niego wesoło i zarżało.

— Dobrze, dobrze, — mówił Wasili pieszcząc go — poczekaj, uwolnię cię od siodła i uzdeczki. Idź koniku, tylko mię jutro nie naraż na jaką nieprzyjemność. Jutro mam z tatarami ścigać się o lepsze. Koń jest doskonały, ujeździłem go należycie. Mogę śmiało pójść w zawody z każdym biegunem. Prawdziwy wicher.

Zdjął uzdeczkę i poprowadził konia do siana. Powróciliśmy do namiotu.

VII.

Twarz Wasilego zatrzymała wyraz zgryźliwy. Zapomniał zdaje się o swoim opowiadaniu, czy też nie chciał dalej opowiadać. Przypomniałem mu, że jestem bardzo ciekawy końca.

— Cóż mam tedy opowiadać... Właściwie nie wiem... Przebyliśmy dużo złego... Ha! wreszcie kiedy już zacząłem, muszę dokończyć.

Tak szliśmy dwanaście dni z rzędu a jednak nie dosięgliśmy jeszcze krańca wyspy, chociaż już ósme-

go dnia moglibyśmy byli przeprowić się na drugą stronę. A wszystko z obawy niebezpieczeństwa i dla tego że nie mieliśmy dobrego przewodnika. Zamiast iść brzegiem po płaszczyźnie, wdrapywaliśmy się na góry i skały, przedzieraliśmy się przez przepaści, wąwozy, doliny i bagna. Nawet już nasze zapasy poczęły się wyczerpywać, jakkolwiek przygotowaliśmy je na kilkanaście dni. Należało tedy zmniejszyć racje — suchary wydzielaliśmy bardzo oszczędnie, każdy musiał zaspakajać głód, czem zdołał, jagód tu rosło mnóstwo. Tak powoli dotarliśmy do niewielkiej zatoki, nazwanej *Limaniem*. Woda w nim pospolicie jest słona, tylko wtenczas, kiedy z Amuru napłyńie odpowiedni prąd wody, jest zdolną do picia. Tu trzeba było postarać się o łódź, dla przepłynięcia rzeki Amuru.

Złożyliśmy tedy radę, jakim sposobem zdobędziemy tak potrzebną łódkę. Zapytywaliśmy Burana, jak sobie w tym razie począć. Lecz on zupełnie był zbity z tropu, spojrzenie miał mgliste, czuł się znudzonym i osłabionym. Nie mógł więc udzielić nam żadnej rady.

— U krajowców możnaby dostać łódź — rzekł.

Gdzie jednak ci krajowcy mieszkali i w jaki sposób można dostać od nich łódź, on sam nie wiedział.

Wtedy ja, Wołodia i Makarów przemówiliśmy do reszty naszych towarzyszy:

— Zaczekajcie tu na nas, a my pójdziemy brzegiem rzeki, to może napotkamy kogo z krajowców i przyjdziemy do posiadania jednej lub więcej łodzi.

Zgodzili się chętnie, a my we trzech udaliśmy się do złomu skały, przy którym jakiś człowiek naprawiał liny okrętowe. Bóg zesłał nam »*Orkuna*«.

— Co to jest Orkun? Czy to imię?

— Nie wiem. Być może że się tak nazywał. Domyślam się, że to miano właściwie znaczy naczelnika krajowców. Nie wiedząc o tem, zbliżyliśmy się powoli i z wielką ostrożnością, ażeby go nie przerazić a tem samem i nie zmusić do ucieczki. Następnie przystąpiliśmy szybko, lecz skoro nas ujrzał, zaczął wołać: »*Orkun! Orkun!*« Nie rozumieliśmy go wcale, więc staraliśmy się na migi wytłumaczyć, czego potrzebujemy. Wołodia wziął kij do ręki i ukazał łódź, stojącą na mieliźnie, co miało znaczyć, że tego właśnie nam potrzeba.

Nieznajomy zamyślił się i pojął wreszcie, bo zaczął nam ukazywać na palcach, dwa, pięć, dziesięć. Długo my znowu nie domyślaliśmy co to znaczy, aż wkońcu Makarow odgadł.

— Bracia — rzekł — on chce dowiedzieć się, wielu nas jest, aby wedle tego dać nam łódź.

— Rzeczywiście tak było. Pokazałem mu, że jest nas dwunastu. Zrozumiał. Zaczął znowu dawać znaki, a te już były wyraźniejsze, po prostu żądał aby go zaprowadzić do naszych towarzyszy. Z początku wachaliśmy się, ale nie było innej rady. Cóżbyśmy zresztą zrobili; piechotą nie podobna przebyć morza. Zaprowadziliśmy go tedy gdzie żądał.

Nasi towarzysze na ten widok poczęli mruczeć niechętnie i rzucili nam pytanie:

— Dlaczego sprowadziliście tego człowieka? Czy dlatego, żeby zdradził nasze obozowisko?

Zawołałem:

— Nie obawiajcie się niczego i uspokójcie się.

Nieznajomy wyraźnie zdradzał obawę i tylko dotknął ręką kitla jednego z nas.

Daliśmy mu kilka zbywających, zarzucił je sobie na ramię i poszedł w dół. Towarzyszaliśmy mu

naturalnie. Na dole ujrzelismy namioty jego towarzyszy, w rodzaju małej wioski.

— Cóż tedy będzie? wołali nasi ludzie. Poszedł do wsi i przywoła swych ziomków.

— Nic to nam nie zaszkodzi — odpowiedzieliśmy. Cała wieś składa się z namiotów dwóch lub czterech, nic nam zatem nie zrobią. Nas jest dwunastu, a przytem posiadamy wielkie, długie na trzy ćwierci noże... Czy mogą się mierzyć z nami. Żyją i karmią się rybą, gdy tymczasem Rosyane jedzą mięso.

Przyznam się jednak, że doznawałem pewnego niepokoju. Znajdowaliśmy się na krańcu wyspy — czy będzie tedy nam dozwolonem przepawić się tam na drugą stronę Amuru, tam, gdzie niebieszczaje w oddali jej brzeg. Jakże wówczas zazdrościłem ptakom ich skrzydeł.

Czekaliśmy niejaki czas, aż w końcu znaczna liczba krajowców ze spisami w ręku, na czele z Orkunem, zbliżyła się do nas.

— Patrzcie, mówili nasi ludzie, oto idą przeciwko nam. Żywcem nie poddamy się. Kto padnie w boju, temu widać taki los był sądzony. Wytrzymajmy ich czas niejaki i pojedynczo niech jeden drugiemu pomaga. Dalej bracia szeregujemy się, ramię do ramienia i śmiało, odważnie...

Wcale nierozsądnie podejrzewaliśmy tych ludzi. Kiedy Orkun zobaczył, że mu nie dowierzamy, wówczas wziął od jednego ze swoich spisę i podał ją jednemu z naszych do potrzymania. Wówczas przekonaliśmy się, że nie żywią względem nas złych zamiarów. Ludzie jego zaś potem zwrócili się do miejsca, w którym stały łodzie i wyciągnęli dla nas dwa statki, które zaraz zepchnęli na wodę. Jedną łódź wielką, w której pomieścić się mogło ośmiu ludzi, drugą mniejszą dla czterech.

— Posiadaliśmy zatem już łodzie, ale o przepłynięciu na drugą stronę mowy być nie mogło, zerwał się bowiem wielki wicher, fale wzburzone obijały się o brzegi z hukiem, niepodobna zatem puścić się na wodę w tak wątplych czółnach.

Czekaliśmy tedy dwa dni, dopóki wiatr nie ustał. Tymczasem nasze zapasy zupełnie się wyczerpały i żywiliśmy się rybami i jagodami. Orkun był to dobry człowiek, on to nam dostarczał pożywienia. Niech mu to Bóg nagrodi, — często bardzo przychodzi mi on na myśl.

Siedzieliśmy więc bezczynnie na wyspie. Jak nas to drażniło i przygnębiało, trudno wypowiedzieć. Minęły dwa dni, nastąpiła noc a nazajutrz znowu ten sam nieznosny wiatr. Ta strona, do której udawaliśmy się, dziwnym czarem przywabiała nas ku sobie — wiatr zupełnie wodę oczyścił z mgły, doskonale więc widzieliśmy przeciwny brzeg.

Buran siadywał całemi godzinami na skale, wpa-trując się w przeciwny brzeg, prawie oczów z niego nie spuszczał. Nie wstawał i nie zbierał jagód, z li-tości przynosił mu je to jeden, to drugi towarzysz. Włóczędze widocznie dokuczały wspomnienia przeszłości, czy też rzeczywiście przeczuwał bliską swoją śmierć.

Nakoniec tego już wyczekiwania było za wiele, postanowiliśmy tedy następnej nocy, bądź co bądź, wyruszyć stąd koniecznie. We dnie niepodobna było tego uczynić z obawy, aby nas nie dojrzał kordon wojskowy, noc była daleko bezpieczniejsza, a Bóg może łaskawie pozwoli nam przepłynąć. Z Jego pomocą i opieką nie zatoniemy. Wiatr jeszcze ciągle przepędzał fale, które z całą wściekłością rozbijały się o skaliste brzegi — biała piana pokryła całą przestrzeń morza, jak okiem zasięgnąć.

— Chodźcie bracia, trzeba nam wypocząć — rzekłem — księżyc zejdzie na niebo o samej północy — wówczas puścimy się w drogę. Trzeba się nieco przedrzemać, bo potem spać nie wolno, i musimy skrzepić osłabione siły.

Ludzie posłuchali mojej rady i udali się na spoczynek. Wyszukaliśmy sobie zaciszny kącik tuż przy skale, z góry nikt nas nie mógł dojrzeć, z boku zaś zakrywały nas drzewa. Tylko Buran nie położył się, ale patrzył nieustannie ku wschodowi. Kiedy położyliśmy się, słońce już zniżało się, ale do wieczora jeszcze było daleko. Przeżegnałem się i położywszy się słyszałem jak ziemia jęczała, jak w lesie coraz silniej szumiało; wtem zasnąłem.

Ani domyślaliśmy się, jakie godziło nam niebezpieczeństwo.

Ocknąłem się usłyszawszy wezwanie cichym głosem Burana.

Otrząsałem się ze snu i obejrzałem po za siebie.

— Wstawaj — rzekł Buran — oni tam już są i napowrót nas do koszar zabiorą.

Spojrzałem w krzaki: Żołnierze!

Pierwszy, który był najbliżej nas, zmierzył się z karabinu, drugi zaś tuż biegł za nim, z góry schodziło trzech i wzięli na cel całą naszą gromadę. Natychmiast zerwałem się wołając na swoich. Zaledwie pierwszy żołnierz wystrzelił, rzuciliśmy się na niego.

Nadzwyczajne wzruszenie zatamowało mowę opowiadającemu.

Opuścił głowę na piersi, w namiocie panował półcień, gdyż włóczęga w zapale opowiadania zapominał dołożyć drzewa do ognia.

— Na co się to wszystko przyda — rzekł — niepotrzebnie panu opowiadam i sam przypominam sobie te okropne rzeczy, tę straszliwą przeszłość.

— Dokończ pan jednak, jeżeli chcesz choćby krótkimi słowy, prosiłem. — Cóż dalej?

— Dalej? Ich było sześciu a nas dwunastu. Chcieli nas pochwycić we śnie, gdy tymczasem oprzytomnieliśmy prędko... Mieliliśmy długie noże... Żołnierze strzelali z pośpiechem i dla tego chybiali. W biegu z góry, nie mogli się zatrzymywać, a my zaś czekaliśmy na nich gotowi...

— Tak, dodał głosem bolesnym, spoglądając na mnie... — niepodobna im było nabić broni powtórnie. Bronili się bagnetami, my zaś rzucaliśmy się na żołnierzy jak wściekłe wilki.

Jeden z żołnierzy skoczył do mnie z bagnetem, ale mnie tylko lekko drasnął w nogę — potknąłem się i upadłem, on na mnie. W tej walce na pięści dopomógł mi Makarów... wówczas spadło na moją twarz coś ciepłego, ja i Makarow powstaaliśmy, żołnierz zaś leżał bez duszy...

Obejrzałem się dokoła — dwóch z nas wstąpiło na skały, tu stał również *Saltanów* komendant kordonu. Znany on był na całej wyspie jako postrach więźniów, nienawidzili go nie tylko aresztanci, ale nawet i krajowcy — nie jeden z naszych poniósł śmierć z jego ręki... Teraz on sam został zagrożony niebezpieczeństwem.

Z nami było dwóch czerkiesów, odważnych i podstępnych, a zręcznych jak koty. Jeden z nich skoczył ku Saltanowi, zetknęli się obaj na samym środku skały.

Saltanów strzelił do niego z rewolweru, czerkies nachylił się i obaj upadli — drugi czerkies sądząc, że jego towarzysz zabity, popędził tam z wściekłością. Zaledwie zdołaliśmy spojrzeć, gdy już Saltanów miał głowę odciętą.

Czerkies skoczył, a trzymając w rękę głowę znieprawdzonego komendanta, wyszczerzył tylko zęby jak

tygrys po zduszeniu swej ofiary. Coś zaczął mówić i głośno wykrzykiwać w swoim narzeczu; zapewne było to chlubienie się zwycięstwem. Potem pobiegł dalej i z wielkim zamachem rzucił głowę Saltanowa do morza.

Tylko jeden jeszcze żołnierz pozostał na skale. Wnet jednak odrzucił od siebie karabin, a zakrywając twarz rękami, uciekł. Nie goniliśmy go, mówiąc:

Bóg z tobą, ratuj się, kiedy możesz.

On jeden tylko pozostał przy życiu z całego kordonu; dwudziestu żołnierzów stanowi kordon zwyczajny, trzynastu z nich głównie zajmuje się przygotowaniem zapasów, i tych trzynastu nie było, bo przewieźli się na drugą stronę, celem zebrania potrzebnych dla załogi zapasów; resztę z nich, to jest sześciu, wymordowaliśmy co do nogi.

Wszystko zatem zostało uporządkowane, szczęśliwie uprzątnięte i, gdyby nie wiatr, już nie mielibyśmy żadnej przeszkody do dalszej wędrówki.

Cała ta walka tak była niespodziana, że pytaliśmy się siebie wzajemnie: Co to właściwie było? Czy rzeczywistość, czy marzenie?

Nagle, tuż po za sobą, usłyszeliśmy, jak Buran jęczał.

Nieszczęśliwego włóczęgę właśnie trafił pierwszy strzał. Tylko krótko cierpiał; skoro zaszło słońce, wyzionął ducha.

Przybliżyliśmy się do niego.

Siedział pod modrzewiem, przyciskając ręką piersi, w oczach miał łzy.

Przywołał mnie do siebie:

— Każ ludziom wykopać dla mnie grób. Wy nie możecie teraz płynąć i musicie czekać do nocy, ażebyście znowu nie spotkali się z żołnierzami na morzu. Pochowajcie mnie prędko na miłość Boga!

— Co ty pleciesz Buranie — odpowiedziałem. — Alboż to można żywego człowieka schować do grobu. Zabierzemy cię ze sobą na drugą stronę, zaniesiemy cię na rękach... Cóż ty sobie myślisz?

— Nie, swego losu nikt nie ujdzie, — odparł starzec; — mnie sądzono było ponieść śmierć tutaj i być pochowanym na wyspie. Moje serce już to dawno przeczuwało... W ciągu całego życia ciągnęło mnie coś z Syberyi do Rosyi, ach! żebym był raczej skonał na sybirskiej ziemi, niż tutaj, na tej straszliwej wyspie...

Dziwiła mnie niezmiernie ta jakaś dziwna zmiana w Buranie. Mówił rozsądnie, tylko głosem słabym. Przywołał nas wszystkich i udzielił rady:

— Słuchajcie przyjaciele — rzekł — co wam powiem i zachowajcie to w pamięci. Wy teraz musicie bezemnie przejść Syberję, bo ja tu już pozostanę. Wasza sprawa teraz źle stoi, źle, bardzo źle, a to tem gorzej jeszcze, że Saltanów został zabity. Wieść o tem szybko się rozejdzie po całej wyspie, dowiedzą się nie tylko w Irkucku, ale i w całej Rosyi.

W Nikołajewsku będą na was czekać. Słuchajcie mnie przyjaciele, bądźcie ostrożni — raczej cierpcie głód i chłód, a unikajcie wsi i miast. Krajowców nie potrzebujecie się obawiać, oni wam krzywdy nie uczynią. Przypomnijcie sobie to wszystko, com wam mówił poprzednio podczas drogi. W pobliżu miasta Nikołajewska leży mała sadyba; tam mieszka nasz dobroczyńca, rządca kupca Tarchanowa. Poprzednio prowadził on handel tu na wyspie z krajowcami, raz jednak zabląkał się w górach ze swoim towarem. Otóż wówczas, korzystając z tego, napadli go krajowcy i byliby niewątpliwie zamordowali, gdyby nie szczególny traf. Przechodziliśmy właśnie wtedy ze swoimi towarzyszami i tego pocziwego człowieka obronili. Wówczas pierwszy raz uciekałem z Sachalinu.

Odtąd stale wywdzięczał on się nam swoją pomocą i opieką.

— Aż do końca mego życia — mówił — będę się starał nieść pomoc ludziom z Sachalinu. I rzeczywiście, dotąd daje dowody swej wdzięczności zbiegom nieszczęśliwym. Starajcie się go odszukać i z nim zobaczyć, a jestem pewny, nie pożałujecie tego.

W ten sposób starzec udzielił nam wszelkich co do dalszej drogi wskazówek i rad, a nakoniec dodał:

— No, bracia kochani, nie macie już czasu do stracenia. Ty, Wasili, nakaz ludziom, aby mi na tem miejscu przygotowali ostatnie moje mieszkanie, tu będzie najlepiej. Wiatr przynajmniej owieje moją mogiłę i przyniesie wieści z tamtej strony, a fale uderzą o mój grób, jak wspomnienie przeszłości. Nie ociągajcie się i zabierzcie się do roboty.

Byliśmy posłuszni.

Starzec siedział pod drzewem, a my tymczasem kopaliśmy grób dla niego. Skończywszy, zmówiliśmy pacierz. Starzec siedział spokojnie, poruszał lekko głową, a łązy dwoma strumieniami spływały mu po twarzy.

Gdy słońce skryło się za góry, wyzionął ducha, a skoro już pociemniało, usypaliśmy mogiłę.

Za chwilę wypłynęliśmy na morze, księżyc poczynął już świecić. Obejrzelśmy się po za siebie i odkryliśmy głowy... Po za nami wznosiły się szczyty gór Sachalinu, nad brzegiem skalistym ciemniał mordercz, a pod nim rysowała się mogiła Burana.

VIII.

Przybywszy na stronę sybirską, dowiedzieliśmy się, że już nawet krajowcom znana była okropna

śmierć komendanta Saltanowa; wiadomość ta prawdziwie na skrzydłach wiatru rozeszła się dokoła. Zastaliśmy krajowców przy połowie ryb. Poruszali oni głowami i szczerzyli zęby, zapewne wiadomość ta ich radowała.

Obdarzyli nas rybami, wyjaśnili niektóre szczegóły co do dalszej drogi i poszliśmy dalej. Zdawało się, że stąpamy po rozpalonych węglach, bo każdy szelest przejmował nas śmiertelną trwogą, mijaliśmy zdała każdą sadybę, unikaliśmy wszelkich spotkań i zacieraliśmy ciągle pozostające po nas ślady. Było to coś okropnego, wędrówka, od której stawały dębem włosy na głowie!

We dnie po największej części wypoczywaliśmy w lesie; nocą szliśmy dalej.

Do sadyby Tarchanowa dotarliśmy z brzaskiem dnia. Stała ona w lesie, otoczona dokoła wysokim parkanem, świeżo zbudowanym. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa była to ta sama sadyba, o której mówił nam Buran.

Zbliżywszy się, zapukaliśmy do drzwi. Zapalono zaraz wewnątrz światło i rozległ się głos:

— Kto tam?

— Włóczęgi, przynoszący pozdrowienie od Burana — odpowiedzieliśmy.

Wówczas zarządcą był ten sam Stachei Mitricz, ale właśnie pod tę porę wyjechał, pozostawiwszy swego pomocnika z poleceniem, że gdyby zbiegi z Sachalinu przybyli, ma każdemu z nich wydzielić po pięć rubli, po parze butów, jednym kozuchem, dać bieliznę i zaopatrzyć w prowizję, ile tylko jej będą potrzebowali.

— Daj im wszystkim, wielu ich będzie — mówił — zwołaj robotników, ażeby to działa się w ich obecności i żeby później mogli to oni stwierdzić.

I tu także już wiadano o śmierci Saltanowa. Skoro nas zobaczył pomocnik rządcy, widocznie prze-raził się.

— Ach, bracia — zawołał — czy to wy zamor-dowaliście Saltanowa — będzie źle z wami, będzie bardzo źle!

— Wszystko nam jedno, czy będzie źle, czy do-brze, to już do nas należy. Czy przypadkiem pan rządcza nie zostawił jakich poleceń i czy możemy spodziewać się jakiej pomocy? Właśnie Buran przy-sła nas z pozdrowieniem do Stachei Mitricza.

— Gdzież jest Buran? Czy jeszcze na Sachalinie?

— Tak, na Sachalinie, leży pogrzebany.

— Niechże Bóg ma miłosierdzie nad jego du-szą. Był to dobry człowiek, uczciwy, honorowy... Stachei Mitricz bardzo często o nim wspomina. Za-pewne każe za jego duszę msze odprawiać. Jak się on nazywa właściwie, czy wiecie?

— Nie, wcale nie wiemy. Buran, to jego stałe nazwisko pomiędzy nami. Być może, że sam już za-pomniał o swoim nazwisku — włóczęga nie potrze-buje mieć żadnego.

— Tak to bywa, bracia! — życie takie smutne, bardzo smutne. Choćby pop chciał odprawić mszę za spokój jego duszy, to i jakże to urządzić, kiedy nie będzie wiedział, jak się nazywał za życia. Zmarły zapewne miał swoją ojczyznę, krewnych, braci i siostry, a może nawet i dzieci.

— Naturalnie, że mógł mieć, ale kiedy poszedł na włóczęgę, zerwał wszelkie stosunki z krajem ro-dzinnym, ze wszystkimi.

— Smutne, okropne życie, prowadzicie moi bracia.

— Czy może być coś smutniejszego? Jemy to, co nam rzuci jałmużna, lub szlachetne serce obda-rzy; nosimy i ubieramy się w to, co nam podarują,

a skoro przyjdzie śmierć, umieramy, nie mając po-grzebu — oto pierwszy lepszy dół — i rzecz skończona. Gdy śmierć zaskoczy nas w lesie, stajemy się zdoby-czą dzikich zwierząt, a kości nasze wybielają pro-mienie słońca. Smutne życie, smutne, lecz któż temu winien, że *Brodiaga* to zwierz dziki, którego ściga nie tylko legalna władza, ale każdy człowiek, osiadły stale na Syberyi?

Pomocnik odczuł litość, opowiadanie nasze wi-docznie go wzruszyło do głębi serca, bo i my też opowiadaliśmy o swym losie drżącym głosem.

On wkrótce, ziewając, spocznie w ciepłym, wy-godnym łożu, my zaś musimy iść dalej, błąkać się w ciemnym lesie i ukrywać starannie przed ludzkim okiem, jak zarażeni dżumą, jak widma, straszące po nocy, przy świetle księżyca.

— No, bracia, muszę już udać się na spoczy-nek. Dam wam od siebie po *połtynniku* (pół rubla) dla każdego, a przytem dostaniecie i to, co wam mój pan dać kazał, i idźcie z Bogiem. Nie przywołam ro-botników, mam ich tylko trzech, oni i tak uwierzą i później moje słowa potwierdzą. Tylko robię to dla tego, żeby na własną i ich głowy nieszczęścia nie sprowadzać.

Posłuchajcie mojej rady, nie idźcie do Nikoła-jewska, bo tam mieszka naczelnik powiatu, człowiek surowy, okrutny i sędzia nieubłagany. Rozkazał on wszystkich podróżnych zatrzymywać, gdzie się tylko który pokaże. »Nie pozwolę nawet wronie przefrunąć przez miasto — wołał — nie przejdzie tędy nawet zając, a cóż dopiero zbieg z Sachalinu!«

Będzie to cudem prawdziwym, jeżeli się wam powiedzie uniknąć zasadzki. Pamiętajcie, mijajcie sa-dyby, wsie i miasta.

Poczem rozdzielił pomiędzy nas wszystko, dawawszy od siebie po pół rublu, przeegnał nas i odszedł do siebie, zamknawszy drzwi. Światło wkrótce zagasło i w całej sadybie zapanowała grobowa cisza.

Do dnia jeszcze było daleko. Szliśmy tedy dalej a na naszych duszach leżał ciężar straszny, wszyscy nie mogliśmy opędzić się smutnym przecuciom.

Rzecz to zwykła. Duszę każdego włóczęgi ugniata zawsze niczem niepokonany smutek. Otacza go zawsze noc, ciemny las, moczy deszcz, mrozi mróz, chłodzi wiatr a suszy słońce. Na całej bożej ziemi, nigdzie dla niego ani przytułku, ani spoczynku, nigdzie spokoju i bezpieczeństwa. Zaledwie przystanął, zaledwie uradował go pierwszy brzask jutrzejki, chce spocząć, gdy fatalny los, woła nań:

— Tu nie wolno, idź dalej, idź dalej!

Do ojczyzny tęskni on daremnie, i choć po wielu trudach, złamaniu przeszkód, z narażeniem własnego życia stąpi na rodzinną ziemię, już ten sam okrutny los woła:

— Idź dalej! Idź dalej.

Prawo straszne, władza nie zna litości!

Ujrzał oto blask kaganka, oświecający jego chatę, spostrzegł o siwym włosie staruszka, siedzącego przy ogniu — to ojciec, może ze łzami czekający na syna, a on... ten syn... zatrzymać się nie może... Idź dalej! Idź dalej!

Zaskomlał wierny pies, lecz nie poznał swego pana i to zwierzę rzuciło się ku niemu szciekając... idź dalej! idź dalej!

Ledwie posunął się o krok, poznano go, uwieziono, skuty łańcuchem znowu wraca tam, gdzie nie ma ogniska domowego... ale są *tiurmy i bagnety! kopalnie i knuty!*

A jednak nieraz i to więzienie, *ta tiurma*, wydaje się mu jako szczęśliwy przybytek, jako przytułek ochronny, jako upragniony raj.

Takim też rajem wydałby się nam także w tej smutnej, okropnej nocy — pierwszy lepszy domek kordonu.

Milcząc szliśmy, gdy nagle rzekł Wołodia:

— Bracie, powiedz, co nam teraz czynić należy? Co pozostaje do czynienia naszym?

— O kim mówisz? — rzekłem.

— O naszych, pozostałych w siódmych koszarach na Sachalinie. Teraz oni śpią spokojnie, bez troski. My zaś... błakamy się, wlecemy, ścigani przez każdą żyjącą istotę. O! stokroć podobno byłoby lepiej, gdybyśmy byli zrzekli się tej ucieczki.

Odparłem z gniewem:

— Wstydź się. Jak baba jaka żałujesz tego, na coś się zgodził z takim upragnieniem. Czemuż przyłączałeś się do nas, czy nato, abyś nam odbierał resztę pozostałej odwagi?

Zamyśliłem się głęboko.

Byliśmy znużeni, idąc drzemaliśmy, bo *bradiaga* przywykł stapać ze zmrużonemi oczami. Ja, jak tylko zdrzemnąłem się, zaraz mi się śniło więzienie. Wyobrażałem sobie tę chwilę, jak wszedł księżyc i oświecił swym blaskiem ponure ściany kazar maty i kratę opatrzone okna. Aresztanci spoczywali ujęci głębokim snem na swych »*pryczach*« (łóżka zbite z desek jak pomost). Śniło mi się wten czas, że i ja tam jestem, i ja, jak oni, spoczywam na twardem łożu, stokroć wygodniejszym niż las, zasnuty śniegiem.

Marzenie to znikło szybko... Lecz...

Zatrzymał się nagle, a jego twarz oblekła się ponurym cieniem, potem zbłądł jak ściana i rzekł:

— Ach, panie, to nic jeszcze, to drobnostka — lecz kiedy włóczędze przypomni się rodzinna chata, gdy śni, że oto jest w tym dawnym swoim domku... Śni nieszczęsny, że patrzy, jak przy blasku dogorywającego zarzewia... tam, przed piecem, siedzi siwy ojciec, matka, ach! z tym snem nic się porównać nie da, ani więzienie, ani pustkowia Sachalinu, ani spotkanie z żołnierzami kordonu.

Kiedy zbudziłem się po takim śnie, zdawało mi się, że ostry nóż tkwi w moim sercu.

Ach, panie, panie, matka, to święte imię, to świętość. Któż zapomni pieszczot macierzyńskich, któż nie pamięta, jak ta zacna niewiasta gładziła włosy, uśmiechała się i głosem niebiańskim śpiewała piosnkę przy kolebce dziecięcia, jak je tuliła do siebie splekane...

Urwał znowu, bo głos mu drżał, a gdyby nie siła charakteru, byłby płakał; głos jego już był jak łkanie mocno splekanego niemowlęcia.

Poruszył ręką, otrząsł się i mówił już pewnym głosem:

— Zamiast ojczystej chaty — pusty, dziki las. Postępowaliśmy jeden za drugim, jak to mówią, manewrowaliśmy gęsiego.

Cichy wiaterek chłodził nasze czoła, poruszał listki na drzewie i zamierał.

W oddali widać było morze a nad niem rozpięty namiot niebieski; jeszcze w większym oddaleniu, gdzieś na krańcu ziemi, przebłykiwał różawy płomyczek, smuga rozkoszna, oznaka poczynającego się brzasku; słońce zapewne niedługo wynurzy się z morskiej kąpieli i oświecili drogę nieszczęsnym zbiegom.

Nigdy nie milczy morze, zawsze zdaje się nucić jakąś nieznaną, niezrozumiałą pieśń, lub gwałtownie, gniewnie huczy. Dla tego marzyłem zawsze i śniłem

o tym podziemnym głosie, który jakby ostrzegał niebaczących: Strzeżcie się, moje łono to otchłań!

Coraz bardziej przybliżaliśmy się do Mikołajewska — wsie i sadyby coraz gęściej ukazywały się tu i owdzie.

Postępowaliśmy z wielką ostrożnością.

W nocy tylko wędrówka nasza była pospieszniejsza i pewniejsza, we dnie zatrzymywaliśmy się po lasach, w gąszczach nieprzebitych, do których przedrzeć się nie mógłby ani człowiek, ani nawet zwierze dziki.

Musieliśmy nadłożyć drogi i zdala okrażyć miasto Mikołajew; niestety, byliśmy nadzwyczaj znużeni i zapasy zostały wyczerpane.

Wieczorem przybyliśmy do jakiejś rzeki i zobaczyliśmy nad brzegiem gromadę ludzi. Byli to aresztanci, którzy już odsiedzieli swoją karę i mieszkają we własnych chatach, chociaż zawsze zostają jeszcze pod dozorem i ich zajęcia są kontrolowane. Łowili ryby. Śmiało przystąpiliśmy do nich.

— Dopomóż Boże — rzekłem.

— Bóg zapłać — odpowiedzieli. — Skąd Bóg prowadzi?

Zaczęli nas wypytывать, a nareszcie najstarszy z nich rzekł:

— Czy nie z Sachalinu? Czy to nie wy zabiliście Saltanowa?

Prawdę powiedziawszy, wahałem się przyznać. Wprawdzie należeli oni do tej samej co my kategorii, ale nie można przecież wszystkim wierzyć. Przytem taka grupa »wolnych«, zupełnie różni się od gminy areztantów. Gdyby któremu z nich podobało się donieść władzy o nas, niktby temu nie przeszkodził. W więzieniu znaliśmy doskonale wszystkich de-

nuncyantów; za ledwie coś się stało, już zarząd więzienny został powiadomiony. Jakże jednak poznać ich tutaj?

Domyślili się zaraz, dlaczego nie odpowiedziałem na ich pytanie, jakoż starszy odezwał się:

— Mnie nie potrzebujesz się obawiać, nigdy nie zdradziłem i nie zdradzę towarzysza, nic mię zresztą to nie obchodzi. Ponieważ w mieście już wszyscy o tem mówią, że było tych zabójców jedenastu, łatwo więc domysleć się. Bracia, smutną przyszłość zgotowaliście sobie. Historia ta bardzo brzydka, a naczelnik powiatu srogi człowiek — wreszcie nie moja to ale wasza sprawa. Gdy wam się powiedzie uniknąć kary, mocno mię to ucieszy. Mimo to wszystko chętnie dostarczymy wam prowiantu, a może potrzebujecie kotła?

— Bardzoby się nam przydał.

— Dobrze; w nocy przyniesiemy go wam i jeszcze coś co wam się należy. Swoim współbraciom pomagać trzeba, tak mówi nasza wiara.

Zrobiło się nam lżej na sercu.

Zdjąłem czapkę, dziękując Starszemu, to samo uczynili i moi ludzie. Dla nas było to zbawieniem, nie mieliśmy bowiem żadnych zapasów. Do obecnej chwili unikaliśmy spotkania się z ludźmi, nic więc dziwnego, że nowi towarzysze sprawili nam wielką radość. Z tego też powodu o mało nie przyszło do nieszczęścia.

Po odejściu »wolnych« nabraliśmy odwagi, zapominając o grożącym nam niebezpieczeństwie. Wołodia zaczął śpiewać i tańczyć. Pozbawszy się ostrożności tak koniecznej, udaliśmy się ku stronie »Przepaści Dikmana«, gdzie są warstwy okrętowe, idąc w górę rzeki.

Zapaliliśmy wielki ogień, zaniesliśmy dwa kotły, w jednym gotowała się herbata, w drugim zupa z ryb.

Tymczasem zapadł wieczór, zciemniło się i zaczął padać deszcz. Nie troszczyliśmy się zgoła o niego, mając gorący napój.

Siedzieliśmy tak swobodni i weseli, jakby na łonie Abrahama, nie myśląc wcale, że ognisko nasze może być dostrzeżonem z miasta. Płynęła rozmowa, jednym słowem postępowaliśmy tak, jakbyśmy znajdowali się na własnym, ojczystym gruncie.

Na nasze wielkie szczęście mieszkał w Mikołajewsku stary pan, były urzędnik. Poprzednio pełnił obowiązki inspektora więzień. W N. więzienie było bardzo wielkie; mnóstwo siadywało w nim aresztantów a wszyscy z wielką wdzięcznością wspominali starego inspektora. Cała Syberja знаła Samarowa i kiedy przed trzema laty ktoś mi powiedział, że on umarł, pobiegłem zaraz do popa i prosiłem go, aby odprawił mszę za spokój jego duszy.

Był to człowiek nadzwyczaj dobry, lubił tylko wymyślać; ale to tak, jak gdyby rzeczywiście rodził się przekupniem lub jakim szołdrą ulicznym. Krzyczał i tupał nogami, nigdy jednak żadnej krzywdy nie wyrządził nikomu. Poważano go i kochano, bo nie uciskał i nie prześladował aresztantów, nie dał się nigdy przekupić i nigdy nie domagał się niczego od »gminy aresztanckiej«; czasami jednak przyjmował podarek, gdy mu kto z dobrej woli, przez wdzięczność ofiarował. Był on bardzo potrzebny, gdyż miał bardzo liczną rodzinę.

Wówczas już wyszedł ze służby i mieszkał w Mikołajewsku, we własnym domku. Z przyzwyczajenia utrzymywał stosunki z wielu naszymi ludźmi, szczególnie z gminą »wolnych«.

Tego dnia, o którym wspominam, siedząc na ganku i paląc fajkę, zauważył jakoby w fabryce Dikmana wybuchł ogień.

— Kto to tam mógł rozłożyć ognisko? — pomyślał.

Właśnie dwóch »wolnych« przechodziło koło jego domu. Przywołał ich do siebie.

— Gdzie wasi dzisiaj łowią ryby? — zapytał — wątpię jednak, czy mogłby być dobry połów przy fabryce Dikmana.

— Nie, — odpowiedzieli — my tam nie łowimy ryb; lecz powyżej »przepaści Dikmana«. Zresztą musimy już wrócić do miasta.

— A cóż znaczy ten tam buchający ogień? Kto to być może, jak myślicie?

— Nie wiemy tego, Stefanie Saweliczu. Może jacy podróżni zaniecili ognisko.

— Tak, tak, to podróżni. Wy, łotry, nie myślicie zgoła o swoich braciach, tylko ja o nich myśleć muszę. Czy nie wiadomo wam, co pan naczelnik powiatu przedwczoraj opowiadał o zbiegach z Sachalinu? Widziano ich tutaj w pobliżu... To oni są zapewne, głupcy jacyś, żeby tak nierozsądnie palić ogień tuż pod miastem.

— To prawda.

— Prawda, prawda, — kszyknął zgryźliwy staruszek — a jak naczelnik jest w mieście? Jak tylko dostrzeże ogień, powoła zaraz wojsko; a tu biednych ludzi doprawdy szkoda. Za mord dokonany na Soltanowie wszyscy oni dadzą głowę. Przygotujcie mi natychmiast łódkę.

Siedzieliśmy przy ogniu, oczekując na zupełną noc, bo już oddawna nic gorącego nie mieliśmy w ustach. Noc była ciemna, od strony oceanu nagromadziły się chmury ołowianej barwy, drobny deszczyk przenikał do kości, w lesie szumiały liście, — noc burzliwa jest najlepszym, najszczerzym przyjacielem włóczęgów. Im ciemniej na świecie, tem jaśniej w sercu.

Nagle, zerwał się jeden z Tatarów; Tatarzy odznaczają się niezmiernie delikatnym słuchem. Ja także zacząłem nasłuchiwać i zdawało mi się, że na wodzie rozlegają się dość głośne uderzenia wiosł. Podsunąłem się bliżej do brzegu rzeki — tak jest, rzeczywiście jakaś łódź cicho zbliżała się, a przy sterze stał jakiś człowiek w czapce urzędowej z gwiazdką ¹⁾.

— Bracia — rzekłem — jesteście zdradzeni. Najeżdża naczelnik powiatu.

Zerwali się wszyscy jak jeden człowiek, przewróciliśmy kocioł i zaczęliśmy uciekać w las. Nie pozwoliłem ludziom biec ścisłą gromadą. Naprzód trzeba było przekonać się, jakie grozi nam niebezpieczeństwo.

Całą gromadą mogliśmy się tylko wówczas ratować, gdyby przeciwnicy nasi byli w mniejszej liczbie.

Posłuchali mojej rady i każdy ukrył się za drzewem.

Łódź przybiła do brzegu; wysiadło z niej pięciu ludzi. Jeden z nich śmiał się głośno, mówiąc:

— Dlaczego te osły uciekają? Wszyscy natychmiast wyjdą z ukrycia, skoro tylko usłyszą jedno moje słowo; są oni właściwie dzielni a przecież uciekają jak tchórzliwe zające!

Przy mnie, za drzewem, stał Darin.

— Jak sądzisz Wasili? Głos ten naczelnika powiatu jest nam obu dobrze znany.

— Cicho, czekaj; jest ich tylko kilku.

Jeden z nich nagle oddzielił się, mówiąc:

— Hej, wy tam! Nie obawiajcie się niczego. Kogo znacie w tutejszym więzieniu?

Nie daliśmy żadnej odpowiedzi.

¹⁾ Strój urzędniczy.

— Ach, wy szatańskie syny — krzyknął on teraz — przyznajcie się zaraz, kogo znacie w tutejszem więzieniu, to się może wzajemnie poznamy.

— Czy znamy, czy nie znamy — odezwał się występując naprzód — to rzecz mała, wolelibyśmy wszakże, abyśmy nikogo tutaj nie znali. Żywcem nie poddamy się.

Dałem znak, aby wszyscy byli gotowi, wszak przewyższaliśmy ich liczbą. Będzie tylko źle, pomyślałem, jak zaczną strzelać — bo tym sposobem miało zaalarmują. Czuliśmy, że jesteśmy zgubieni, żywcem wszakże nie damy się wziąć.

Stary zaczął znowu:

— Dzieci, czy nikt z was nie zna starego Samarowa?

Darin trącił mnie łokciem.

— Na prawdę, to głos inspektora z N. Czy pan nie zna przypadkiem Darina? — zawołał.

— Dlaczego nie? Był starszym w kazamacie za mojej pamięci. Zdaje się, na imię mu Teodor.

— To ja jestem, wielmożny panie, chodźcie, chodźcie — zawołał — to nasz dobrodziej ukochany.

Na te wyrazy wszyscyśmy wystąpili.

— Głupcy jesteście! Żałuję was mocno. Czyście postradali już zmysły, że tuż pod miastem rozpalcie ognisko?

— Deszcz nas przemoczył do nitki, wielmożny panie.

— Deszcz was przemoczył? I to niby wy, nazywacie się *bradiagami*. Boicie się, żebyście się jak cukier nierozpłynęli. Macie szczęście, że pierwaj, niż naczelnik powiatu spostrzegł wasze ognisko, byłby już wam wynalazł kącik, gdziebyście się zupełnie osuszyli. Aj ludzie! ludzie bez głowy! Wcale nie macie rozumu, choć Saltanowa wyprawiliście do kraju

cieniów, wy przekłete łotry! Zagasić mi natychmiast ogień, i precz stąd. Odsunąć się od brzegu i ukryć w gąszczu leśnym. Żeby mi tu noga wasza nie powstała, przebrzydłe łotry.

Wymyślał, tupał nogami, staliśmy kołem obok niego zdjawszy czapki.

Potem, kiedy już nawymyślał się dowoli, rzekł:

— Przywiozłem wam w łodzi chleb i herbatę. Pamiętajcie sobie Samarowa i nie miejcie do niego nienawiści. A kiedy wam Bóg szczęśliwie wydobyć się stąd pozwoli i który z was potem znajdzie się znowu w Tobolsku, to postawicie świecę przed obrazem mojego świętego. Tu niezawodnie umrę, tu bowiem dostałem domek jako posag mojej żony... już też jestem bardzo stary. *Przytem, zatem* bądźcie zdrowi, a radzę wam nie chodzić całą kupą. Wielu was jest?

— Jedenastu!

— I czy nie jesteście osły, żeby tylu ludzi narażać na śmierć, zapalając pod miastem ognisko.

Pocziwy stary napowrót odpłynął. My idąc za jego radą cofnęliśmy się w głąb lasu, w sam otwór przepaści Dikana — wypiliśmy herbatę i uwarzoną zupę, a potem rozdzieliliśmy się.

Ja poszedłem z Darinem, Makarów z Czerkiesami, Tatarzy razem, a reszta trzech również osobno ze sobą. Odtąd nie widzieliśmy się już więcej. Nie wiem, czy żyją, czy też kto z nich oddał Bogu ducha. Słyszałem tylko o Tatarach, że podobno aż tutaj los ich przypędził, ale czy to prawda, nie sprawdzałem.

Tej samej nocy powiodło się nam szczęśliwie minąć Nikołajewsk.

Kiedy weszło słońce, już może dziesięć wiorst uszliśmy lasem i zbliżaliśmy się do publicznego traktu. Nagle słyszymy odgłos dzwonka. Szybko ukryliśmy

się i widzieliśmy jak *trojka* obok nas przejechała, w saniach siedział, ten srogi... naczelnik powiatu!

Przeżegnaliśmy się, ja i Darin.

— Dzięki Bogu, że nie było go owego pamiętnego wieczoru.

IX.

Ogień wygasł w piecu, a w chacie było tak gorąco jak w piecu. Mróz na oknach zaczął topnieć i można było z tego wnioskować, że na dworze nastąpi niewątpliwa odwilż, bo jakkolwiek zawsze prawie w chacie było gorąco, nigdy mróz z szyb okna nie ustępował. Dlatego przestaliśmy już dokładać do ognia a ja wyszedłem na dach, żeby zamknąć komin.

Mgła rzeczywiście ustąpiła, powietrze było przeźroczyste i w atmosferze odczuwało się ciepło. Na północy, pomiędzy wzgórzami, które pokrywają ciemne lasy, poczęły się przesuwac białawe obłoczki i szybko zmieniać; jakby ktoś silnie i trudno oddychał, a oddech wydobywający się z jego potężnej klatki piersiowej rozbijał się lekko w powietrzu i znikał. Słaba zorza północna ukazała się na nieboskłonie.

Pod wpływem smutnych, bolesnych wrażeń, stałem ciągle na dachu, obejmując wzrokiem całą przestrzeń i dal. Noc nad całą naturą dziwnym, uroczym krasila ją powabem. Na niebie jaśniały gwiazdy, szerokie szmaty śniegu niby pyłek puchu układały się coraz wyższymi warstwami, na widnokręgu ciemniał las, a szczyty jego drzew zdawały się tonać gdzieś w górach, czy w chmurach. Cały ten pejzaż, mimo swej piękności, budził w mojej duszy smutek i tęsknotę.

Skoro powróciłem do izby, już mój gość spał; a ciszę przerywał od chwili do chwili tylko oddech głęboki włóczęgi.

I ja udałem się na spoczynek, ale długo nie mogłem zasnąć, pozostając pod wrażeniem słyszanego przed chwilą opowiadania.

Kilkakrotnie już usypiałem, a zawsze budził mnie ruch włóczęgi, który nieustannie przewracał się to na tę, to na ową stronę na swoim posłaniu.

Jego silne chrapanie, które brzmiało jak mruk niedźwiedzia, przywracało mi napowrót przytomność a wówczas rysowały się w mej wyobraźni szkice tej słyszanej syberyjskiej Odysei. Zdawało mi się, że oto nad moją głową szumią drzewa, poruszają się liście, że na wysokiej górze wznosi się ponury, ciemny, okropny gmach więzienia, a przed moim wzrokiem rozścielała się przestrzeń, na której widniały białe domki kordonu, i przelatywał olbrzymi orzeł, przecinając powietrze swemi potężnymi skrzydłami — orzeł dwugłowy!

Myśli nagromadzały się, ożywiały, pędząc mnie daleko, daleko aż do wspomnień przeszłości, zdala od tej ciemnej, beznadziejnej dla mnie chaty. Zdawało się, że owiewa mię wiatr, w moich uszach brzmi huk fal Oceanu, słońce kryje się za chmury i nagle daje się słyszeć pluskanie pędzonej po rzece łodzi...

Opowiadanie wzburzyło wszystką krew w moich żyłach. Zastanawiałem się, jakie też ono czyni wrażenie na tych, którzy słuchają je w więziennej kazamacie. I dlaczego, pytałem się sam siebie, działa na mnie opowiadanie nietyle z powodu trudności ucieczki, nietyle z powodu trudów i niebezpieczeństw, ile z powodu tej cichej, a tak rozmarzonej tęsknoty włóczęgi; dlaczego obejmuje mię pragnienie pozyskania wolności i chęć niepokonana, by ujrzeć morze,

las i pola? Jeżeli zatem wszystko to czyni na mnie tak wielkie wrażenie, to coś dopiero dzieć się musi w duszy takiego włóczęgi, który już doświadczał tego kiedyś, wpatrując się przez kraty w błękitny lazur nieba.

Włóczęga spał smacznie, mnie myśli pozbawiały snu. Zapomniałem zupełnie, co go wtrąciło do więzienia, czego się dopuścił, jak przestał być posłusznym swoim rodzicom. Widziałem tylko, jak w tej postaci włóczęgi grało życie, młodość, energia i siła, jak to wszystko obudzało w nim pragnienie odzyskania swobody... Lecz gdzie on pójdzie?

— Tak, gdzie pójdzie, dokąd podaży?

W cichym oddechu włóczęgi zdawało mi się słyszeć westchnienia. Po kim i za czym? Zapadłem w głęboką zadumę, pragnąc rozwiązać tę trudną do objęcia rozumem zagadkę.

Księżyc już ukrył się całkowicie, ziemia spoczywała. Milczenie i cisza panowały dokoła. Tylko drobniuchny skrawek nieba, na dalekim horyzoncie, jaśniał słabym światłem, tylko w dali, hen... błyskał promień. Co to miało znaczyć? Byłże to płomyk ognia z tej ojczystej, dawno opuszczonej chaty, czy też błędny ogień, przesuwający się na mogile wspomnień?

Zasnąłem późno w noc.

X.

Zbudziłem się około godziny 11-ej. Na podłodze namiotu jaśniał skośny promień słońca, z trudnością przedarłszy się przez zamrożone szyby okna. Włóczęgi nie było w namiocie.

Z powodu wielu interesów we wsi, zaprząłem konia do sanek i puściłem się drogą ku wiosce.

Dzień był jasny i stosunkowo ciepły.

Mogło być mrozu około 20 stopni — wszystko na świecie jest względne — co w innych krajach nazywa się tęgą, ostrą zimą, u nas przejawia się, jako pierwszy początek zbliżającej się wiosny. Dymy wychodzące ze wszystkich kominów, nie płynęły w powietrze prostopadle, jak to zwykle bywa przy siarczystych mrozach, lecz przeciwnie nachylały się ku zachodowi, pociągał też i zachodni wiatr, przynosząc ze sobą ciepło od wielkiego Oceanu.

We wsi połowa domów była zamieszкана przez Tatarów, a ponieważ dziś obchodzili jakąś swoją uroczystość, ulice były ożywione.

Tu i owdzie słychać było trzask otwieranych bram, jedni wyjeżdżali w saniach, inni konno. Wyznawcy Mahometa niezbyt ściśle zachowują przykazania koranu, można też było zauważyć wielu nie bardzo przytomnych i zataczających się; zdarzały się też dość często wypadki, że taki podchmielony wypadał ze sanek, lub też zlatywał z konia.

Wogóle mówiąc roiło się w całym tem miasteczku. Nazywam tę osadę miasteczkiem, gdyż miała ona zupełnie wygląd miejski, ze względu na dość liczną miejscową ludność. Ruch objawiał się nadzwyczajny. Tu jeźdźcy galopują na koniach, tam pędzą sanie zaprzężone w ognistego rumaka, ówdzie poważnie kroczy rodzina tatarska. Tatarki w czerwonych, krwistych barwach, prowadzą za ręce dzieci, lub je niosą na ramionach. Z namiotów wychodzą ciekawi, przypatrując się przechodzącym.

Na drugim końcu wioski wynurza się oddziałek jeźdźców, ubiegających się o lepsze w szalonym wy-

ścigu. Zabawka to wielce ulubiona i popularna między ludnością jakucką.

Było ich sześciu, wszyscy pędzili jak wicher, poznałem też mojego wczorajszego gościa Bagilai, który poprzedzał wszystkich na owym zwinnym koniku. Za każdym uderzeniem kopyta zwiększała się odległość między nim a współubiegającymi się. Przeleciał obok mnie jak huragan, czułem tylko na twarzy powiew wiatru.

Oczy Tatarów świeciły jak rozrżone węgle, a pragnienie wyprzedzenia włóczęgi malowało się na każdej twarzy.

Dziwna to była jazda, towarzyszyły jej bowiem niesłychane, przeraźliwe krzyki; jeźdźcy nogami, rękami i głosem pobudzali swe konie do coraz gwałtowniejszego biegu.

Wasili tylko na sposób rosyjski, wedle powszechnego zwyczaju nachylony nad grzywą konia, nie krzyczał, nie uderzał konia piętami, ale przeraźliwie gwizdał. Siwek pędził jak strzała, nie tykając nogami ziemi.

Sympatya publiki, jak zawsze, skłaniała się ku stronie zwycięzcy.

— »Tęgi jeździec!« wołano z radością, a starzy facyendarze końmi, którzy przepadają za tego rodzaju wyścigami, ze śmiechem uderzali się po bokach rękami, w takt pędzących koni.

W samym środku ulicy spotkałem się z Wasilim, który jako zwycięzca już powracał, mając po za sobą grupę jeźdźców, pobitych na głowę.

Twarz włóczęgi pokrywała bladość, oczy mu tylko iskrzyły się z wewnętrznego wzruszenia. Zauważyłem, że niewątpliwie mocno pociągnął z butelki.

— Już wychyliłem parę czarek — rzekł zsiadając z konia, okrytego pianą, i zataczając się.

— To już pańska rzecz — odpowiedziałem.

— Niech się pan nie gniewa. Piję i tego piję, ale jednak nigdy nie zapijam się aż do utraty zdrowych zmysłów. Niech pan też nie wydaje moich pakunków nikomu; nawet choćbym ja o nie prosił, za-trzymaj wszystkie przy sobie. Czy pan słyszy?

— Doskonale. Ja zaś pana proszę, abyś po pijanemu nie przychodził do mnie.

— Zastosuję się do zakazu; — odpowiedział, uderzając konia. Koń parsknął i stanął dęba, puścił go może na trzy kroki od siebie i znowu zbliżył się do mnie. Oto koń — mówił. — Złoto nie koń. Dlatego to ściagałem się na nim. Popatrz pan tylko, jak on sady. Teraz mogę za niego od Tatarów tyle dostać pieniędzy ile będę żądał. Tak, tak, Tatar miłuje dobrego konia więcej niż własne życie.

— Dlaczego go sprzedajesz? Czem będziesz uprawiał swoją rolę?

— Kiedy muszę to uczynić.

Przytem znowu uderzył konia i znowu go ściągnął cuglem.

— Dlatego, że spotkałem tu jednego mojego znajomego — dodał — i wszystko rzucam. Spojrz pan tam, na tego karego tatarskiego konia. Ej ty, ty, — zawołał — Achmecie chodź tutaj!

Tatar na małym, chudym koniku, zbliżył się do moich sanek. Natychmiast zdjął czapkę oddając mi ukłon i uśmiechnął się. Ciekawie mu przypatrywałem się.

Achmet uśmiechał się chytrze, małe jego oczki spoglądały wesoło.

— Rozumiemy się, zdawał się mówić Tatar, chociaż jestem frantem skończonym, ale i tobie panie nie brak na sprycie.

Zmuszony byłem także rozśmiać się, badając mimikę nieznanego Tatara. Achmet widocznie przekonany, że rozumiałem go dobrze, z zadowoleniem poruszył głowę.

— Przyjacieli i towarzyszu — rzekł wskazując na Wasilego — obojmy wędrowali po kraju.

— Gdzie mieszkasz — zapytałem — nie spotkałem cię tu nigdy.

— Zaraz mogę przynieść moje papiery, bo zajmuję się rozwożeniem spirytusu po kopalniach.

Rozwożenie spirytusu po kopalniach, czyli mówić wyrażniej, defraudacja alkoholu, w Syberji jest bardzo surowo wzbroniona przez rząd, jakkolwiek przemycenie wódki, okowity i spirytusu w okolicach nad rzeką Leną stanowi prawdziwy proceder. Wódka, szczególnie w kopalniach, jest trunkiem pożądanym i opłacana bywa na wagę złota. Proceder to niebezpieczny, grozi bowiem takiemu przemytnikowi surowa kara ciężkiego więzienia. Alkohol jeszcze bardziej roznamiętnia zdziczałą ludność Syberji, z natury zbliżoną do pierwsiastkowej, zwierzęcej rasy. Przemytnicy krążą po lasach i niejednokrotnie padają od kuli lub też giną z powodu wszelkiego braku pożywienia; czasem znowu współubiegający się przemytnicy wydają sobie walkę na noże.

Proceder przemytniczy opłaca się bardzo korzystnie, można go nawet porównać z procederem dobywania złota.

Spojrzałem na Wasilego, odwrócił oczy i udawał że się patrzy na konia; wnet jednak podniósł w górę głowę, mierzając mnie wyzywającym wzrokiem. Usta miał zaciśnięte, tylko dolna warga drżała jakimś nerwowym ruchem.

— Wracam z nim napowrót do lasu — rzekł. — Niech pan nie spogląda na mnie takim zdziwionym

wzrokiem — dodał. — Byłem, jestem i pozostanę do końca życia włóczęgą.

Ostatnie słowa wypowiedział już dosiadając konia, i popędził, aż z pod kopyt konia posypały się całe masy śniegu.

W rok później spotkałem Achmeta; jak dawniej prowadził proceder przemytnika. Wasili nie powrócił już do osady...



65438

II

253/7

26.6.61

10 —

2

2

T R E Ś Ć .

	Strona
Przedmowa	5
I. Z dziennika turysty po Syberyi	11
II. Sen Makara	97
III. Stary dzwonnik	141
IV. Las szumi	153
V. W noc Wielkiejnocy	189
VI. Zbiegi z Sachalinu	201



Kto nie chce nabywać «Nowej Biblioteki Uniwersalnej» seryami,
 lecz pragnąłby mieć specjalne działy, n. p. tylko dział powieściowy
 lub dział historyczny, i t. p., płaci następujące ceny za objęte wszyst-
 kimi rocznikami:

Powieści i nowele:

	Cena katalogowa	
	brosz.	opr. w płótno
<i>Bałucki</i> . Mój pierwszy występ literacki (pow. humor.)	Kor. 2:40	3:20
— Burmistrz z Pipidówki (powieść humoryst.)	» 2:40	3:20
<i>Bąkowski</i> . Posażna panna	» 2:80	3:60
<i>Czajkowski</i> . Stefan Czarniecki (powieść histor.)	» 3:—	4:—
<i>Frenzel</i> . Prawa kobiety	» 3:—	4:—
<i>Gawalewicz</i> . Majster do wszystkiego	» 2:40	3:20
— Biedni ludzie	» 2:40	3:20
— Niczyja	» 3:60	4:40
<i>Gliński H.</i> Mamusie	» 4:—	5:—
<i>Iry</i> . Pod rodzinnym niebem	» 3:20	4:—
<i>Jirasek</i> . Raj świata	» 2:80	3:60
<i>Kontrymowicz-Ogiński</i> . Książę Hołuba, 3 tomy	» 8:—	11:—
— Z czeluści piekielnych	» 5:—	6:—
<i>Korolenko</i> . Z Sybiru (nowele)	» 4:—	5:—
— Niewidomy muzyk	» 2:—	3:—
— Szkice powieściowe	» 4:—	5:—
<i>Korzeniowska</i> . Nad siły	» 2:40	3:20
<i>Kostomarov</i> . Kudejar (powieść histor.)	» 4:—	5:—
<i>Kowerska</i> . Powieści	» 3:20	4:—
— Z pamiętnika ornitologa	» 3:—	4:—
<i>Krzyżanowski</i> . Przełom i inne nowele	» 2:40	3:20
<i>Lejkin</i> . Pod hiszpańskim niebem (powieść humor.)	» 4:—	5:—
<i>A. M. L.</i> Obrazki z życia (nowele)	» 4:—	5:—
<i>Naganowski</i> . Hessy O'Grady	» 2:40	3:20
<i>Neumanowa</i> . Baśnie i legendy Wschodu	» 1:20	2:—
<i>Sewer</i> . Na szerokim świecie	» 3:60	4:40
— W kleszczach. Magdusia	» 3:20	4:—
— Bajecznie kolorowa	» 3:—	4:—
<i>Sigurd</i> . Humoreski	» 1:—	1:80
— Sprzedany sierota	» 1:60	2:40
<i>Tepa</i> . Nowele	» 4:—	5:—
<i>Tolstoj</i> . Anna Karenina, 3 tomy	» 10:—	13:—
<i>Zagórski</i> . Nowele, III serya	» 3:60	4:40
Razem 37 tomów	Kor. 111:60	145:—

Biorąc naraz wszystkie te powieści — płaci się tylko
 za 37 tomów broszurowanych . . . Koron 37:— } z opłatą portorya
 za 37 „ oprawnych w płótno „ 70:— } o 2 Kor. więcej.

Pamiętniki, opowiadania histor. i życiorysy:

	Cena katalogowa	
	brosz.	opr. w płótno
<i>Berg</i> . Zapiski o polsk. powstaniu 1863 r. 3 tomy (illust.)	Kor. 16:—	19:—
<i>Chołkowski ks.</i> Zniweczenie św. Unii	» 3:20	4:—
<i>Jełowicki ks.</i> Moje wspomnienia	» 3:60	4:60

Proszę odwrócić!

	Cena katalogowa	
	broosz.	opr. w piótno
<i>Kołaczkowski</i> . Pamiętniki (1797-1831) 4 tomy (illustr.)	Kor. 10—	13 20
— Henryk Dąbrowski twórca legionów (z rycin.)	" 2—	3—
<i>Lichocki</i> . Pamiętniki prezydenta m. Krakowa z r. 1794	" 1—	2—
<i>Murawiew</i> . Pamiętniki (ilustrowane)	" 3—	4—
<i>Paszkowski</i> . Ks. Józef Poniatowski (z rycinami)	" 2 40	3 20
<i>Rostworowski</i> . Wspomnienia z r. 1863	" 2—	3—
Rys kampanii roku 1809 w Ks. Warszawskim	" 3 60	4 60
<i>Szumski</i> . Wspomnienia o 3 pułku ułanów (illustr.)	" 4—	5—
<i>Wężyk</i> . Powstanie Królestwa Polskiego w r. 1831	" 5—	6—
<i>Włast</i> . Opowiadania historyczne z dziejów okolicy Słuczy na Wołyniu	" 2 80	4—
<i>Wodzicka</i> . Wilhelm I. i Eliza Radziwiłłówna (illustr.)	" — 80	1 60
<i>Wodzicki</i> . Pamiętniki z czasów Rzeczyposp. Krakow.	" 3 60	4 60
<i>Wybranowski Aleks.</i> Ongi w dworach szlacheckich	" 1—	1 80
<i>Wysocki</i> . Pamiętnik z kampanii węgierskiej	" 2—	3—
Ze wspomnień szlacheckich	" 1—	1 80
Razem 23 tomy	Kor. 67—	88 40

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 23 tomy broszurowane . . . Kor. 35— } z opłatą portorya
za 23 tomy oprawne . . . „ 50— } o 2 Kor. więcej.

Szkice z dziejów literatury:

	Cena katalogowa	
	broosz.	opr. w piótno
<i>Chmielewski</i> . Studya i szkice literackie, serya I.	Kor. 4 80	6—
<i>Mickiewicz A.</i> Wybór listów, wydał J. Kallenbach.	" 4—	5—
<i>Sarnecki Z.</i> Historia literatury francuskiej	" 6—	7—
<i>Tarnowski St.</i> Studya do dziejów liter. polsk., tom I.	" 4—	5—
— „ „ „ „ „ „ II.	" 4—	5—
— „ „ „ „ „ „ III.	" 4—	5—
— „ „ „ „ „ „ IV.	" 4—	5—
<i>Tretiak J. Dr.</i> Szkice literackie, serya II.	" 6—	7—
Razem 8 tomów	Kor. 36 80	45—

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 8 tomów broszurowanych . . . Kor. 18— } z opłatą portorya
za 8 tomów oprawnych . . . „ 24— } o 1 Kor. więcej.

Historia polska, powszechna i dzieje sztuki:

	Cena katalogowa	
	broosz.	opr. w piótno
<i>Czermak</i> . Szkice historyczne z XVIII wieku	Kor. 6—	7—
<i>Gloger</i> . Geografia historyczna Polski (z illustr.)	" 5—	6—
<i>Kalinka W. ks.</i> Panowanie Stanisł. Augusta, 2 tomy	" 7 20	9 20
— Pisma pomniejsze, 3 tomy	" 11 20	14 20
— Sejm czteroletni, 5 tomów	" 14 40	19 40
— Galicja i Kraków	" 5—	6—
<i>Łubieński</i> . Kwestya polska w Rosyi	" 1 20	2—
<i>Macaulay T.</i> Szkice i rozprawy, 2 tomy	" 6—	8—
<i>Manteuffel</i> . Cywilizacja nad Bałtykiem (illustr.)	" 2 40	3 20
<i>Schnür-Pełowski</i> . Historia legionów (z ilustrac.)	" 4—	5—

	Cena katalogowa	
	broosz.	opr. w piótno
<i>Sizeranna</i> . Malarstwo w Anglii	" 4—	5—
<i>Sokolowski</i> . Studya z dziedziny sztuki (z rycinami)	" 9—	10—
<i>Szajnocha</i> . Pisma historyczne, 2 tomy	" 5 60	7 60
Razem 22 tomów	Kor. 81—	102 60

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 22 tomów broszurowanych . . . Kor. 50— } z opłatą portorya
za 22 tomów oprawnych . . . „ 65— } o 3 Kor. więcej.

	Cena katalogowa	
	broosz.	opr. w piótno
<i>Chołoniewski ks.</i> Sen w Podhorcach (studjum)	Kor. 1—	2—
<i>Danielewicz</i> . Alkohol i jego skutki	" 1 60	2 40
<i>Echegaray J.</i> Galeotto (dramat)	" 1—	1 80
Hygiena palenia	" 1 20	2—
<i>Konarski ks.</i> O religii pociągów ludzi	" 1—	2—
<i>Łisicka</i> . Ze świata muzyki, życiorysy	" 4—	5—
<i>Łoziński</i> . Tłum (szkie społeczny)	" 1 20	2—
Razem 7 tomów	Kor. 11—	17 20

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 7 tomów broszurowanych . . . Kor. 6— } z opłatą portorya
za 7 tomów oprawnych . . . „ 10— } o 1 Kor. więcej.

 Wymienione w tym wykazie dzieła można też nabywać osobno, lecz tylko po katalogowej cenie.

Dla osób chcących nabyć naraz

komplet „Nowej Biblioteki Uniwersalnej“

14 roczników, t. j.:

96 tomów broszurowanych zniżamy cenę z Kor. 102 na Kor. 90
96 tomów w ozdobnej oprawie płóciennej „ „ „ 172 „ „ 160
płatne naraz (nie na raty).

Kto nadseła należytosć z góry, otrzymuje przesyłkę, lecz tylko w obrębie Austrii i Niemiec, franco. — Na spłaty częściowe nabywać można tylko seryami lub działami, po wykazanych cenach.

Roczniki dawniejsze — o ile zapas starczy — kompletować można.

Wszelkich wyjaśnień udzielamy chętnie — zeszyt okazowy darmo. — Wysyłka staranna

Prenumeratę przyjmuje każda księgarnia, tudzież

Spółka Wydawnicza Polska (Kraków, Rynek, Pałac Spiski).

Prospekt ten unieważnia wszystkie poprzednio wydane.

509757

52

ksl. z biblioteki
R i W Śliwowskich

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0517789